

PRZE

Numer 49/2946

9 grudnia 2001 r.

KRÓJ

Cena 21 50 gr (w tym 7% VAT)

**Mikołaj?
Kopernik?
Nie!
Święty!**

ISSN 0033-2488

49



9 770033 248014

Indeks 371424 • Y-9013-C



VIVA!
3 grudnia 2004 Cena 4,50 zł
nr 25(126)

LUDGARDA BUZEK
Spowiedź czekającej żony

NICOLE KIDMAN
Seksowne kreacje, krótkie włosy. Nowa twarz porzuconej gwiazdy

Umierając wyznał mi miłość
LAURA ŁĄCZ
pochowata

KRZYSZTOFA CHAMCA

AMBASADOR USA CHRISTOPHER HILL
Nie boję się wojny. Już patrzyłem potworowi w oczy

już nigdy nie będę kretynką!

Britney Spears

VIVA! LOTERIA
W ŚRODKU KUPON
- SPRAWDŹ PIN
WYGRAJ 100 000 zł!

uwaga!

VIVA! LOTERIA
W ŚRODKU KUPON
- SPRAWDŹ PIN
WYGRAJ 100 000 !

SZANUJMY SIĘ NAWZAJEM

Artykuł pana Jacka Podsiadły „W obronie krzyża (i podkowy)” ukazał się w „P” 2942. Mogę go określić łagodnie jako spory nieakt wobec Czytelników tak poważnego, z dobrymi tradycjami, pisma. Autor próbuje się kreować na człowieka tolerancyjnego i nowoczesnego, który co prawda uznaje prawo do wolności przekonań, ale mu to wszystko „wisi”, czyli – zgodnie z definicją „Słownika języka polskiego” – zupełnie go nie obchodzi. Po co pisać o czymś, co zupełnie mnie nie obchodzi?

„Wisi mi, co gdzie wisi. Nawet na krzyż i orła w Sejmie się zgadzam” – to kwintesencja wspomnianego artykułu. Krzyż – jego zdaniem – aptekarka wiesza dla lepszego samopoczucia bądź aby atakować klientów (?), a go dło kojarzy mu się jedynie ze sklepem ornitologicznym (!). Dalej autor, próbując się wykazać empatią, sięga do własnych doświadczeń z Bożą (!). Bardzo brakowało mu krzyża przed klasówką, na którą się nic nie nauczył... i umiał się tylko modlić, twierdzi jeszcze (z całą stanowczością), że umiał to robić! Jeśli dla pana Jacka modlitwa to bezsensowne powtarzanie formułek

w sytuacji zagrożenia, stresu, a krzyż to tylko skrzyżowanie czegośkolwiek: ram, liter, krątek w zeszycie... to rzeczywiście ze swego punktu widzenia ma rację. Takie krzyże rzeczywiście mogą być równe podkowie, zdjęciu Lennona i innym niewiele znaczącym bibelotom.

Gdyby Polakom przez 123 lata „wisało, co gdzie wisi”, to pan, panie Jacku, wcale nie mógłby tego napisać. Chyba że pisałby pan: „Das ist mir Wurst” lub „napliwat”.

Na wstępie próbuje pan dyskutować z koleżanką, potem ukazuje absurd takiego myślenia, aby na końcu zgodzić się z jej zdaniem, a nawet uznać je za mądre! Wracam do artykułu pani Keff (nr 2940), która aczkolwiek ma inne zdanie niż ja na temat krzyży w aptekach czy sklepach, jednak mnie nie obraża. Ma prawo mieć inne zdanie, nawet mówić, że się nie zgadza na krzyż... Nie ma natomiast prawa (i tego nie robi) ściągnąć krzyża z mojej ściany czy zabronić mi korzystania z takiej apteki, sklepu.

Wyciąga jednak zbyt pochopne wnioski. Bowiem krzyż od nienawiści dzieli ogromna przepaść. Minęły już czasy krucjat i nawracania siłą. Krzyż jest znakiem miłości. Tylko my do niego nie dora-

stamy, bo Kościół nie jest wspólnotą ludzi świętych, ale słabych, którzy dopiero do tej doskonałości dążą. Więc to nie krzyż jest winien, a ludzie...

Jezus ostrzega, że nie przyznaje się do tych, którzy wyznają go ustami, a zło czynią. Trzeba być zimnym albo gorącym... A my przyzwyczailiśmy się do swoistej schizofrenii. Polska to naród chrześcijański – tak uważa wielu – ale czy na pewno? Ochrzczone – ponad 90 proc., wierzących – 30, 35 proc., a może zdecydowanie mniej? Ilu jest takich, co rodzice nauczyli wierzyć w Boga i oni na tym etapie zostali?

Do wielu spraw trzeba dorosnąć i nie szukać Boga w niebie, ale w konkretnych wydarzeniach swojego życia. Mówię, co myślę, nie narzucam nikomu swojego zdania. Szanuję innych ludzi, nawet jeżeli się z nimi nie zgadzam. Wtedy dyskutuję, ale z ogromną kulturą i wrażliwością, by nie zbezcześcić czegoś, co dla innych jest niemal święte i uważam, że jedyną receptą, żeby się nie nienawidzili, nie jest usuwanie wszystkiego, co ma konotację religijną (p. Keff), ani tym bardziej wieszania wszystkiego, co kto zapragnie i traktowania tego z równym namaszczeniem lub obojętnością, a nawet pogardą (p. Jacek). Uważam, że każdy ma prawo iść za swoim pragnieniem, byleby po drodze nie krzywdził innych, by jego wolność nie była niewolą dla drugiego człowieka. Aby wolność moja mogła współistnieć z wolnością pani Keff, z wolnością pana Jacka.

Mówmy, piszmy, dyskutujmy, spierajmy się, poznajmy się, a przede wszystkim szanujmy się nawzajem. Nie padajmy na kolana ani przed cudzymi poglądami, a tym bardziej przed swoimi, i nie zmuszajmy innych, by to czynili, pamiętajmy, że wszystko jest formą (por. Gombrowicz) i tylko człowieka nie można w nią zamknąć, gdy on tego nie zechce.

PUER z woj. podkarpackiego (nazwisko i adres do wiadomości redakcji)

(Także – na str. 6 – „Krzyż jest symbolem”)



Założył w roku 1945 w Krakowie
Redaktor **MARIAN EILE**

Wydawca: EDIPRESSE POLSKA SA
ul. Wiejska 16, 00-490 Warszawa
tel. (0-prefix-22) 628-05-29, fax: (0-prefix-22) 621-19-76

PREZES WYDAWNICTWA: Zbigniew Napierała
DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY: Ewa Redel
DYREKTOR FINANSÓW: Paweł Satkowski
DYREKTOR DS. ROZWOJU I KONTAKTÓW MIĘDZYNARODOWYCH: Agnieszka Smit
DYREKTOR MARKETINGU: Izabela Bochenek

REDAKCJA W WARSZAWIE: ul. Wiejska 16,
tel. (0-prefix-22) 627-23-07, fax: (0-prefix-22) 627-23-05

REDAKCJA W KRAKOWIE: 31-012, ul. Reformacka 3
lub 30-960 Kraków I, skrytka pocztowa 533,
e-mail: redakcja@przekroj.pl
Telefony – łączą centrala: (0-prefix-12) 422-18-33,
422-18-72, 422-59-54, 422-18-92, 421-91-37
fax (0-prefix-12) 421-49-29, 422-70-61

REDAKTOR NACZELNY, SZEF NOWEGO PROJEKTU „P”:
Jacek Rakowiecki
ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO: Marcin Baran
SEKRETARIAT ODPOWIEDZIALNY: Mirosław Chomko,
Joanna Gromek Ilg, Andrzej Ruchalski (sekretarz),
Anna Rudnicka

DZIAŁY:
Kultura: Włodzimierz Jurasz (kierownik),
Benjamin Lazar, Justyna Tawicka, Jacek Ziomek
Krajowy: Łukasz Dziatkiewicz, Jakub T. Janicki,
Barbara Pajchert, Roman Polesek, Tomasz Wołski
Reportaże: Izabella Bodnar, Dariusz Wojtala
Nauka i zdrowie: Teresa Bętkowska,
Janusz Marjan (kierownik), Lesław Peters
Publicyści: Ludwik Jerzy Kern, Wojtek Kocółowski,
Leszek Mazan, Jerzy Piekarczyk, Kazimierz Targosz,
Dorota Terakowska, Bogna Wernichowska

Pracownia graficzno-komputerowa:
Piotr Gidlewski (kierownik artystyczny), Maria Klich,
Jan Kozak, Joanna Sroka,
Dział fotograficzny: Marek Szczepański (fotodoryt),
Bogdan Kręzel, Jan Zych
Korekta: Małgorzata Strakowska-Szczurek,
Barbara Wojtanowicz (kierownik)
Produkcja: Andrzej Laurisz

DZIAŁ DYSTRYBUCJI: tel. (0-prefix-22) 628-05-29
w. 233, Grzegorz Barej – dyrektor

DZIAŁ PROMOCJI: Marcin Fedisz (kierownik), Anna
Korwin, Wacław Kaczmarczyk („Złoty Grosz”), Anna
Ostał

BIURO REKLAMY:
Dyrektor: Agata Eigner
Warszawa – ul. Wiejska 16
tel./fax (0-prefix-22) 627-23-09
tel. (0-prefix-22) 627-23-06 do 08 w. 128, 228
Kraków – ul. Reformacka 3
tel. (0-prefix-12) 422-70-61, Marzena Kiedacz

DRUK: Winkowski Sp. z o.o. ul. Okrzei 5,
64-920 Piła, tel. (0-prefix-67) 210-84-00

Okladka – Galerie Fine 90 gsm; Producent – Metsa Serla
Kirkniemi Mills.
Srodek – Stellapress 60 gsm; Producent – Sora Enso.

PRENUMERATA: u Wydawcy – Izabela Dębska,
Agnieszka Bogdańska, tel./fax (0-prefix-22) 625-08-20,
tel. (0-prefix-22) 628-05-29 w. 210
Przez pocztę – przedpłaty przyjmują urzędy pocztowe
na terenie całego kraju
Przez RUCH S.A. – informacja tel.: (0-prefix-22)
532-87-31, fax: (0-prefix-22) 532-87-32

Artykułów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo
do zmian i skrótów w nadesłanych
artykułach i listach.
NAKŁAD: 77 500 egz.



Wszystko działa i ma znaczenie

RAFAŁ OLBIŃSKI, artysta, który odniósł światowy sukces, mówi: Mało kto ma własny gust, a sztuka współczesna w 90 procentach nic nie jest warta.

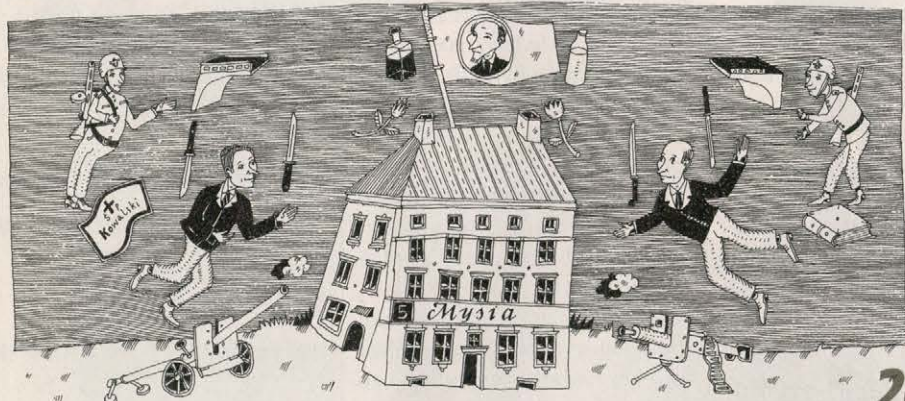
BOGDAN KASPEREK

FOT. DANI KOZAK / AG

Cenzura hańbą cywilizacji

Ma bogatą i długą historię. Szczególnie w PRL-u.

BOGNA WERNICHOWSKA,
LESZEK MAZAN



RYT. IGNACY CZWARTOSZ

26

Czekając na Mesjasza

Chasydyzm narodził się w środku Europy i tu zginął. Przetrwał w kosmopolitycznym Nowym Jorku.

MARCIN SZCZEPAŃSKI



FOT. MARCIN SZCZEPAŃSKI

30

NUMER 49
9.12.2001



OKŁADKA:
fot. WOJTEK SZABELSKI

Listy 3, 6

CZECZOT w „Przekroju” 3

ANDRZEJ MLECZKO
Pan Zenek – wesoły sanitariusz 7

Ilustrowany „Przekrój” tygodnia 8

Mikołajowy rebus 12

JERZY CIERPIATKA
Polska grupa 13

Bogdan Kasparek
Wszystko ma znaczenie. Rozmowa z RAFAŁEM OLBIŃSKIM 14

AGATA WASILENKO
Oj, jak tu brzydko 18

Kazimierz Targosz
Nie jest łatwo. Rozmowa z JANEM KANTYM PAWLUŚKIEWICZEM 22

LESZEK MAZAN
Cenzura hańbą cywilizacji 26
BOGNA WERNICHOWSKA
Księgi zakazane 28

MARCIN SZCZEPAŃSKI
Czekając na Mesjasza. Chasydzi w Nowym Jorku 30

MICHAŁ WÓJCIK
Współczesny Polak nie posiedzi 34

ANDRZEJ PIĄTEK
Szajna w Meksyku 36

Galeria
ZBIGNIEW BIELAWKA,
WOJTEK KOCOŁOWSKI
Dym 38

Świat ALEKSANDER WAŚNIEWSKI
Tanzańskie szkoły 44

HOFF Wieczorową porą 46

WIEDEMANN Dziennik „duszy” 47

Zirowie TERESA BĘTKOWSKA
Kości na stoku 48

Sztuknia KEFF
Liścik do zmiennika 50

Instrukcja obsługi TV
Kulturalna ciotka i postmodernizm 51

Media LESŁAW PETERS
Reporter na muszce 52

Tu i tam JAN BALBIERZ
Hmong idą na targ 54

Sztuka BEATA MACIEJEWSKA
Manewry uliczne Roberta Rumasa 60

Film Roman Rogowiecki
Mówi HALLE BERRY:
– Musiałam się starać 62

TOMASZ PRZYBYŁKIEWICZ
„Memento” Christophera Nolana 64

Teatr ŁUKASZ DREWNIAK
Bożytki z monogamii. „Ferdynand” w Łodzi;
Dostawka GŁOWACKIEGO 66

Muzyka WITOLD KORNACKI
Aktor w klipie 68
ROBERT ZIĘBIŃSKI Świetliki 70

Książki JAN GONDOWICZ
„Rękopis” Sapkowskiego 72

Klub Smakosza TADEUSZ PIÓRO
Kuchnia Neli 74

Lustro weneckie
KRZYSZTOF JASIŃSKI 75

Mieszanka firmowa 76

Krzyżówka z jolką i STEFANIAKIEM 80

Co Pan na to, Panie LEM? 82

Rozmaitości 84

Dym

Niezwykła krakowska kawiarnia. Tu ludzie tracą czas, pieniądze i siły z własnej woli.

ZBIGNIEW BIELAWKA
WOJTEK KOCOŁOWSKI



FOT. ZBIGNIEW BIELAWKA

38

Reporter na muszce

W tym roku życie straciło już 80 dziennikarzy. Najwięcej w Afganistanie.

LESŁAW PETERS

FOT. FORUM

52

Hmong idą na targ

W górach Wietnamu żyją plemiona nietknięte duchem komunistycznych przemian.

JAN BALBIERZ



FOT. JAN BALBIERZ

54



KRZYŻ JEST SYMBOLEM

Pragnę zwrócić uwagę p. Keff, która w nr 2940 „P” z wielkim niesmakiem wyraziła to, że zmuszona jest spotykać krzyże w miejscach „niekatolickich”, jak np. apteki, sklepy itp. Szanowna Pani, krzyż jest symbolem całego chrześcijaństwa, jest związany nie tylko z katolicyzmem. I niech Pani sobie wyobrazi, że są ludzie, którzy z radością spotykają Go wszędzie: w aptekach, szpitalach, sklepach i szkołach. Zarówno ci, co te miejsca odwiedzają, jak i ci, co w nich pracują.

Ale ponieważ żyjemy w państwie demokratycznym, niech sobie piszą i p. Keff, i p. Głowacki, i p. Podsiadło, którego „obrona krzyża” zamieszczona w numerze 2942 jest wręcz obrzydliwa.

KRYSTYNA
BOCHWIC-JABŁOŃSKA,
Warszawa

HIMILSBACH I DUDA-GRACZ W ŁAGOWIE

Zamieściliście w „P” 2941 dwa ciekawe artykuły: „MANTU – archeolog Himilsbacha” p. Piotra Krzyżanowskiego i rozmowę p. Kazimierza Targosza z Jerzym Dudą-Graczem „Jestem krnąbrnym, ale nieodłącznym dzieckiem Kościoła”. Nie ma w tym zestawieniu nic niezwykłego poza faktem, że obydwa twórcy zbiegiem okoliczności byli (w przypadku profesora nadal) blisko czy może w szczególny sposób związani z Łagowem.

Jan Himilsbach jest w Łagowie postacią ciągle przywoływaną we wspomnieniach, a to przez tutejszych mieszkańców, a to wśród bywalców Lubuskiego Lata Filmowego, którego

gościem przez lata był (niewątpliwie można by tu zebrać ciekawy materiał o nim). Jerzy Duda-Gracz wśród licznych opowiadań często wspomina pana Jana w formie anegdota czy też faktów autentycznych.

Ostatnie takie wspomnienie pochodzi z okresu bardzo ciężkiej i jakże intensywnej pracy twórczej nad Droga krzyżową dla klasztoru Paulinów na Jasnej Górze, którą artysta tworzył w Łagowie. Któregoś wieczoru oderwał się na chwilę od malowania i zszedł na kolację bardzo zmęczony. Po kilku minutach ożywił się nagle, zaczynając opowiadania o Himilsbachu, i wtedy kolejny raz zdałem sobie sprawę z faktu, ile radości, ale też prawd życia dawał nam ten artysta-naturzyczek swoim nietypowym, za to na ogół akceptowanym zachowaniem.

Upewniłem się też, że artyści, bez względu na pochodzenie i wykształcenie, mają „boski dar”, który pozwala im dodawać sobie wzajemnie sił, porozumiewać się za pomocą mediów pozaziemskich i dlatego prawdziwa twórczość ciągle trwa.

A tak naprawdę to artystom w Łagowie pomaga wspinały „duch przyrody”, nie mówiąc już o ciągle krążących tutaj duchach templariuszy i joannitów, zazdrośnie strzegących św. Graala.

HENRYK CZAJKOWSKI,
Łągów-Toporów

BETONOWCE Z DARŁOWA

W czasie ostatniej wojny Niemcy produkowali w Darłowie statki z betonu. Powstawały tu dwa typy – tankowce motorowe o nośności 3650 ton oraz frachtowce parowe.

Statki były budowane w drewnianych szalunkach, a ich szkielety wykonywano z konstrukcji stalowej i siatki. Z zewnątrz kadłuby statków były szlifowane do idealnej gładkości. Wyposażeniem statków zajmowała się stocznia w Szczecinie.

Poza Darłowem betonowe statki były również produkowane w Warnie w Bułgarii, w Larvik w Norwegii, w Rotterdamie w Holandii, w Neusatz nad Dunajem i w Nois nad Renem. Prawdopodobnie wybudowano ponad 50 takich statków.

Uciekając z Darłowa, Niemcy w lutym 1945 r. wysadzili stocznie betonowców w powietrze. Dwa nie-

wykończone statki przejęli Rosjanie i przeholowali je do swych portów.

Przy budowie betonowych statków w Darłowie Niemcy zatrudniali jeńców radzieckich. Traktowali ich nieludzko, nędznie żywili, wielu jeńców zmarło z głodu i wyczerpania. Nie ma obecnie najmniejszej pamiętki po pomordowanych, chociaż lapidarium niemieckie przy kościele Mariackim kilkanaście lat temu wybudowano!

Niewiele zachowało się informacji co do losu betonowych statków. Na pewno były wykorzystane w czasie wojny do przewozu żołnierzy i materiałów wojennych. Dwa z nich, zatopione, znajdują się na dnie Bałtyku w pobliżu portu w Świnoujściu. Jeden podtopiony stoi na Jeziorze Dąbskim, jest bezpański, służy jako swoista baza wędkarzom, a także współczesnym graffitiarzom!

BERNARD KONARSKI,
Koszalin

WIEDEMANN: BANAŁ CZY NIE BANAŁ?

Doprawdy – jestem zdruzgotany. Czuję się niewygodnie, jakby wywleczony w pole, mgliste i podmokłe. Mój światopogląd, mocno już nadwątlony, łamię się po raz kolejny na widok dalszych porcji Pańskiego humbugu, niewiarygodnym splotem nikomu nie znanych okoliczności, drukowanego na stronach przyzwoitego przecież „Przekroju”.

Czy nie lepiej byłoby poprzestać na samym tylko zdjęciu, unikając tym samym tak drastycznej kompromitacji? To niepoprawność godna zmanierowanego uczniaka, producenta tandety raczej, nie literatury. Podobno odniósł Pan poważne sukcesy, wzniósł się pod nieboskłon, zaistniał wszędzie tam, gdzie koleżeńskie poklepywanie się po ramieniu weszło w nawyk równy fizjologicznemu wypróżnianiu (rzecz nie do oglądania).

Skąd to rozpasanie? Mam wrażenie, że przyjaciele klaszczą Panu do słuchawki, między wierszami Dziennika „duszy” pisanego po pijaku (na trzeźwo?), a nawet namawiają do jego kontynuacji. Ja, na Pańskim miejscu, przejrzałbym na oczy i obraziłbym się na nich. Wiem, wesoło jest bredzić wśród znajomych. Dobrze jest się obracać, jeszcze lepiej w elitarnym gronie. Ale, na Boga, są pewne granice po-

kory. Ja dostaję od Pana w pysk co najmniej raz w tygodniu.

A może ja czegoś nie rozumiem? Być może „Dziennik” pisze Pan specjalnym szyfrem, który znam jami np. we środę wieczorem, i być może na tym właśnie polega cały misterny dowcip.

W takim razie dlaczego Pańskie wynaturzenia znajdują w tym pięknym tygodniku czytelnicy, których nic a nic nie interesuje fakt, że kim pił Pan wódkę we wtorek trzy tygodnie wcześniej. Czy pisze Pan za „friko”? Pewnikiem tak. Pisanie to przyjemność, ha? Z wielką frajdą dopiszę Pański „Dziennik duszy” do następnych czterdziestu numerów „Przekroju”, ba, do Pańskich czterdziestych urodzin.

Zdarzało mi się czytywać rzeczy różne, czasem zbyt szorstkie, nieprzyjemne, odpychające, ale Pan jest niepokonany! Prawdziwy bohater? Apologeta szmiry? Klasyk banału? Heros mizerii?

Jestem, Panie Adamie, w kławej pozycji statysty. Nie mam własnego fanklubu. Jestem nikim przy Panu i Pańskich kolegach. Pragnę wytoczyć jednak wojnę grafomanii, zięćcej odorem wczorajszej libacji, której sztandar Pan dzierżysz, a której na imię „Dziennik duszy”. Wyczuwam, że podobne słowa trafiają do Pana dość często. Krążą w eterze umysłów setek takich jak ja, niedostatecznie jeszcze (!) zdeterminowanych, machających ręką, mrużących oko i krzywiących usta w ciągle małym geście oporu. Ale, Panie Adamie, takie przyzwolenie nie może trwać wiecznie, nieprawda?

Mam chybotałą nadzieję na konfrontację. Zapraszam do otwartej polemiki: „Banał: banał czy nie banał” i – szczerze mówię – liczę na Pana. Serdecznie proszę o odpowiedź, nim umrę z rozpaczy. Z powodu najnormalniejszej w świecie rozpaczy.

MICHAŁ PALAU,
michal.palau@interia.pl

DZIECI BĘDĄ ZABIJAĆ?

Napisałam w tekście „Zabić obcego” („P” 2938) o niszczącym wpływie gier komputerowych na dzieci. Odezwali się, atakując ten tekst, dwudziesto- i trzydziestoparolatowie (był bodaj jeden ciekawy wyjątek w „P” 2940 – list wyją-

kowo dojrzałego 15-latką), którym gry raczej nie szkodzą. Mnie też nie, co podkreślałam. Dzieci się nie odezwą. Dzieci i ryby nie mają głosu. Więc dzieci nadal będą zabijać obcych, wierząc, że to wspinała rozrywka.

DOROTA TERAŁOWSKA,
http://terakowska.art.pl

O MOICH AMSTAFFACH I DOBRACH OSOBISTYCH

Z wielkim ubolewaniem stwierdzam fakt naruszenia moich dóbr osobistych w numerze 2943 „Przekroju”. Artykuł zatytułowany „Człowiek pogryzł Am staffa” Agaty Wasilenko cechuje wyjątkowa niedbałość w kwestiach merytorycznych, brak profesjonalizmu i duża doza agresji. Autorka opisuje marginalne przypadki traktowania psów przedmiotowo. Zapewniam, że prawdziwi hodowcy nie dopuszczają, by ich psy były źle traktowane lub dostały się w ręce ludzi nieodpowiedzialnych.

Autorka pisze: „Co sądzić o psychice właściciela psa bojowego, który na stronach internetowych sam określa się mianem „Pit Bull”? Na stronie, o której mowa, pojawia się również moje imię, nazwisko i numer telefonu. Wielu moich znajomych po przeczytaniu tego dzieła zadzwoniło do mnie z oburzeniem, rozpoznając w nim atak na moją osobę. Autorka nie zada-

ła sobie trudu, by obejrzeć zdjęcia i przeczytać teksty o moich psach, z których wynika jasno, że są to moi przyjaciele, a nie krwawe bestie.

To dzięki takim profesjonalnym żurnalistom opinia publiczna postrzega te psy jako żadne krwi niewinnych ofiar. To dzięki takiemu podejściu jednym zdaniem krzywdzi się innych i przekreśla wieloletni dorobek hodowlany. I nie mam tu na myśli siebie, choć zajmuję się psami od 17 lat, a tą rasą od lat 5, ale znaną hodowlę, która została w tym artykule również dotknięta, a której to psy są wyjątkowo łagodne i wychowują się z dziećmi.

Byłem jednym z pierwszych założycieli Klubu Terierów Typu Bull. Przez pięć lat wystawiania swoich psów na wystawach doprowadziłem do tego, że są najlepszymi sukami w Polsce wg rankingu Klubu za rok 2000.

Jakim prawem pani Wasilenko mnie obraża i moich przyjaciół? To, że jestem łysy, że mam psy ras Am staff, że znajomi dali mi przydomek „Pit Bull”, to wszystko upoważnia autorkę do ferowania wyroku o mojej i mnie podobnych osobach? Postrzeganie świata przez panią Wasilenko jest powierzchowne i płytkie. To, co nawypisywała, wymaga oddzielnego artykułu, by zatrzeć skutki błędów. Regulacje prawne już istnieją na posiadanie psów ras uznanych za niebezpieczne.

Czy zadała sobie dziennikarka trochę trudu, by zapoznać się ze

statystykami pogryzień przez psy w naszym kraju? Większość to mieszańce. Te wszystkie głodne, bite, maltretowane zwierzęta na wsiach i w mieście to jest prawdziwy problem. A nie ta garstka psów ras bojowych znajdujących się w rękach odpowiedzialnych ludzi. Szczenięta sprzedawane jako amstaffy często nimi nie są. Są to mieszańki amstaffopodobne. I to właśnie te zwierzęta są chętnie nabywane przez osobników, którzy często wykorzystują je do celów, od których prawdziwi hodowcy się zdecydowanie odcinają. Żądam przeproszenia mnie na łamach waszego pisma!!!

PIOTR „PIT BULL” KARPIUK

ODPOWIEDŹ:

List Piotra „Pit Bulla” Karpiuka jest dowodem na to, że artykuły żyją własnym życiem i szybko stają się przedmiotem swobodnej gry wyobraźni czytelnika, odchodzącej daleko od zawartej w nich treści. W moim artykule nie ma żadnych sądów na temat Piotra „Pit Bulla” Karpiuka. Nie jest również nigdzie powiedziane, że osoba podpisująca się Pit Bull to Piotr Karpiuk, ani że amstaffy to psy-mordercy.

Godny uwagi jest natomiast pogląd Piotra „Pit Bulla” Karpiuka, że odpowiedzialnych ludzi posiadających psy bojowe jest „garstka”. Sama nigdy nie zdecydowałabym się na tak kategoryczne stwierdzenie.

AGATA WASILENKO

O „MEBLOWANIU GŁÓW”

Kolega pisze mi mejla, że w „Przekroju” jest o Meblowaniu Głół, które miało miejsce w ramach festiwalu „Warszawa Pisarzy” (nr 2944). Była to impreza pisma „Meble”, którego jestem redaktorką. No to myślę sobie: „mmm, jak w »Przekroju«, to na pewno ciekawy artykuł, dobrze ujęty, mądry et cetera”.

A tu taka ignorancja, że aż list ten piszę. Autor reportażu „Wieczory pół-literackie”, Artur Cezar Krasicki (a tak dobrze brzmi), nie zdołał nawet zapamiętać nazwy naszego pisma, którą to zastąpił wyrażeniem „pismo poety Lipszyca”. No szlag może trafić.

Poczułam się urażona, gdyż „Meble” nie są „pismem poety Lipszyca”, są natomiast wspólnym, demokratycznym przedsięwzięciem sześciu osób: Wojtka Pakiera, Ani Krauss, Radka Dutkowskiego, mnie, Marii Cyranowicz i wspomnianego już poety Lipszyca. Jarek Lipszyc jest Redaktorem Naczelnym, ale w „Meblach” jest to funkcja, która nie świadczy o wyjątkowej, uprzywilejowanej pozycji. Wszyscy decydują o wszystkim na równych prawach. Do tych jednak, niewartych zainteresowania pana Krasickiego, informacji pan ten nie był w stanie dotrzeć (albo dotarł i zapomniał – piwko, eh to piwko...). No to tyle sprostowania.

AGNIESZKA AGA SŁODOWNIK,
redaktorka „Mebli”

„PAN ZENEK WESOŁY SANITARIUSZ” — ANDRZEJ MLECZKO





ŚMIERĆ GEORGE'A HARRISONA

Gitarzysta legendarnego zespołu The Beatles nazywany był przez dziennikarzy i fanów „Cichym Beatlesem”. W przeciwieństwie do wielkiego duetu Lennon–McCartney nigdy nie aspirował do miana lidera, choć to on skomponował najlepsze bodaj piosenki w karierze zespołu – „Taxman”, „Here Comes the Sun”, „While My Guitar Gently Weeps”. Po rozpadzie grupy nie udało mu się odnieść

spektakularnego sukcesu. Wyjątkiem był album „All Things Must Pass”, choć pochodzący z tej płyty przebój „My Sweet Lord” okazał się plagiatem „He's so Fine” autorstwa Chiffons. Dopiero w roku 1987 nastąpił przełom. George Harrison założył wraz z Bobem Dylanem, Tomem Pettym, Jeffem Lynnem i Royem Orbisonem supergrupę The Travelling Wilburys. Debiutancki album tej formacji przywrócił wiarę

w talenty muzyczne wszystkich jej członków. Po śmierci Orbisona muzycy nagrali razem jeszcze dwa albumy, jednak żaden nie odniósł takiego sukcesu jak pierwszy. O wiele większe powodzenie zdobył Harrison w branży filmowej. Założona przez niego firma HandMade Films wyprodukowała takie filmy, jak „Żywot Briana”, „Mona Lisa” czy „Tor 69”. Koniec lat 90. okazał się dla artysty szczególnie pechowy.

Z ZIMNĄ KRWIĄ

Siły opozycji przyznały się do rozstrzelania 160 talibskich bojowników w Mazar-i-Szarif. Zbiorowej egzekucji dokonano na oczach amerykańskich wojskowych, którzy bezskutecznie próbowali jej zapobiec. Talibów zgładzono, ponieważ wcześniej nie chcieli się poddać. Pentagon zaprzecza, jakoby żołnierze Sojuszu Północnego dokonali masakry więźniów.

HIV ATAKUJE ROSJĘ

Zarażonych wirusem może być w Rosji nawet półtora miliona ludzi. Moskwa obok Irkucka i Petersburga jest największym siedliskiem epidemii. Jeżeli AIDS rozprzestrzeniać się będzie tak szybko, jak do tej pory, na leczenie nie wystarczy cały budżet resortu zdrowia.

POLICJA W DZIURZE

„Policja nie może być enklawą szczęśliwości” – wiceminister spraw wewnętrznych, Zbigniew Sobotka, tłumaczył następstwa zapasów budżetowej państwa. Zaplanowane na rok 2002 zakupy nowoczesnego sprzętu policyjnego muszą być odłożone. Nie będzie też pieniędzy na znaczące zwiększenie liczby policjantów. Jak na dziurę w budżecie zareaguje świat przestępczy?

ZAPARCIE SIĘ HUSAJNA

Prezydent Stanów Zjednoczonych przypomniał, że kraje, które weszły w posiadanie broni masowego rażenia, aby „terroryzować świat”, są celem amerykańskiej wojny z terroryzmem. Irak nie zgodził się na kontrolę swoich arsenałów przez ONZ. „Saddam Husajn sam zobaczy, co się stanie, gdy odmówi” – zagroził George Bush.

SOJUSZNICY HAMUJĄ

Kancelarz Niemiec ostrzegł przed poszukiwaniem „nowych celów w ramach walki z międzynarodowym terroryzmem”. Podobne stanowisko zajmuje rząd brytyjski, który nie zamierza udzielać poparcia rozszerzaniu akcji w Afganistanie na inne kraje, jeśli nie ma to bezpośredniego związku z zamachem z 11 września.

TYGRYS EUROPY

Przemawiając w Sejmie, Roman Giertych nazwał negocjacje rządu z Unią Europejską „szybkim marszem na kolanach”. Zdaniem posła Ligi Polskich Rodzin, zamiast zabiegać o miejsce w Unii, Polska powinna szukać wzorów gdzie indziej i godnie podążać śladem państw Azji i Dalekiego Wschodu.



Petersberg k. Bonn. W trakcie międzynarodowej konferencji pod egidą ONZ na temat kształtu przyszłego rządu w Afganistanie – Pasztunowie demonstrują poparcie dla byłego króla, Mohammeda Zahira Szacha.



Organizacja Viva! rozpoczęła kampanię przeciwko eksportowi koni na rzeź. Polska jest największym eksporterem (87 tys. rocznie). W Wielkiej Brytanii akcja była skuteczna, choć godziła w źródło dużych zysków.



Sejm odwołał z funkcji wicemarszałka Sejmu Andrzeja Leppera, który w wywiadzie radiowym nazwał kanałią ministra spraw zagranicznych, Włodzimierza Cimoszewicza. W podobnym stylu zarzucił kilku posłom branie łapówek. Słowami szefa Samoobrony zajmie się prokurator.



Fidel Castro oskarżył rząd USA o zachęcanie Kubańczyków do ucieczek z kraju na łodziach, które często toną wraz z uchodźcami. Przywódca kubański nazwał to terroryzmem.



Półtora tysiąca amerykańskich marines wylądowało w pobliżu Kandaharu. Od tej chwili, zdaniem ekspertów, wojna w Afganistanie wkroczyła w swą ostatnią, decydującą fazę.

AKCJA I REAKCJA

W Poznaniu obradował kongres Akcji Katolickiej, który uznał, że „wobec zagrożenia życia religijnego neomarksizmem i postmodernizmem” cele stowarzyszenia są nadal aktualne. Do Akcji należy 35 tys. Polaków, ale zainteresowanie nią wśród młodzieży nie jest takie, jakiego oczekiwano. Bp Piotr Jarecki, asystent kościelny AK, stwierdził: „Jest nieźle, ale jeszcze niezbyt dobrze”.

NIE MA WYBORU

Arcebiszop gnieźnieński, Henryk Muszyński, uczestniczył w Brukseli w posiedzeniu Komisji Episkopatów Wspólnoty Europejskiej. „W sprawie Unii Europejskiej – powiedział – nie ma dla Polski alternatywy. Polska nie może być jakimś rezerwatem w środku Europy”.

ŻEGNAJ, FUNCIE

Tragedią powojennej historii nazwał premier Tony Blair nieprzystąpienie Wielkiej Brytanii do EWG w 1957 roku. Gdy wreszcie Brytyjczycy do niej dołączyli w 1973 roku, reguły gry były już opracowane bez ich udziału. Premier przypomniał o tym w związku z referendum, które ma zdecydować, czy jego kraj znajdzie się w strefie euro. Na razie większość Brytyjczyków wciąż woli funta.

DWA LATA ZA RASIZM

Komisja Europejska zaproponowała, aby kara za przestępstwa związane z rasizmem i ksenofobią nie była niższa niż dwa lata więzienia. Dochodzi do tego przyjęcie wspólnej definicji rasizmu i ksenofobii. Każdy kraj, kandydujący do Unii, musiałby wprowadzić te zasady w swoim systemie prawnym.

STRACH PRZED GZEGŻÓŁKĄ

Prawie trzy tysiące osób wzięło udział w pisaniu ogólnopolskiego dyktanda w Katowicach. Do finału zakwalifikowano tylko tych, którzy zrobili najwyżej dwa błędy. „Odniosłem wrażenie, że niektórzy byli przerażeni” – scharakteryzował reakcję zawodników prof. Bogusław Dunaj, autor dwóch z trzech tekstów dyktanda.



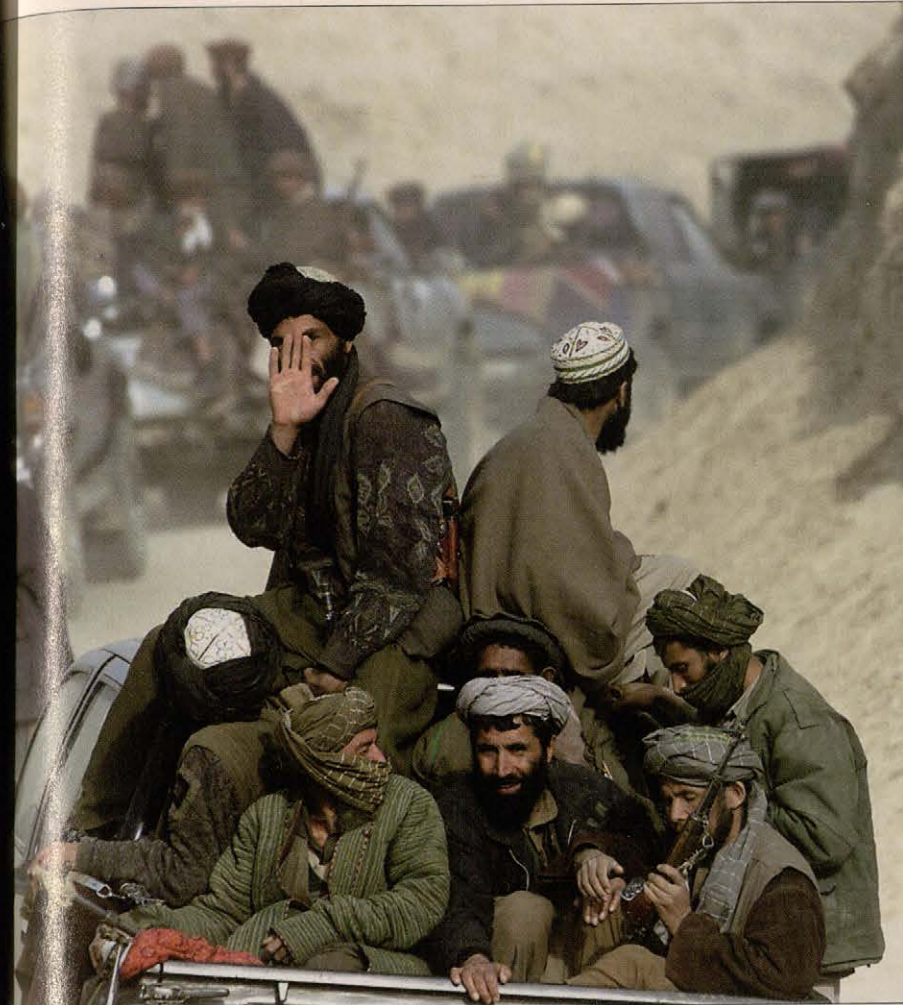
MYŚL TYGODNIA

Nie należy mylić ławy oskarżonych z fotelem marszałkowskim.

Włodzimierz Cimoszewicz – minister spraw zagranicznych



FOT. PAP/AP



Kolumna ciężarówek z talibami przejechała przez linię frontu. Według afgańskiej agencji AIP bez walki poddał swój ostatni bastion na północy kraju – Kunduz. Na południu, w Kandaharze, przywódca talibów, emir Omar, zagroził dezertorom wiecznym potępieniem.



FOT. PAP/AP

„Nasz minister spraw zagranicznych na misji pokojowej”. Joschka Fischer poparł wysłanie Bundeswehry do Afganistanu.



FOT. PAP/MIOSŁAW TREMBECKI

Pokaz sprawności grupy antyterrorystycznej. W przygranicznym Chelmie otwarto jedyną na wschodniej granicy Polski placówkę Centralnego Biura Śledczego.



FOT. PAP/AP

Flagę, którą po terrorystycznym ataku 11 września zawieszono na ruinach World Trade Center, wysłano na czas wojny amerykańskim marines do Afganistanu.



FOT. PAP/AP

Tym razem to jest płacz ze szczęścia. Rebelianci, którzy walczyli z armią na południu Filipin, uwolnili kilkudziesięciu zakładników w zamian za gwarancje własnego bezpieczeństwa.

Aby wziąć udział w losowaniu nagród, należy:

- poprawnie rozwiązać rebus;
- przesłać kupon konkursowy z rozwiązaniem na karcie pocztowej do dnia 17 grudnia 2001 r. (decyduje data wpływu korespondencji do redakcji). Nasz adres: „Przekrój”, 31-012 Kraków, skr. poczt. 533, z dopiskiem REBUS MIKOŁAJOWY.

• Laureatów wylosuje z-ca red. naczelnego i Święty Mikołaj. Zwycięzcy otrzymają nagrody książkowe.

• Nazwiska laureatów opublikujemy w „P” nr 1/2002 dnia 6 stycznia 2002 r.



KUPON KONKURSOWY – REBUS ŚWIĘTEGO MIKOŁAJA – ROZWIĄZANIE:

Imię i nazwisko

Adres

Telefon

Polscy piłkarze rozpoczną przyszłoroczne Mistrzostwa Świata od meczów z Koreą, Portugalią i Stanami Zjednoczonymi. Futbolowi fachowcy mają nadzieję, że tych meczów będzie więcej.



BĘDZIE DOBRZE!

Największym optymistą jest Kazimierz Górski. Dla kochanego przez wszystkich trenera pian minimum to zajęcie przez Polaków drugiego miejsca. O wygraniu rywalizacji grupowej zadecyduje mecz z Portugalią. Opinię Górnym losowaniu podziela inne ważne postaci futbolowej sceny, chociaż z pewnym dystansem. Mogło być o wiele gorzej, wystarczy spojrzeć na grupę F, w której zagrają Argentyna, Anglia, Szwecja i Nigeria.

– Trafiliśmy do grupy bardzo wyrównanej, z jednym wyraźnym faworytem. Myślę naturalnie o Portugalii. Trzy pozostałe zespoły mają jednakowe szanse na zajęcie drugiego miejsca, nikogo nie wolno lekceważyć – woli dmuchać na zimne Jerzy Engel. Widząc sporą szansę na awans – pogląd Engela podziela Antoni Piechniczek.

Przypatrzmy się rywalom naszej drużyny narodowej.

KOREA POŁUDNIOWA

Dotąd Polacy ani razu nie grali z Koreańczykami. A mecze z gospodarzami, zwłaszcza Mistrzostw Świata, są z reguły trudne. Wystarczy przypomnieć, że w przeszłości przegraliśmy z RFN (1:0 w 1974 r.) i z Argentyną (2:0 cztery lata później). Engel uważa, że piłkarze muszą być bardzo dobrze przygotowani psychicznie do tego meczu. Tym bardziej, że cały stadion będzie przeciwko nam. Antoni Piechniczek przypomina sobie siłę koreańskiej reprezentacji z towarzyskich meczów przeciwko Tunezji, którą w przeszłości prowadził. – To bardzo niewygodny rywal, koreańscy piłkarze pre-

zentują niezłe wyszkolenie techniczne i niesamowitą sprawność – przestrzega. Selekcjonerem drużyny koreańskiej jest były szef holenderskiej drużyny narodowej, Guus Hiddink. Pod jego wodzą Korea Południowa pokonała niedawno mocną przeciwniczkę Chorwację 2:0.

PORTUGALIA

Na sześć spotkań rozegranych dotąd z Portugalczykami Polacy wygrali dwa, za kadencji Jacka Gmocha i Piechniczka. Ale akurat drużyna Piechniczka poniosła trzy porażki. Wygrany na chorzowskim stadionie rewanż za przegraną w Porto – gol strzelony przez Kazimierza Deynę bezpośrednio z kornera – pozwolił pojechać Polakom na MŚ w Argentynie w roku 1978. Portugalia to aktualnie trzecia drużyna Europy. W EURO 2000 mogło być dla nich jeszcze lepiej, długo wygrywali w półfinałowej wojnie z Francuzami, prowadząc 1:0, by ostatecznie przegrać 1:2. Plejada doskonałych graczy – Nuno Gomes, Pauleta, Rui Costa, Sergio Conceição, nad którymi błyszczy megagwiazda Luisa Figo. – Nie zapominajmy, że Portugalia organizuje najbliższe finały EURO. To ją będzie bardzo motywować do udanego występu w finałach MŚ – prognozuje Piechniczek.

STANY ZJEDNOCZONE

Futbol, a raczej soccer – wbrew pozorom nie narodził się w Ameryce wczoraj. 10 czerwca 1924 r. na stadionie stołecznej Agrykoli Polska uległa USA 2:3. Z Amerykanami graliśmy dotychczas jedenaście razy i mamy korzystny bilans, ale bez przesady (6 zwycięstw, 1 remis

i 4 porażki). Mało to miłe, że w ostatnich edycjach MŚ Amerykanie byli od nas zdecydowanie lepsi. Od roku 1994 startują w finałach już po raz trzeci.

Doskonale znający realia amerykańskiej piłki nożnej Roman Kosecki upomina, by nie lekceważyć piłkarzy USA. Odnosili sukcesy na olimpiadach, mają dobrych juniorów, a w futbolu kobiecym Amerykanki są światową potęgą. – Wielu piłkarzy ze Stanów znajduje pracę w klubach europejskich, wystarczy wymienić nazwiska Kellera, Friedela czy Reyny. Ponadto systematycznie rośnie w siłę Major League Soccer – akcentuje Kosecki, ale jest przekonany, że Polska spokojnie powinna wyjść z grupy. O tym samym marzy Antoni Piechniczek, ale przestrzega, aby „American Boys” nie potraktować przedwcześnie jako chłopców do bicia.

JERZY CIERPIATKA
MAREK LATASIEWICZ

KTO Z KIM?

A: Francja, Senegal, Urugwaj, Dania

B: Hiszpania, Słowenia, Paragwaj, RPA

C: Brazylia, Turcja, Chiny, Kostaryka

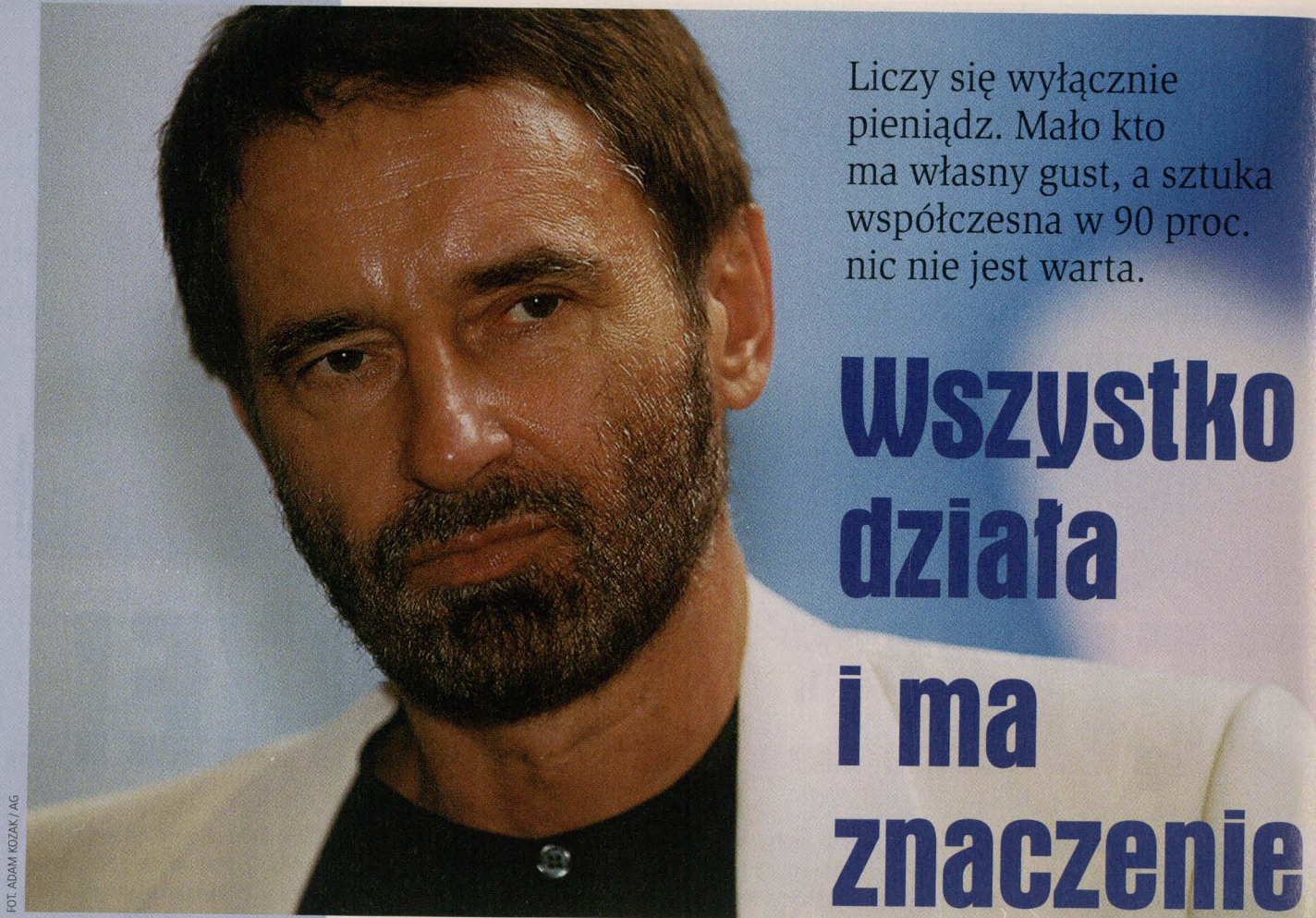
D: Korea Płd., Polska, USA, Portugalia

E: Niemcy, Arabia Saud., Irlandia, Kamerun

F: Argentyna, Nigeria, Anglia, Szwecja

G: Włochy, Ekwador, Chorwacja, Meksyk

H: Japonia, Belgia, Rosja, Tunezja



Liczy się wyłącznie pieniądź. Mało kto ma własny gust, a sztuka współczesna w 90 proc. nic nie jest warta.

Wszystko działa i ma znaczenie

Z RAFAŁEM OLBIŃSKIM ROZMAWIA BOGDAN KASPEREK

RAFAŁ OLBIŃSKI

– pięćdziesięciokilkuletek z werwą młodzieńca i osobliwym poczuciem humoru. Mistrz plakatu, jeden z najbardziej twórczych ilustratorów. Wypracował własny, niepowtarzalny styl. Od ponad 20 lat pracuje w Nowym Jorku. Wielokrotnie nagradzany. Jego prace znajdują się m.in. w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Nowym Jorku, Bibliotece Kongresu w Waszyngtonie i Muzeum Plakatu w Wilanowie. 7 grudnia w Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie zostanie otwarta retrospektywna wystawa jego prac.

Z wykształcenia jesteś architektem z dyplomem z 1969 r. Nie myślałeś, aby projektować i pracować jako architekt?

Często myślę, żeby zrobić coś trwalszego od kawałka papieru, który żyje dwa tygodnie jako okładka magazynu lub książki. Żeby stworzyć rzecz, która będzie miała szansę przetrwania. Gdy znajdzie się jakiś zwariowany milioner i powie – panie Olbiński, ma pan parę milionów dolarów, niech mi pan coś ciekawego zrobi, to podejmę się zadania.

Praca w biurze architektonicznym i projektowanie nie interesuje mnie. W pewnym sensie zajmuję się architekturą pośrednio, bo przygotowuję scenografię do „Don Giovanniego” Mozarta. To taki rodzaj zwariowanej architektury.

Kiedy zacząłeś robić plakaty? Zaczęło się to od nagrody w czasach studenckich?

Tak. Wtedy wierzyłem, że projektując je, można zarobić jakieś pieniądze. Sama idea bycia artystą zawsze do mnie przemawiała. Nie żeby od razu zostać wielkim architektem, ale raczej kimś z bohemy, mieszkać gdzieś w Paryżu, na poddaszu i malować portrety pięknym kobietom. Skończyło się na tym, że maluję portrety pięknym kobietom, ale w pracowni w piwnicy i w Nowym Jorku.

W roku 1974 otrzymałeś swoją pierwszą nagrodę za plakat w międzynarodowym konkursie w Stuttgarcie. Dwa lata później powtórzyłeś sukces w Strasburgu, w Instytucie Praw Człowieka.

To odległy okres, ale jeszcze pamięć mi dopisuje. Sukces stut-

tgarki bardzo przeżyłem, bo nie tylko wygrałem konkurs, dostałem też nagrodę, około 10 tys. marek, co w tamtych czasach w Polsce było ogromną sumą. Kupiłem na miejscu mój pierwszy – używany – samochód, żeby w jakiś sposób Niemcom odplacić za to.

Na plakacie znajdowało się łóżko, a na nim, zamiast pościeli – chmurki z tęczą. Plakat był zrobiony dla producenta pościeli.

Instytut Praw Człowieka przyznał mi nagrodę za plakat na temat „wolność myślenia” – przedstawiał głowę człowieka otwierającą się jak puszka sardynek, a w środku było niebo i słońce. Trochę łopatologiczna dydaktyka, ale to było bardzo mocne.

Udział w międzynarodowych konkursach wystarczał ci, czy wygrywanie stało się celem?

Są różnego rodzaju konkursy. Te z zaproszeniami, kiedy każdemu artyście płaci się za udział, są oczywiście ogromnym wyróżnieniem. W konkursach otwartych, gdzie wszyscy mogą startować, dobrze jest wygrać. Inaczej to w ogóle nie ma znaczenia, czy brałeś udział, czy nie. Uczestniczyłem przede wszystkim, żeby wygrać. Gdy studiowałem i na początku kariery chodziło rzecz jasna o pieniądze, bo to zawsze działa na wyobraźnię.

Co spowodowało, że w 1981 roku wyjechałeś do Nowego Jorku i zostałeś?

Dostałem zaproszenie na wystawę moich plakatów jazzowych w Polskim Instytucie Naukowym, mającym wtedy siedzibę pod bardzo dobrym adresem przy Park Avenue. To właściwie był główny powód. Potem już, niestety, o moim losie zadecydowała historia, czyli pewien facet w przyciemnionych okularach, który postanowił zamknąć granice.

Jakie były początki?

Tutaj, by być zauważonym, należy być innym. Ci, którzy powielają wzory, nie mogą na dłuższą metę egzystować. Na pewno trochę talentu nie zaszkodzi, istotny jest jednak upór, żeby nie poddawać się i wciąż atakować. Należy mieć własną wizję i wierzyć w to. Inaczej nie ma w tym pasji, a bez niej – efektów. Osiągnięcie sukcesu jest sprawą złożoną. Trzeba kochać swoją pracę.

W Nowym Jorku poznawałeś wszystko od początku, ucząc się na nowo graficznej sztuki i warsztatu?

Przed przyjazdem do Stanów Zjednoczonych, w Polsce, prowadziłem fajne życie, specjalnie nie narzekałem na nadmiar pracy i miałem mnóstwo przyjaciół, którzy robili wspaniałe rzeczy. Zajmowałem się tym, co lubiłem. Przyjechałem, żeby robić to samo co w kraju. Gdyby mi się nie udało i musiałbym pracować w innym zawodzie, wróciłbym. Jeśli zmuszeni jesteśmy do robienia czegoś innego, jest to psychiczne samobójstwo.

W Nowym Jorku czy w Polsce – warsztatu uczę się cały czas, to

kwestia doskonalenia rzemiosła. W sztuce doskonalimy się do końca życia, jeszcze przed śmiercią możemy się czegoś nauczyć. I to jest genialne. Nie tylko ja widzę te różnice i rozwój, miłe jest, że inni też mogą je dostrzec.

Czym zaowocował twój nowojorski start?

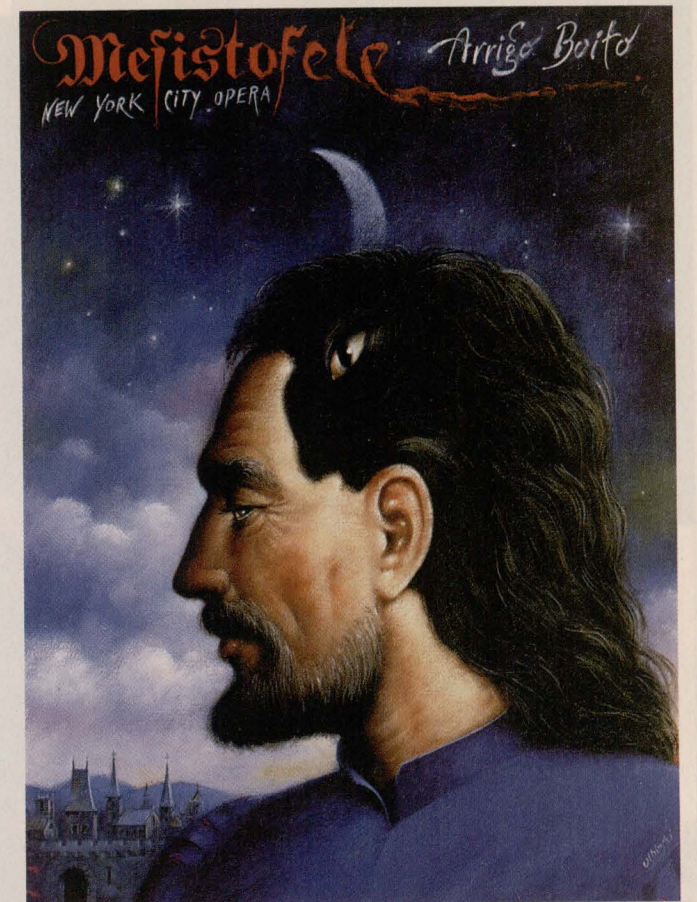
Wydawało mi się, że wystawa w Instytucie wstrząśnie Nowym Jorkiem, a okazało się, że był to pokaz dla ludzi ze środowiska polonijnego, miłych i lubiących sztukę. Nie miało to jednak żadnego znaczenia na scenie nowojorskiej. Zorientowałem się szybko, że ograniczenie działalności do kręgu polonijnego do niczego nie prowadzi – pozostaje się wtedy artystą getta. Przed wystawą rozesłałem więc zaproszenia do kilkuset dyrektorów artystycznych różnych pism. Przyszedł tylko jeden – z „Psychology Today”. Parę tygodni później dostałem od niego zamówienie na okładkę.

Fakt ten również nie był decydujący. Chodziłem z portfolio i pokazywałem swoje prace w wydawnictwach i agencjach reklamowych. Przez dwa lata głównie chodziłem i w końcu przyszły rezultaty. Otrzymywałem zamówienia i zacząłem wygodnie żyć jako nieźle opłacany ilustrator. Mogłem wrócić do Polski, ale brakowało mi na to czasu, więc zostałem.

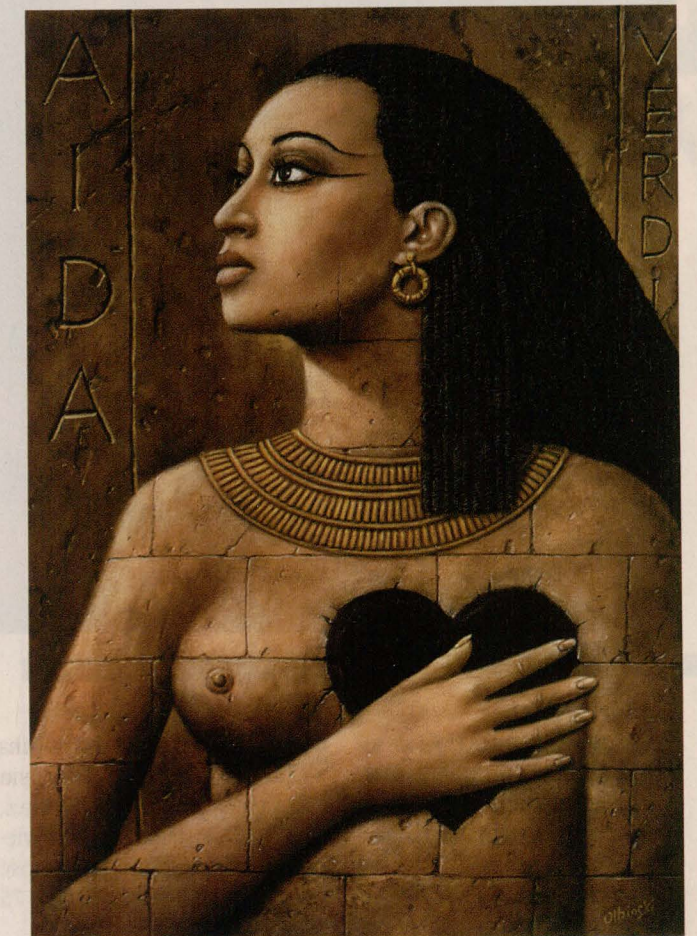
Jak wyjść z impasu, kiedy brak pozycji na rynku nowojorskim paraliżuje? Tu być dobrym to za mało.

Zawsze można przegrać tutaj czy gdzie indziej. W takim zawodzie jak sztuka istotne jest, aby nas zauważono. Nowy Jork to boisko ekstraklasy światowej, tu grają najlepsi zawodnicy. Jeżeli wygramy, cały świat będzie to widział. Artysta to rzemieślnik i coś więcej. Już św. Augustyn czy Joyce odkryli, co jest sztuką i jakie są jej kryteria. Musimy wykonywać wszystko najlepiej, musimy dbać o harmonię, integralność i proporcje. Jeśli jeszcze czujemy to swoją duszą, czynimy z tego sztukę.

Jaka jest rola agenta w czasach, gdy sztuka stała się biznesem? Czy jest artyście niezbędny?



Zaskoczenie, zdziwienie, niespodzianka wyróżniają jego prace.





Ten plakat wywołał zgorzienie.

Oczywiście. Sztuka stała się towarem i potrzebuje on sprzedawcy, chyba że produkt jest obrazem czy rysunkiem bez komercyjnego przeznaczenia. Żyjemy w cywilizacji pośredników, w której oni zarabiają znacznie więcej

od wytwórcy. Czy jesteś szwaczka z Chin, czy artystą inkasującym kilka tysięcy dolarów za obraz, agent i tak dostanie trzy razy więcej za pośrednictwo. Rozpiętość gaży agenta wynosi od 20 do 75 proc. I to jest niby normalne.

Które rodzaje publikacji są najkorzystniejsze finansowo?

Wszystkie pisma i magazyny mają swój ograniczony budżet i płacą tak, aby go nie przekroczyć. Bardzo dobrze płacą w reklamie. Najwięcej pieniędzy do-

stałem za kampanię reklamową dla banku US Trust, gdzie płacono za ilustrację około 12 tys. dolarów. A za rysunki w „New York Times” czy innych – grosze, rzędu 200, 300 dolarów.

Jakie było twoje najniższe i najwyższe honorarium?

W zeszłym roku mój obraz w galerii w San Francisco kupiono za 50 tys. dolarów. A najniższe – wszystko, co zrobiłem za darmo, często dopłacając.

Czy robienie kariery staje się obsesją, czy jest egzystencjalną koniecznością i normą obyczajową?

Wydaje mi się, że w Ameryce bardzo łatwo zniknąć w tłumie i stąd bierze się potrzeba, aby być rozpoznawalnym, by nie zostać numerem statystycznym. Może dlatego istnieje psychoza sukcesu. Tak jest w każdym zawodzie. To zjawisko jest w pewnym sensie bardzo amerykańskie. Popkulturę amerykańską łatwo przyswaja cały świat i ta obsesja sukcesu staje się uniwersalna.

Jak odbywa się selekcja w sztuce? Czy to rodzaj manipulacji?

Można manipulować danym kierunkiem sztuki. Głównym celem wszystkich marszandów czy właścicieli galerii jest zysk. Większości nie zależy, żeby to, co sprzedają, miało ponadczasową wartość – liczy się wyłącznie pieniądź. Społeczeństwo jest oglupiałe, mało kto ma własny gust, a sztuka współczesna w 90 proc. nic nie jest warta. Kiedy zlikwidujemy kryteria racjonalne – wszystko może być sztuką, każdy kicz czy prowokacja. Bardzo łatwo tym manipulować. Może specjalnie tak się robi, aby nie było kryteriów i wtedy manipulacja ułatwia różne spekulacje. Bertolt Brecht powiedział kiedyś, że sztuka jest wielkim oszustwem.

W sztuce wystarczy powielać samego siebie?

Są różne teorie. Z jednej strony, żeby być zauważonym, należy powtarzać, powtarzać, powtarzać. Dbać o to, żeby wbiło się ludziom w głowę. A z kolei w moim przypadku zaskakujące graficzne rozwiązania stały się moim przekleństwem, bo przez nie ludzie rozpo-

znają to, co robię. Dla nich zaskoczenie, zdziwienie, niespodzianka są tym, co wyróżnia moje prace. Za każdym razem pracuję pod presją, aby zaoferować coś niepodobnego do poprzednich propozycji.

Rozwiązania graficzne twoich prac pobudzają wyobraźnię i wyzwala ją od ograniczeń realizmu.

Jeden z amerykańskich krytyków powiedział, że uprawiam poezję malowaną. Bardzo mi to pochlebia, bo odpowiada na moje pierwsze marzenie, żeby zostać pisarzem i poetą. Moje prace są dość literackie, każdy mój obraz jest zaproszeniem dla widza do opowiadania. Staram się, aby obrazy były teatralną opowieścią i miały surrealistyczno-poetycki nastrój. Nie staram się naśladować nikogo, prowadzę konwersację z samym sobą, a jeżeli ktoś to słyszy i reaguje pozytywnie, bardzo się cieszę.

Masz jakiś autorytet, który pomaga w ocenie sztuki światowej?

Jest nim eseista, pisarz i krytyk brytyjski, Paul Johnson. Ma on bardzo krytyczny stosunek do sztuki dwudziestowiecznej. Uważa, że jeżeli historia będzie oceniać to, co się stało w XX wieku, będzie to upadek sztuki. W historii sztuki był okres rozkwitu, potem następował okres barbarzyństwa i krok do tyłu. XX wiek jest okresem barbarzyństwa. Ludzie, którzy znają się na sztuce, są najczęściej bardzo dobrze wykształceni, bogaci, to prawdziwi kolekcjonerzy. Jeżeli mówimy o przeciętnych gustach, to na pewno Europejczycy są bardziej wykształceni niż Amerykanie. W elitach proporcje te się wyrównują.

Jak rozwijasz swoje pomysły?

Wykonuję najpierw szkice i jeżeli jeden z nich zostaje zaakceptowany, później modyfikuję go. Główna myśl pozostaje, poprawiam jedynie techniczną stronę. Często bywa tak, że wracam do obrazu po jakimś czasie, kiedy już nabiorę dystansu, kiedy uważam, że można go wzbogacić.

Zrobiłem się bardzo selektywny. Bardzo często odmawiam, przyjmuję tylko oferty, które mogą mieć podwójne życie – być ilu-

stracją, plakatem czy okładką do książki, a zarazem obrazem w galerii. Nie przyjmuję zamówień tylko dla pieniędzy. Przestałem być ilustratorem, malowanie jest dla mnie bardzo ważne. Nawet scenografię, nad którą pracuję, traktuję jako pretekst do namalowania serii obrazów.

Rutyna pomaga?

Pomaga w szybszym myśleniu. Dokonuję skrótów technicznych. Jeżeli maluję setny obraz, to za sto pierwszym wykonuję go szybciej, łatwiej i z większym luzem. Ale rutyna polegająca na kopiowaniu jest nonsensem.

Plakat Salome dla Opery Filadelfijskiej wywołał zgorzienie. Ukazanie półnagiej żydowskiej księżniczki z okiem Jana Chrzciciela na wzgórku łonowym było obrazem moralności.

To taki mały skandal – opera dostała kilka listów protestacyjnych od dewotek, z czego bardzo się ucieszyli, bo każda kontrowersja zwraca uwagę i przynosi korzyści finansowe. Opera „Salome” zawsze łączyła się ze skandalem, już od pierwszego przedstawienia. Libretto wg Wilde’a też było skandalizujące w chwili powstania. Właściwie dołożyłem swoje ogniwo do tego łańcuszka. Za plakat dostałem złoty medal od nowojorskiego towarzystwa Society of Illustrators.

Myślisz o powrocie do kraju?

Kupiłem małe mieszkanie w Warszawie i co pewien czas jeżdżę tam na dwa, trzy tygodnie. Ideałem byłoby, aby cały świat był moim domem z ulubionymi miejscami. Powrót do Polski byłby trudny, bo tutaj mam dzieci i plany na przyszłość. Nie chciałbym podejmować dramatycznych decyzji, palić za sobą mostów i za tę cenę wracać.

Twoje credo?

Amerykański pisarz Philip Roth powiedział, że w Europie Wschodniej nic nie działa, a wszystko ma znaczenie. Z kolei na Zachodzie wszystko świetnie działa, ale nic nie ma znaczenia. Chciałbym, aby w mojej sztuce wszystko działało i wszystko miało znaczenie.

Rozmawiał
BOGDAN KASPEREK

V MIĘDZYNARODOWY KONKURS WSPÓŁCZESNEJ MUZYKI KAMERALNEJ imienia KRZYSZTOFA PENDERECKIEGO

Instytut Sztuki
składa gorące podziękowania
Sponsorom, Mecenasom, Patronom
Medialnym oraz wszystkim tym,
którzy przyczyniają się do
promocji i rozwoju kultury.

Koncert Galowy
V Międzynarodowego Konkursu
Współczesnej Muzyki Kameralnej
im. Krzysztofa Pendereckiego
był wspaniałym wydarzeniem
artystycznym, dowodzi on renesansu
sztuki współczesnej.

Dzięki Państwa pomocy mogliśmy
zaprosić do udziału światowej sławy
geniusza skrzypiec Grigorija Żysłina. Dla
wszystkich laureatów Konkursu, którzy
przed Państwem wystąpili, koncert ten
był niezmiernie
ważny i potrzebny.
Jeszcze raz serdecznie dziękujemy.
W imieniu Instytutu Sztuki

Jacek Wilczyński
Prezes Zarządu

Sponsorzy:

GRUPA ZASADA

wprost

ams

LE

Wawel

PZU

Media Patroni:

PRZE KRÓT pap THE WARSAW VOICE

e.pl AKTIVIST RDC

Profit 2

Kochamy
nowoczesność
i tandetne gadżety.
Tęsknimy
za antykiem
i stylowymi
meblami.
Budujemy
średniowieczne
zamczyska między
blokowiskami.

Norwid twierdził, że „piękno na to jest, by zachwycało do pracy”. Jeśli to prawda, brzydota do pracy powinna zniechęcać, a przynajmniej nie zachęcać. Może więc przyczyn kłopotów ekonomicznych Polski należy szukać nie w decyzjach Rady Polityki Pieniężnej i polityce kolejnych rządów, lecz w wyglądzie polskich domów, ulic i mieszkań?

Krajobraz po radosnej twórczości

W Polsce wszystko jest możliwe. Z dużym, nowomodnym domem z cegły, wspieranym przez cztery „antyczne” kolumny w stylu jońskim, sąsiaduje zgrabny, drewniany „góralski” domek otoczony ciężkimi fortyfikacjami z kamienia, malowniczymi niczym średniowieczne ruiny, jak np. w podmyślenickiej miejscowości Chełm. Szlachecki dworek może stać tuż przy ruchliwej drodze, wciśnięty między dwie pudełkowate wille, a mały wiejski domek obok nowobogackiego zamku z dwiema wieżyczkami i strzelistego budynku ze szkła i aluminium.

Dla inwestorów nie ma bowiem znaczenia sąsiedztwo, ukształtowanie terenu, jego tradycje architektoniczne czy wielkość i położenie działki. Liczą się tylko ich wizje. W efekcie dzielnice willowe wypełnia pełna kontrastów kakofonia form i barw. – Wystarczy stanąć przy kościele w Borkowskiej Górze i spojrzeć na południe, w kierunku Zakopanego – mówi prof. Janusz Bogdanowski, autor licznych prac o architekturze krajobrazu. – Można wtedy zobaczyć gigantyczny śmietnik wypełniony „bogатыmi” domami.

Skojarzenie ze śmietnikiem wywołuje nie tylko wygląd całych dzielnic, lecz także otoczenia poszczególnych domów jednorodzinnych, szczególnie zaś tych, do których właściciele wprowadzają się, choć inwestycja nie jest zakończona.



AGATA WASILENKO

Oj, jak tu brzydko

Prace wykończeniowe ciągną się latami. W tym czasie wokół rosną sterty gruzu, desek, cegieł i pustaków, gdzieś stoi poobijana betoniarka i rozlatująca się szopa, w której na początku budowy przechowywano cenniejsze materiały budowlane i narzędzia. Przedłużające się życie w prowizorkę sprawia, że właściciele przestają dostrzegać brak tynku na ścianach zewnętrznych czy balustrad na balkonach. Tymczasowość się utrwała, jednak trudno uznać ją za cechę piękna, które powinno być wieczne.

Życ w antyku

To chyba właśnie tęsknota za pięknem ponadczasowym sprawia, że Polacy, urządzając swe domy, często sięgają do wzorców antycznych. Na parapetach i stojakach stawiają plastikowe doniczki stylizowane na rzymskie i etruskie wazy, do ścian przykręcają lampy jak egipskie pochodnie, a mroczne przedpokoje, łazienki i kuchnie wykładają płytkami naśladującymi pompejańskie mozaiki i kamienie Herkulanum. To upodabnia małe, ciasne mieszkania do rzymskich katakumb.

Nawiązując do estetycznych korzeni kultury śródziemnomorskiej, Polacy nie rezygnują z osiągnięć współczesnego wzornictwa. W wielu domach starożytna nobliwość łączy się z nowoczesnością lamp halogenowych, plastikowych solniczek, pojemników na chleb w krzykliwych kolorach i luster w ramach z tworzywa sztucznego, w których odbijają się zasłonki w czerwono-białą kratkę. Na tym nie wyczerpuje się nasza inwencja twórcza. W blokowych mieszkaniach można natknąć atrapę kominka, pseudoantyczne meble na krzywych nóżkach i neosecesyjne żyrandole, z których wystają fikuśnie żarówki energooszczędne, sufit zaś zdobią „pałacowe” sztukaterie.

Standard

Zdecydowana większość polskich domów urządzona jest jednak tradycyjnie. Na jednej ścianie pokoju ustawiona jest meblościanka, najczęściej ciemna, z nadmiarem luster i zakamarków. Na środku, na ciemnym zwykle dywanie, stoi ława, tajemniczy mebel, który ma łączyć walory stolika na kawę i stołu. Nie jest jednak ani jednym, ani drugim. Obok niej tzw. komplet wypoczynkowy, na którym wypocząć nie sposób, bo najczęściej wersalka i fotele są tak wyprofilowane, że nie da się na nich wygodnie usiąść.

Po przeciwnej stronie honorowe miejsce zajmuje duży telewizor, sterowany za pomocą pilota owiniętego w folię. Aby nic nie przeszkadzało w kontemplacji „Świata według Kiepskich” czy „Na dobre i na złe”, w oknach zamontowane są żaluzje, które jednak wydają się mieszkańcom zbyt nowoczesne – dlatego dodatkowo przesłaniają je zwykłymi firankami.

Przedpokój w wielu mieszkaniach urządzony jest podobnie. Jego przestrzeń zwykle ogranicza pawlacz – schowek na przeróżne rupiecie,

z których nigdy się nie korzysta i które co najwyżej dostarczają gościom niezapomnianych wrażeń węchowych (domownicy do takich zapachów przywykli). Wrażenie ciasnoty często pogłębia drewniana boazeria na ścianach i na suficie, zastępowana ostatnio przez plastikowe panele. Nic więc dziwnego, że każdy Polak marzy o własnym ogrodzie lub choćby ogródku.

Smutek ogrodów

Angielskie przydomowe ogrody, w których bujnie i trochę dziko rozrasta się naturalna dla klimatu i terenu roślinność, nie znalazły uznania w oczach Polaków. Zdecydowanie atrakcyjniejsze okazały się wzorce zaczerpnięte z niemieckiej prowincji. Współczesny polski ogród to zwykle niewielki wykoszony trawnik i kilka iglaków, których żałobny kolor budzi nieodparte skojarzenia z cmentarną florą.

Smętność drzew i wiecznie zielonych krzewów powoli jednak wypiera powiew egzotyki – magnolie, trawa pampasowa, rododendrony i azalie. W centralnym miejscu ogrodu znajduje się często oczko wodne. Niekiedy pływają w nim przyduszone ryby i plastikowe kacuszki, na które beznamiętnie spoglądają wielkie zielone żaby z tworzywa sztucznego. Najsłynniejszym ogrodowym zbiornikiem wodnym jest niewątpliwie czarna wanna z kurkami na krakowskim Dworcu Głównym PKP, usytuowana obok beładnie rozrzuconych kamieni. Tę kompozycję niektórzy architekci nazywają „skalniakiem z piekła rodem”.

Wielu właścicieli ogrodów nie zadowala gotowy basen z tworzywa sztucznego i szukają bardziej oryginalnych rozwiązań – np. wybetonowa-



FOT. L. WIDOWSKI/FOTOFORUM

na dziurę w ziemi wykładają kamieniami lub płytkami ceramicznymi. Coraz popularniejsze są również ogródki skalne urządzone na pagórku usypanym z gruzu po budowie.

Charakterystyczną cechą polskich ogrodów są plastikowe meble ogrodowe i namioto-altanki, kontrastujące z ceglano-betonowymi bryłami domów i z naturalnym wdziękiem roślin.



FOT. MACIEJ OSIECKI/FOTOFORUM

Nowy wspaniały świat

Mieszkańcy prowincji, gdzie oko konserwatorów zabytków jest mniej czujne, wykazują się dużą inwencją w dziedzinie ulepszenia starego. W większości małych miasteczek z pewnością nikt nie wypowiedziałby wojny prasowej Andrzejowi Mleczce, gdyby ten wymienił rozlatujące się drzwi swojej galerii na nowe, jak to było w Krakowie. Mało tego, opowiadano by sobie o tym wydarzeniu z podziwem i zazdrością.

Prowincja bowiem kocha nowoczesność i związane z nią gadzety. W niewielkich miejscowościach coraz częściej można zobaczyć stare kamieniczki z białymi, niczym sztuczne zęby, oknami z PCV i leciwe domki, rzucające ponure i tępe spojrzenia przez nowomodne okna wielkopłaszczyznowe, choć jeszcze niedawno mrugały kokieteryjnie do przechodniów dziesiątkami małych szybek.

Karierę robią również panele z tworzywa sztucznego do obijania fasad, zwane sajdingiem. Ten amerykański wynalazek, służący do ochrony przed wilgocią tanich domów z kartonu i gipsu, cieszy się w Polsce powodzeniem iście magicznym. Przemienia on tradycyjne wiejskie, drewniane domki i ciężkie „bunkry” z czasów gierkowskich w rezydencje à la „chicagowskie przedmieście”.

Również remont dachu starego domku często jest okazją do wprowadzania ulepszeń. Szlachetną dachówkę zastępuje papa, i to niezwykłą, bo z trzydziestoletnią gwarancją, w przeróżnych kolorach i formach, np. naśladująca gonty lub... dachówkę.

Grzechów odkupienie

Trudno ocenić, co jest piękne. Przed laty Zbigniew Herbert w słynnej „Potędze smaku” za atrakcyjne estetycznie uznał „fantastyczne twory z obrazów Hieronima Boscha”. W czasach, kiedy żył ten artysta, jego dzieła raczej przerażały, niż budziły zachwyt.

Kto wie, może kiedyś jakiegoś poetę urzeknie wizja Polaka siedzącego na niewygodnej „antycznej” wersalce w ciasnym saloniku willi, wpatrującego się w wielki telewizor, stojący na tle meblościanki. Piekło, czyściec i raj w jednym. Do wyboru.

AGATA WASILENKO

MAŁY SŁOWNICZEK BRZUDOTY POLSKIEGO DOMU

Wersalka

— nic wspólnego z Wersalem. Słowniki mówią: kanapa rozkładana, mogąca służyć do spania. Na razie nikt nie wymyślił sposobu na zneutralizowanie bolesnego dla użytkownika rowka pośrodku wersalki, powstającego po jej rozłożeniu.

Amerykanka

— fotel rozkładany, tworzy rodzaj łóżka. Nazwa wzięta się od tego, że Urząd Bezpieczeństwa wykorzystywał ten mebel do tortur wrogich Amerykanów.

Meblościanka

— przeciętność na wymiar — dostosowana do standardowego metrażu (10 mkw. na osobę). Pierwsza w Polsce pojawiła się w 1959 r. Najsłynniejszy był zestaw „meble Kowalskich”, zaprojektowany przez B. i Cz. Kowalskich dla pozostałych Kowalskich.

Komplet wypoczynkowy, tzw. wypoczynek

— symbol dobrobytu i poziomu intelektualnego Polaka, który przyjmuje gości w gościnym, a nie w kuchni. Dla młodych wykształconych zestaw Kon-Tiki, dla dorobkiewiczów biedermeier.

Telewizor

— „nasze okno na świat”. Najważniejszy domownik, towarzysz Polaka cały rok, brakujący gość wigilijny. Przyjmuje gości, jest centrum życia rodzinnego. Rosyjskie rubiny zastąpiła japońska technologia z Tajwanu, składana pod Warszawą.

Pilot do telewizora

— centrum dowodzenia — jego posiadacz rządzi. Często dla ochrony owinięty folią, podobnie jak jego mniejszy brat — pilot do wideo.

Żaluzje

— symbol nowoczesności. Zazwyczaj srebrne, w bogatszych domach złote, czasem kolorowe. Starannie zakryte firankami, zmniejszają ilość słońca wpadającego do już i tak ciemnych mieszkań.

Pawlacz

— miniatura strychu w stylu „Polak potrafi”. Rekompensuje brak składziku i spiżarki. W pawlaczku można trzymać kompoty, zimowe ubrania, torby podróżne i... deski na następny pawlacz.

Boazeria

— namiastka szlacheckiego dworku w bloku. Pociągnięte na wysoki połysk drewno łatwo utrzymać

w czystości. Znów możliwość wykazania się dla domowego majsterkowicza.

Siding, zwany sajdingiem

— nowoczesna wersja boazerii lub najelegantsze wykończenie domu. Bolesne, gdy pokrywa się nim ponadstuletnie, zabytkowe już chałupy. Na Zachodzie zazwyczaj pokrycie zabudowań gospodarskich.

Jamnik

— bardzo niski, podłużny stolik z lat 60. i 70. Służy do wywoływania skoliozy kręgosłupa i serwowania kawy. Nic innego się na nim nie mieści.

Półkotapczan

— zwany pieszczotliwie „czarną dziurą” z powodu szerokiej szczeliny między otwartym tapczanem a jego tylną ścianą. Tam właśnie najczęściej spędza się noc, śpiąc wciśniętym jak sardynka w puszkę.

Opr. MARTA SOBOLSKA

(Na podstawie „Jak Polak mieszka?”, tom II „A co w środku?”, pod red. prof. Teofila Szpetnego, Instytut Wydawniczy Smak, 1999 r.)



SOFITEL
VICTORIA WARSAW

Czy wiesz, że

- Dysponujemy największymi salami konferencyjno-bankietowymi
- Posiadamy sprzęt audio-wizualny najnowszej generacji
- Podróżującym w interesach zapewniamy komfortowy „Business Room”
- Gwarantujemy pełne bezpieczeństwo naszym gościom
- Słyniemy z doskonałej kuchni
- Zapewniamy pełny relaks w naszym centrum rekreacji
- Możemy przygotować każdą imprezę i gwarantujemy jej sukces

Sofitel Victoria Warsaw

ul. Królewska 11

00-065 Warszawa

DZIAŁ BANKIETÓW: tel +4822 657 82 04, 657 82 05

fax +4822 657 81 38, 657 80 57

e-mail: sofitel@victoria.orbis.pl

bankiety@victoria.orbis.pl



Poezja
jest dla mnie
źródłem
czystej wody,
co bardzo
mi pomaga
w poszukiwaniu
tematów
muzycznych.

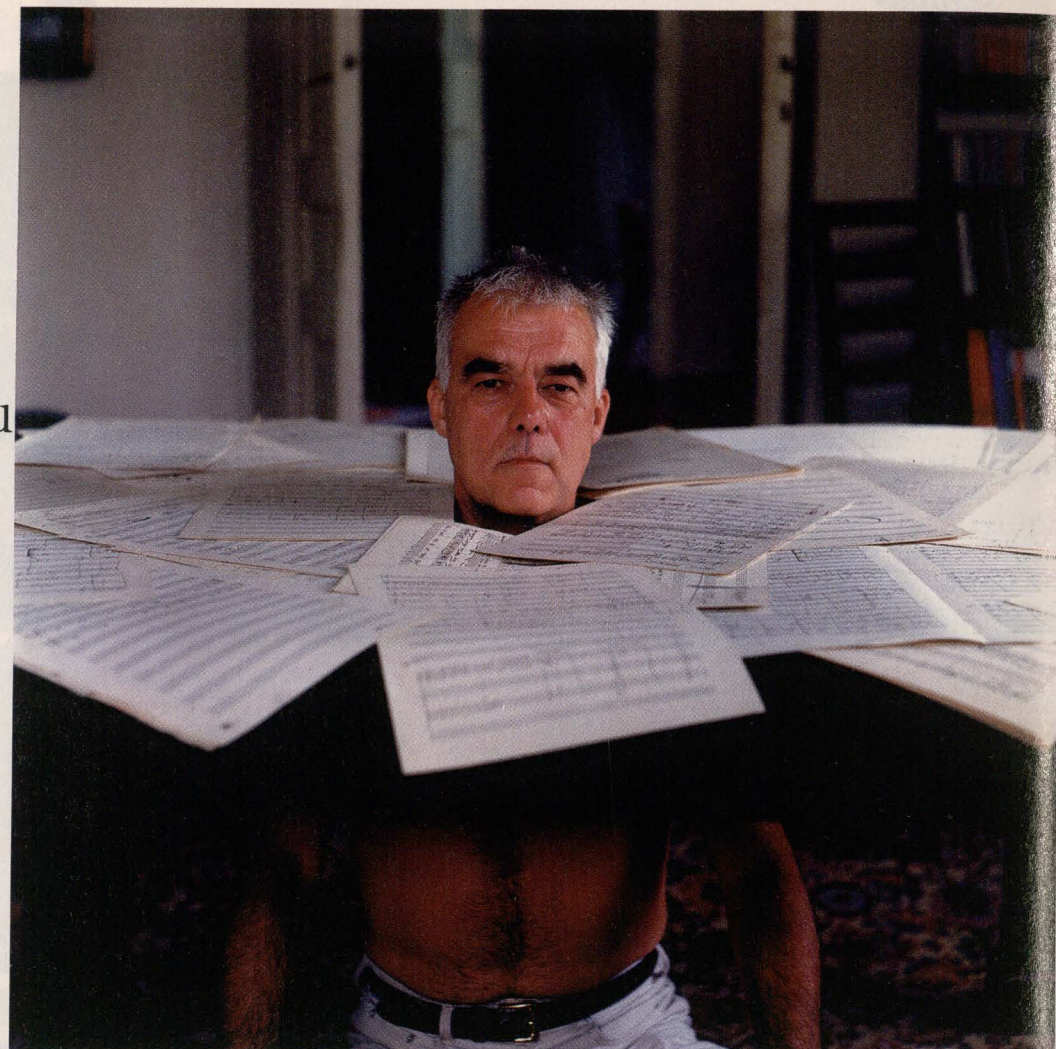
z JANEM KANTYM
PAWLUŚKIEWICZEM
ROZMAWIA KAZIMIERZ TARGOSZ

Jak jest?

Mój teść odpowiadał: Ce n'est pas facile – nie jest łatwo. Było to dla mnie o tyle niezrozumiałe, że chociaż pięć razy bankrutował, był w PRL przymknięty jako spekulant, w III Rzeczpospolitej okazał się człowiekiem sukcesu i znalazł się na liście najbogatszych Polaków. Potwierdzam, że nie jest łatwo. Patrząc obiektywnie na to, co do tej pory zrobiłem, niektóre rzeczy akceptuję, inne nie bardzo. Nawet jeśli coś mi się udawało, próbowałem za każdym razem podnosić poprzeczkę. Nie było to łatwe.

Ostatnio trafił pan do Doliny Jozafata, która, jak wiadomo z Biblii, jest miejscem Sądu Ostatecznego.

Zostałem tam lekko popchnięty. Kilka miesięcy temu była w Krakowie wystawa Krzysztofa Skórczewskiego pt. „Dolina Jozafata”. Natomiast trzy lata temu miałem przyjemność być w państwie Skórczewskich. Zachwyciłem się urodą ich ogródka, prawdziwie rajskej oazy. Sąsiadka, oglądając ten ogródek, powiedziała: „U państwa jest jak w ogrodzie Jozafata”. Ja na to, że nie mam pojęcia, jak jest w ogrodzie Jozafata, ale to bardzo dobrze brzmi i można by zrobić na ten temat koncert. Skórczewski zrobił plastyczną wizję ogrodów, u mnie trwało to trochę dłużej, bo nie ma czegoś takiego jak ogrody



Nie jest łatwo

Jozafata, jest Dolina Jozafata. Ale w końcu dojrzałem i kompozycja jest już na ukończeniu. Powstała jej futurystyczna wizja.

Wędrowka z tej Doliny do raju jest długa, prowadzi przez nasze lęki, grzechy, rachunek sumienia.

Wiem o tym i domniemuję, że po Sądzie Ostatecznym, który – jak mówi Pismo Święte – będzie sprawiedliwy, ale i dobrotliwy, na jakiś czas rozejdziemy się, to znaczy część pójdzie do nieba, część do piekła, część do czyśćca. Ale ponieważ będzie to sąd dobrotliwy, wszystko skończy się dobrze i otchłań po Sądzie Ostatecznym zarośnie, bo taka jest kolej rzeczy. Nie wiem, czym zarośnie. Może mgłą, może piękną roślinnością i powsta-

nie właśnie ogród – tak przypuszczam. A kiedy odcierpimy, spotkamy się i – mam nadzieję – nie będzie zakazów picia alkoholu, niewinnych wybryków, bo przecież już wszystko odcierpieliśmy.

To bardzo miła wizja.

Oczywiście. Powstanie sytuacja towarzysko bardzo przyjemna. Mogą być ciekawe rozmowy, mogą też nastąpić jakieś wewnętrzne zapaści, jakie nam zwykle towarzyszą, bo taki jest świat. Może trzeba będzie wysłuchać Pana Boga. Jak dotknąłem tego futurystycznego śladu, to pomyślałem sobie, że moim obowiązkiem jest napisać koncert, który odbędzie się w Ogrodach Jozafata. Tam też powinna być premiera, ale nie bardzo chce mi się czekać,

więc na razie trzeba premierę zrobić w Krakowie, może w kościele św. Katarzyny na Kazimierzu.

Jak doszedł pan do takiego stanu ducha? Od zespołu „Anawa” i piosenek, które śpiewała cała Polska, od muzyki filmowej, teatralnej do wielkich widowisk muzycznych, jak Nieszpory Ludźmierskie, Harfa Papuszy, Oratorium Droga, Życie, Miłość czy wreszcie Ogrody Jozafata?

W mojej wędrowce towarzyszą mi dwa równoległe ślady. Jeden wyznaczony przez przypadek – jakieś spotkania, rozmowy, a ja z natury daję się ponosić przypadkom. Pomagam im i one prowadzą mnie w dziwne rejony. Drugi ślad to pewnego rodzaju irytacja dotycząca mo-

jego stanu ducha. Jeśli osiągnąłem pewną sprawność w pisaniu piosenek czy muzyki filmowej lub teatralnej, to uznałem, że nie mogę na tym poprzestać, bo będę się powielał. Swoje piosenki już napisałem. Po co pisać coś, co zostało już napisane – jak skomentował twórca Zbigniewa Preisnera Witold Lutosławski?!

To okrutne słowa. Mimo wielkiego szacunku, jaki mam dla Lutosławskiego, nie do końca zgadzam się z tą opinią. To jest powiedziane na odlew. Jeśli ta muzyka, która towarzyszy filmom, sprawi, iż ludzie odbierają ją bardzo emocjonalnie, to znaczy, że jest w tym coś, czego wcześniej nie doznaliśmy. Mimo że to już kiedyś było. Mówimy o przypadku, o różnych stanach ducha, ale może jest tak, że – jak każdy twórca – prowadzi pan nie tylko ze swoimi odbiorcami, ale przede wszystkim z samym sobą, badając własną szczerą i śledząc drogi swojej wyobraźni?

Ma pan rację. Kiedy bada się wytrzymałość materiału, to jest oczywiście tylko gra ze sobą, na ile moja wyobraźnia pchnie mnie do przodu, na ile jest szalona. Żeby przywołać obraz, sytuację, muzykę, trzeba to wszystko ogarnąć. Trzeba dużo więcej wiedzieć, studiować wiele rzeczy pozornie odległych, żeby powstała z tego jakaś kwintesencja. Raz się to udaje bardziej, raz mniej. Czasem trzeba być może trochę podcierpieć? Przyszło mi na myśl, że to pana ewolucja czy rewolucja, ten coraz bardziej melancholijny Pawluśkiewicz jest bliski niedydysiejszej, także krakowskiej, legendzie artysty, który musi cierpieć. Jest trochę egocentrykiem, towarzyszy mu radość i męka tworzenia, ale ponieważ to facet wybrany, ze wszystkiego, co robi, tworzy piękno, które jest ukojeniem dla innych?

To wszystko prawda. Jest we mnie wszystkiego po trochu. Na przykład krakowskość to jeden z elementów mojego napędu. Kiedy jako taki trochę kołkowany ćwok przyjechałem do Krakowa z Nowego Targu na studia architektoniczne, byłem oszołomiony krakowskim imperium noblistów, matematyków, filozofów, kompozytorów, malarzy. To była otchłań ciekawości. Tak pana to imperium zawojuowało, że – jak powiada Janek Nowicki – stał się pan dekadentem, a górale takich nie lubią.

To takie zbójce prawo górali. To imperium zmusza człowieka, by odpowiedział sobie na pytanie: co ty, gnojku, możesz dać z siebie. Co możesz zrobić, żeby było to stosowne do tego miejsca. Przywołałem tę XIX-wieczną legendę artysty, bo być może jest na nią teraz zapotrzebowanie. Otoczeni coraz bardziej bezosobowymi przedmiotami, zmieniamy się w automaty, przestajemy odczuwać, reagować spontanicznie i szukamy – zgodnie z radą filozofów i psychologów – pomocy u artystów, bo w tym zimnym świecie artysta to jest nasz czujący brat?

Tak, ale ten kolega artysta czasem nam pomaga, a czasem nas kompromituje. I to jest coś fantastycznego, bo nic nie działa bardziej ożywczo niż kompromitacja. Stan wielkiego pięknicia, rozterki, dramatu jest niesłychanie kreatywny. Jest się z czego podnosić, daje siłę. Czy w takich kategoriach ocenia pan też to, co powiedział niedawno Karlheinz Stockhausen, wybitny awangardowy kompozytor, dla którego to, co stało się 11 września w Nowym Jorku, jest jak najpiękniejsze dzieło sztuki?

Artyście wszystko wolno, pojęcie sztuki nie zna granic, do momentu, kiedy nie rani, a wypowiedź Stockhausena rani. On jako artysta ma prawo powiedzieć w sztuce wszystko albo prawie wszystko, ale nie wolno mu mieszać faktu artystycznego z dramatem ludzkim. To niedopuszczalne. W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat byliśmy jednak jako melomani poddawani dość ciężkim próbom. Na szczęście wszystko się zmienia. Na przykład zniknął strach przed posądzeniem o konserwatyzm, ale dozwolone jest też nie być awangardzistą. Wraca melodia, nawet u twórców awangardowych, którzy jeszcze niedawno mieli ją w pogardzie. Wojciech Kilar powiedział mi, że melodia jest w utworze najważniejsza.

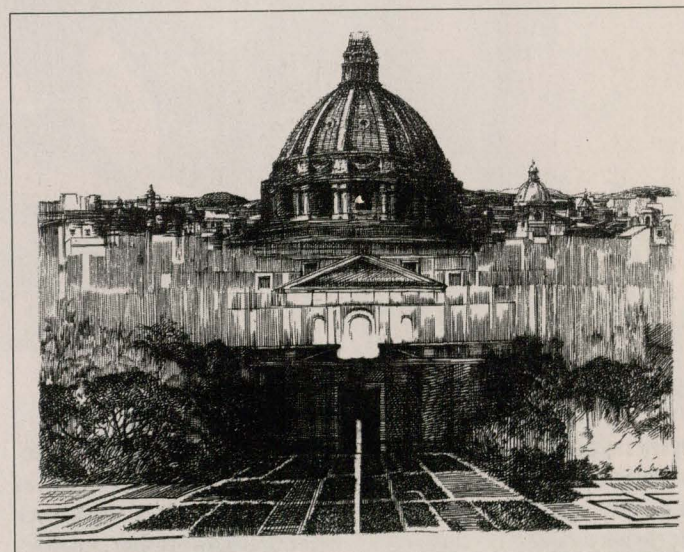
Całkowicie się z tym zgadzam. Melodia to najtrudniejsza rzecz, jaka stoi przed kompozytorem. Podobnie jak malarstwo XVII- czy XVIII-wieczne, które przedstawiało świat lapidarnie, ale zarazem szalenie kunsztownie i prawdopodobnie zastępowało w ten sposób

film. To byli ludzie, którzy posiedli rzemiosło w najwyższym stopniu. Awangarda jest czasem polem dla pasących się baranów, które bez specjalnych umiejętności – nie obrażając tych baranów – popisują się kuglarskimi sztuczkami. A te szalenie wzbogacają. Muzyka też jest zabawą, stanem emocjonalnym, od dramatu do euforii. Nie można się obrażać na awangardę. John Cage w swojej kompozycji „4'55” właśnie przez 4 minuty i 55 sekund siedział bez ruchu przy fortepianie. I to, co się zdarzyło, było jego kompozycją, nad którą panował tylko do pewnego stopnia. Na zarzut radzieckich krytyków, że to nie ma nic wspólnego z muzyką, odpowiedział: panowie, zechciejcie wysłuchać i potwierdzić, że z całą pewnością nie jest to zajęcie szewca, sprzedawcy ulicznego, kominarza, jest to zajęcie kompozytora. Powróćmy do Krakowa. Nawet tutaj artyści utracili swoją odrębną formę, odrębne obyczaje. Nie noszą już peleryn, jak w czasach bohemy, ani szykownych beretów Rafaela – ostatnim z tego „klanu” artystów był Piotr Skrzynecki ze

tym, i to jest jeszcze bardziej bolesne, świat na to nie pozwala. My, artyści, niewiele mamy do powiedzenia. Możemy przez swój egoizm, przez swoją arogancję przedstawić coś do zaakceptowania, ale więcej nie możemy, bo świat tego nie akceptuje. Ale możemy jednak nadawać światu pewne formy, o ile technologia, która nas otacza, na to pozwala. A jest ona w rękach precyzyjnych inżynierów, jest nieobliczalna, sama się zżera, pożera, zapładnia. Kilkadziesiąt lat temu poszczególne artyści byli nieobliczalni. Np. Piotrek Skrzynecki, który był kreatorem – by tak powiedzieć – technologii intelektualnej, nieobliczalnych idei. Jak można sobie było wyobrazić w 1980 roku bal w Sukienicach na 5 tysięcy osób. Jak można sobie było wyobrazić Noc Paryską na ulicy Floriańskiej, gdzie przyszło 6 tysięcy ludzi i miało Moulin Rouge, Folies Bergère. To była technologia. Ja szukam swojej ścieżki do skupienia się na największej mojej prywatności.

Ale z perspektywy krakowskiej, nowotarskiej, swojej ulicy, domu?

Tak, bo jak mówi poeta, całe twoje życie sprowadza się i tak do ulicy, na której mieszkasz.



Roma, Krzysztof Skórczewski.

swoim słynnym kapeluszem – nie są zbuntowanymi outsiderami, łączy ich codzienna, szara krzątania, chałtury, wódeczka.

Pan wybaczy, że odpowiem prostacko, ale to jest istota rzeczy: z bólem stwierdzam, że nie mam na to wpływu, bo gdybym miał, to bym próbował coś zmienić. A poza

Wyznał pan kiedyś skromnie, że pociągają pana wielkie widowiska muzyczne, tajemnicze kobiety i (niezbyt ambitna) poezja.

Jestem – jak już o tym mówiliśmy – egoistą, egocentrykiem i trudno mnie uwieść. Żle się czuję w tłumie. Czasem udaje się mnie uwieść poetom. Lubię pro-

ste słowa w poezji, do których się dochodzi przez niesłuchanie wy-
rafinowaną sprawność i biegłość
intelektualną, w tym znaczeniu,
że poezja jest dla mnie źródłem
czystej wody, co bardzo mi po-
maga w poszukiwaniu tematów
muzycznych. Na początku jest
zawsze słowo (np. Szyborska,
Miłosz, Różewicz), a w tych słowach
jest często muzyka, jak
u Leszka Aleksandra Moczulskie-
go. Moje ścieżki zaprowadziły
mnie też do St.-Johna Perse'a,
kiedy szukałem wierszy, które
najlepiej opisywały żywioły tego
świata. On to genialnie oddaje
w słowie.

**Zachwyca się pan Krakowem, tak-
że poetyckim, ale coraz częściej**

**nej knajpie, pełnej pięknych
dziewcząt i lekko „ruszonych” fa-
cetów. Grałby im pan na przykład
„Round about midnight” lub „Pe-
tite fleur”, bo dziewczyny, gdy sły-
szą tę melodię, skłonne są... no,
życiowie zaakceptować świat?**

Tak, wszystko to pozostało.
W dalszym ciągu mam żywy ob-
raz tego miejsca, w którym
chciałbym być i czasem, nieste-
ty coraz rzadziej, to realizuję.
Chodzi o miejsce, w którym nie
ma żadnej odpowiedzialności,
gdzie moje tęsknoty jazzowe
mógłbym zweryfikować, grając
na fortepianie nie tylko te tema-
ty, ale też np.: „Autumn leaves”,
„Lover man”, „But not for me”,
„Lady be good”.

ścią i czystością intencji był nie-
bawale kontaktowy i przekazy-
wał bardzo sugestywnie słowa
i muzykę. Moja „deprawacja”
jazzem wniosła w ten jego po-
etycki świat odrobinę kanciasto-
ści. Marek – jak pamiętamy – był
starannie ubrany, bez śladu ja-
kieś awangardy, pełna klasyka,
a równocześnie jednak trochę
jakby inna.

**Nie chciał pan pozostać uwielbia-
nym kompozytorem przebojów?**

Nie, bo to było dawno, świat
się zmienił, ja się zmieniłem. To
były koncerty, którymi zarabia-
liśmy na życie, spędzając całe ty-
godnie w trasie. Czasem rzeczy-
wiście spotykaliśmy się z dosyć
niezwykłymi dowodami uznania.

**„Ciepły, utalentowany czło-
wiek” – powiedziała o panu
Gwendolyn Bradley, gwiazda
Metropolitan Opera, która śpie-
wała w pana „Harfie Papuszy”.
Można do tego dodać pana licz-
ne talenty – budowanie domów,
łowienie karasków, ostatnio
także malowanie.**

Miłe słowa z ust kobiety to
zawsze przyjemność, ale ona
chyba nie zna mojej czarnej do-
szczytki, złego charakteru i aro-
gancji. Z budowaniem domów to
przesada, a karaski rzeczywiście
mnie interesują i stały się mo-
wym przewodnim moich obraz-
ków. Ryby są bardzo popularnym
znakiem graficznym, fascynują
zbrodniarzy i artystów, bo mają
genialną formę.

**A co z talentem? Mój znajomy
rzeźbiarz powiada, że z talentem
jest tak jak z fortuną i bogactwem
– nawet jak Pan Bóg go da, to
skromnie.**

Święte słowa. Jesteś dobry
w swoim zawodzie i nawet nie
wiesz, skąd się to wzięło. Cza-
mi się zdarza, że Pan Bóg da za
dużo, i można wtedy zgłupieć.
Trzeba się modlić, żeby dał
w sam raz.

Co pan maluje?

Jednym z ważniejszych obra-
zów, które zrobiłem, był właśnie
Ogród Jozafata. Kiedy byłem po-
grążony w depresji, nie mogłem
komponować, musiałem prze-
rwać na pół roku pracę, żeby na-
malować to domniemane miejsce.
Kiedy skończyłem, mogłem ra-
żyć dalej.

**Czy jest pan człowiekiem społ-
nionym?**

W znacznym stopniu tak. Spo-
tkałem w życiu niezwykle barwne
towarzystwo, ciekawych ludzi,
którzy tak wiele zrobili dla mnie
bezinteresownie, oświecili mój
łeb, zadali też wiele bólu, ale nie
ze złej intencji lub dla prowokacji.
Ja też bywam prowokatorem, cza-
sem nieświadomie zadaję ból. Ale
czasem sprawia mi radość, że mo-
gę się z kimś spotkać i pogadać.
Spodobało mi się, iż mój świat za-
interesował pana i chciał pan ze
mną porozmawiać. Jest przecież
tylu świetnych facetów, a wybrał
pan mnie.

Rozmawiał
KAZIMIERZ TARGOSZ



Ogród Jozafata, Jan Kanty Pawluśkiewicz.

**słyszysz się takie opinie, zwłaszcza
w Warszawie, że Kraków jest
miejscem, w którym od wielu lat
nic się nie udaje?**

Wszystko zależy od punktu
widzenia. Jurek Trela odpowie-
dział kiedyś na podobne pytanie:
bo wie pan, Kraków jest takim
małym miastem w zamglonej do-
linie, podtrutej siarkowodorem, je-
steśmy tym lekko oszołomieni
i dlatego nam się byle co podoba.
**Czy zostało coś jeszcze z Pawłuś-
kiewicza, który marzył kiedyś, by
grać na fortepianie w zadymio-**

**Podobno wielu dzisiejszych 40-
latków kochało się pierwszy raz
przy pana piosenkach śpiewanych
przez Grechutę i zespół „Anawa”,
takich jak „Niepewność”, „Serce”,
„Dni, których jeszcze nie znamy”.
Wojciech Młynarski powiedział
kiedyś, że najlepiej wprowadzać
damy w romantyczny nastrój,
opowiadając im lub śpiewając
„grechutki”.**

Tak, jest w tym pewien żart,
ale i lekka złośliwość. Faktem
jest natomiast, że Marek Grechu-
ta ze swoją niesłuchaną lekko-

Po jednym z koncertów w pew-
nej podwarszawskiej miejscowo-
ści mieliśmy spotkanie z naszymi
młodymi fanami i perkusista po-
prosił którąś dziewczynę, żeby
zaprowadziła go do miejsca,
w którym – tak się złożyło –
mieszkała w tej miejscowości je-
go rodzina. Ona na to przystała.
Szli długo w milczeniu i wreszcie
ona, wskazując adres, nieśmiało
powiedziała: „Muszę panu wy-
znać, że jeszcze nigdy nie szłam
z tak dużym członkiem zespołu
»Anawa«”.

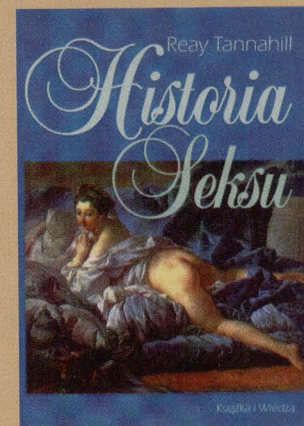
Twoja Książka Twoja Wiedza

REAY TANNAHILL

Historia seksu

Bogactwo życia seksualnego czło-
wieka przedstawia autorka na tle epok,
które je zrodziły. Pisze m.in. o szcze-
gólnych gustach erotycznych Greków,
taoistowskich podręcznikach seksu,
indyjskich zaleceniach mistrza Watsja-
jamy, wyuzdaniu pozornie tylko pury-
tańskiej Europy XIX w., współcze-
snych praktykach i preferencjach mi-
łosnych. Książka napisana bez cienia
prudencji, a zarazem taktownie i z hu-
morem.

Cena det. 59,80



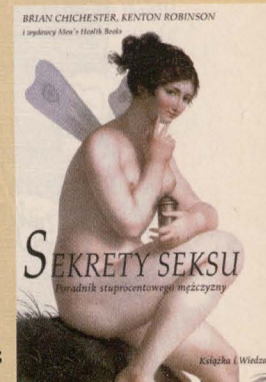
Brian Chichester, Kenton Robinson,
i wydawcy Men's Health Books

Sekrety seksu. Poradnik stuprocentowego mężczyzny

Dzięki tej książce:

- * odkryjesz na nowo swoją partnerkę;
- * dowiesz się, czego pragną kobiety;
- * otrzymasz gotowe recepty na romantyczny wieczór i upojną noc;
- * zwiększysz swą atrakcyjność seksualną;
- * spełnisz najskrytsze marzenia i fantazje;
- * miłość będzie radością.

Idealny prezent dla mężczyzny.
Cena det. 28 zł



Zbigniew Landowski

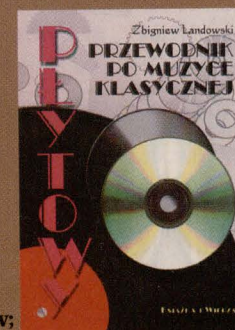
Przewodnik płytowy po muzyce klasycznej

Pierwszy tego typu przewodnik na polskim rynku
– można w nim znaleźć informacje:

- * o najlepszych i – w miarę możliwości – najtańszych płytach CD z muzyką klasyczną;
- * o muzyce klasycznej w Internecie;
- * biografie największych kompozytorów i wykonawców;
- * słownik pojęć i terminów muzycznych.

Książka wprowadza znakomicie w świat muzyki klasycznej zapisanej na
płytach i jest cennym vademecum, zwłaszcza dla wszystkich miłośników
muzyki klasycznej.

Cena det. 55 zł



Jerzy Płazewski

Historia filmu

Poznaj sekrety najlepszych reżyserów,
kariery i najgłośniejsze role gwiazd
kina. Odkryj tajemnice związane
z produkcją największych hitów
filmowych. Encyklopedia sztuki
filmowej, polskiej i zagranicznej,
piąte wydanie uzupełnione przez autora dziejami filmu
w ostatnich ośmiu latach. Książka bogato ilustrowana,
zawiera indeksy nazw wszystkich wymienionych filmów
w wersji oryginalnej i polskiej. Miłośnicy kina często
zadają sobie pytanie: co dziś obejrzeć albo co nagrać
dla domowej filmoteki? Ta książka ułatwi im wybór.
Cena det. 84 zł



Rupert Sheldrake

Niezwykłe zdolności naszych zwierząt

Psy, które wyczuwają zbliżający się powrót
właściciela; koty, które rozpoznają telefon od
osoby, do której są przywiązane, konie, które
w nieznanym terenie odnajdują drogę do
domu; zwierzęta, które przewidują trzęsienie
ziemi i inne klęski żywiołowe, a także nagłe zgony, wypadki i choroby
swych właścicieli – wszystko to świadczy o istnieniu pewnych zdolności
leżących poza zasięgiem współczesnych metod poznania naukowego.
Takie zdolności ma też Twój ulubieniec. Z tą książką możesz je odkryć.
Cena det. 36 zł



Jerzy A. Masłowski

Chwila dla urody, czyli starochińskie metody pielęgnacji ciała i... ducha

Poznaj naturalne sposoby poprawiania urody, sylwetki i sa-
mopoczucia oraz leczenia rozmaitych dolegliwości, wywo-
dzące się z tradycyjnej medycyny chińskiej. Chińscy leka-
rze nie proponują cudownych recept, tajemniczych mikstur
czy magicznych ekstraktów. Przywracają zdrowie, zaleca-
jąc pacjentom ogólnie dostępne produkty żywnościowe oraz popularne przypra-
wy i zioła, dzięki którym skóra odzyska piękny wygląd, włosy – połysk, a oczy
– blask. Skuteczność tych metod sprawiła, że coraz powszechniej stosują je eu-
ropejskie i amerykańskie gabinety odnowy biologicznej, szpitale i kliniki.
Cena det. 20 zł



Prowadzimy sprzedaż wysyłkową. Wystarczy zadzwonić lub napisać.
Koszt przesyłki pocztowej pokrywa wydawnictwo.

Wydawnictwo „Książka i Wiedza”, ul. Smolna 13, 00-375 Warszawa
tel. (0-22) 827-94-17, fax (0-22) 827-94-16
e-mail: promocja@kiw.com.pl http://www.kiw.com.pl





Rozpoczęło się
wyburzanie
budynku
Głównego Urzędu
Kontroli Prasy,
Publikacji i Widowisk.

CYWILIZACJI

Kiedy w marcu 1981 r. w krakowskiej Kurii Metropolitalnej zabrakło papieru do dalekopisu, ks. kard. Franciszek Macharski złożył nie zapowiedzianą wizytę w krakowskiej redakcji PAP, co gazety opisały jako „odwiedziny u ubogich i nieuleczalnie chorych”. W rezultacie agencji obiecano dofinansowanie, a jej warszawskiej centrali nawet nową siedzibę.

Na spełnienie tej ostatniej obietnicy trzeba było czekać dwadzieścia lat. Nowa centrala wyrosła na Mysiej. Ha! Mości panowie, ja szlocham! Na Mysiej 5, w miejscu rozwalanego budynku Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk!...

W dalekim, chmurnym Albionie William Szekspir ze wstydu przewrócił się w grobie: na takie coś jego wyobraźnia była zbyt uboga...

- Czy karabin maszynowy stał w oknach na Mysiej codzien-

nie, czy tylko 1 Maja? - spytała mnie na zajęciach słuchaczka Studium Dziennikarskiego. Odpowiedziałem, że codziennie, w majowe święto dodawano mu jedynie do towarzystwa armatę i batalion smutnych panów z nożami w zębach.

W historycznej świadomości młodego pokolenia Lechitów egzystuje wprawdzie fakt istnienia ongiś cenzury, ale o funkcjonowaniu tej zacnej instytucji, o jej wszechobecności w życiu codziennym i skutecznych aż do bólu sposobach działania pokolenie „after computer” nie ma bladego pojęcia. Kursy wiedzy specjalistycznej na ten temat powinna prowadzić najbardziej doświadczona redakcja: „Tygodnik Powszechny”. Nie prowadzi, nikt jak dotąd nie napisał wspomnień o swych przygodach z cenzurą, a dobrą, starą Mysią 5 pożegnać trzeba godnie i ciepło. Stąd poniższe sceny obyczajowe, przy-

opisywaniu których „łza zamiast kropki pada”.

Mysia, zgodnie z dekretem z 5 lipca 1946, nie dopuszczała do rozpowszechniania „wszelkiego rodzaju utworów za pomocą druku, obrazu i żywego słowa”, które by „GODZIŁY W USTRÓJ PAŃSTWA POLSKIEGO”, np:

Reporter „Przekroju” wybrał się był pod koniec lat siedemdziesiątych na poszukiwanie statków spuszcających zaświoną smarami i oliwą wodę z zenz w modre fale Zalewu Szczecińskiego. - Widzi pan ten brzeg? - pokazywał pilot helikoptera. - Jeszcze w tamtym roku było tu piętnaście gniazd orła bielika, teraz jest tylko siedem, bo od tej francowatej chemii pękają mu złożone jaja...

Odnosny fragment reportażu zdjęła cenzura. Autorowi, który szlochał do słuchawki: - Ludzie, dlaczego? - cenzorka surowo wy-

jaśniała: - Chcecie nam, wiecie, przejść przez rozum. Orłu mogą pęknąć jaja, to ludzka rzecz. Ale dlaczego właśnie bielikowi? Bo bielik to inaczej, jak doskonale wiecie, birkut. A my nie będziemy pisać o „Człowieku z marmuru”.

Krakowskiemu satyrykowi i dziennikarzowi uniemożliwiono druk wizytówki „Bruno Miecugow, bezpartyjny niefachowiec”.

Mysia, zgodnie z dekretem etc., miała nie dopuszczać do UJAWNIANIA TAJEMNIC PAŃSTWOWYCH, np:

„Do walki z zimą i lodem na torach kolejarzy Południowej DOKP rzucili wszystkie posiadane (jeden) miotacze płomieni”. Wiadomość zdjęto.

Tekst komentarza pod relacją filmową z manewrów Czerwonych Beretów: „W manewrach tych uczestniczy wielu żołnierzy” zmieniono na: „W manewrach tych uczestniczy około wielu żołnierzy”.

Tekst „Most ten wybudowali żołnierze Śląskiego Okręgu Wojakowego” zmieniono na „Most ten wybudowali żołnierze, którzy przyjechali tu do nas ze Śląska”.

CIA, Mossad, MI 5 etc. mogły się obejść smakiem.

Mysia, zgodnie z dekretem etc., nie dopuszczała do „NARUSZANIA MIĘDZYNARODOWYCH STOSUNKÓW PAŃSTWA POLSKIEGO”, np:

„Ziemia krakowska dumna jest z faktu, że właśnie tu przebywał w latach 1912-1914 Włodzimierz Ilicz Uljanow Lenin. Genialny przywódca światowego proletariatu bardzo lubił polskie zsiadłe mleko i polską wódkę „starkę”, w których to napojach zagustował mieszkając wraz z żoną, Nadeżdą Krupską, na krakowskim Zwierzyniecu” (to zdjęto).

„Zjednoczenie Przemysłu Wyrobów Metalowych informuje, że dzięki zobowiązaniom podejmowanym przez załogi przedsiębiorstw dla uczczenia rocznicy Rewolucji Październikowej rynek otrzyma m.in. dodatkowe 70 tys. szt. sierpów i 90 tys. szt. młotów” (zdjęto).

Mysia, zgodnie z etc., przeciwstawiała się „NARUSZANIU PRAWA I DOBRYCH OBYCZAJÓW”, np:

Cenzor w powiatowym Nowym Sączu wył z nudów, bo wobec braku jakichkolwiek innych druków przez całe lata zmuszony

był cenzurować jedynie klepsydry i ingerować jedynie w sformułowanie „kościółek kolejowy” (kolej nie mogła mieć ani kościółka, ani tym bardziej kościoła). Aliści kiedyś zmarło się panu Kowalskiemu, o czym - jak informowała zgłoszona do cenzury klepsydra - „zawiadania pogrążona w smutku żona z przyjaciółmi”. Cenzor z satysfakcją poprawił: „Żona i przyjaciele”.

Żaden - rozumiecie, młodzi? - żaden tekst nie śmiał ukazać się w gazecie, w radiu, w telewizji, na scenie, na estradzie, plakacie, zaproszeniu ślubnym, klepsydrze, reklamie majtek etc., etc. bez zgody, dyżurującego całą dobę i oznaczonego indywidualnym, zmienianym co roku numerkiem cenzora. Stosowny numerki musiał figurować na „Hamlecie” (tym wydrukowanym i tym prezentowanym na scenie). Na karcie przewodniej audycji radiowej. Na depeszy PAP-owskiej (teksty tej agencji czytał cenzor dwa razy: najpierw w warszawskiej centrali, a potem już na szpaltach gazet ogólnopolskich i regionalnych).

Zapisy i wskazówki „co zdejmować” dawała Mysia, interpretowały je i wcielały w życie cenzorskie doły. Stąd - obok realizacji centralnej linii informacyjno-propagandowej - tak koszmarne liczba ingerencji, uzasadnionych - w powszechnym odczuciu - tylko

idiotyzmem lub nadgorliwością urzędnika.

Tymczasem pamiętać należy, iż cenzorska decyzja „puścić - nie puścić” łączyła się z ryzykiem indywidualnym. Ponieważ za nawet nieuzasadnione zdjęcie tekstu czy obrazka nikt się (no, może z wyjątkiem redakcji czy kabaretu) nie obrażał, za brak czujności zaś leciały kary - ingerencja stawała się często dowodem nie tyle głupoty, ile wprost przeciwnie, mądrości. Czeskie przysłowie „Myślę, więc jestem ostrożny”, przekładało się w praktyce na funkcjonowanie wszystkich organów śp. Mysiej.

Prócz Mysiej zasady zapisów cenzorskich ustalali według własnego widzimisię pracownicy różnych szczebli terenowego aparatu partyjnego. Czynili to najczęściej nieformalnie (telefon: „Nie dajemy ani słowa o aresztowaniu Kowalskiego, kwiaty pod Leninem obowiązkowo na pierwszych stronach”), ale zawsze skutecznie. Komitety wojewódzkie informowane były na bieżąco o liczbie ingerencji w materiały zgłaszane do cenzury przez poszczególne redakcje. Naczelnicy - rekordziści otrzymywali odpowiedni wygawor. Dla świętego spokoju często rezygnowano z próby przemycenia czegoś, co mogłoby, wiecie, rozumiecie, drażnić.

W kwietniu 1957 r. do Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Kra-

kowie zgłosiła się grupa wciąż jeszcze zrewoltowanych robotników i studentów, by uzyskać błogosławieństwo (taki był zwyczaj) dla hasła, które chcieli nieść w pierwszomajowym pochodzie. Brzmiały one tak:

ŁOTRY, ŚWINIE, SZUJE
PRECZ ZE STANOWISK!

MIELIŚMY WIOSNĘ W PAŹDZIERNIKU - NIE CHCEMY JE
SIENI W MAJU!

CENZURA HAŃBĄ CYWILIZACJI! (Karol Marks)

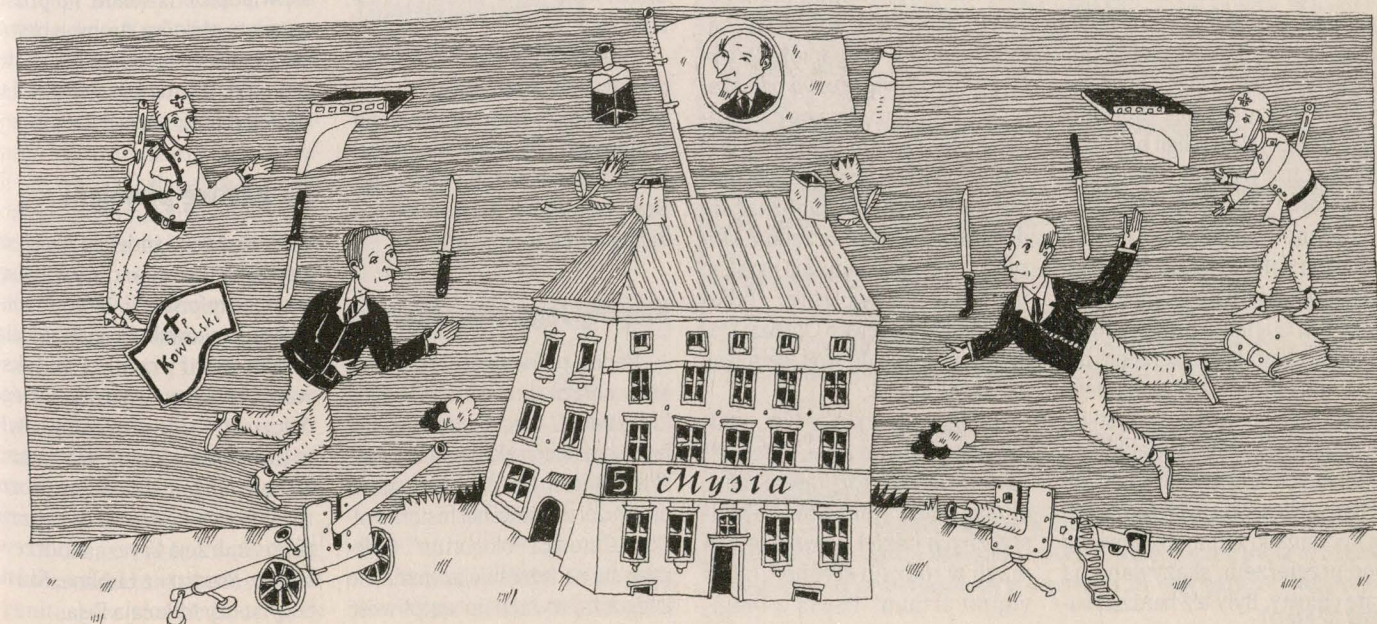
Zajmujący się błogosławieństwami instruktor KW, usłyszawszy hasła, odtańczył taniec Indian.

- Wyście, młodzi towarzysze, zupełnie oszaleli! Te wasze hasła... „Łotry, świnie...” - no, jeszcze może by na razie uszły, mamy przecież demokrację. To drugie, z tym październikiem - nigdy. No, chyba że ostatni raz. Ale z tą cenzurą!... Jak wam, na Boga, nie wstyd podpisywać pod taką bzdu-rą samego Marksa!

Jeden z uczestników deputacji podszedł bez słowa do oszklonej szafki, wyciągnął odpowiedni tom klasyka i położył przed instruktorem. Ten długo studiował stopkę redakcyjną, rok i miejsce wydania, sposób zszywania stron etc., by wreszcie stęknąć:

- No tak, no tak, ale to niemożliwe... Słuchajcie, a może Marks się lapnął?

LESZEK MAZAN
RYS. IGNACY CZWARTOS





Księgi zakazane

„Jakie działania władza współczesna przejęła w pełni od antycznej? Nie trzeba się długo zastanawiać, by odpowiedzieć – podatki i cenzurę...” – ironizował Bernard Shaw.

Amerykański historyk kultury Philipp Guilford, autor prac naukowych o dziełach zabronionych, obliczył, że mniej więcej co 50. książka, od czasów antycznych do współczesnych, miała kłopoty z wydaniem czy rozpowszechnianiem. Do epoki oświecenia większość ksiąg zabronionych traktowała o religii bądź magii, znacznie rzadziej o historiach frywolnych i obscenicznych.

Karano więc autorów i konfiskowano nakłady dzieł, przedstawiających dogmaty religijne z innego niż oficjalny punkt widzenia, posądzanych o szerzenie herezji, gorszących się postępowaniem Kościoła – przede wszystkim w majątkowych kwestiach, czy usiłujących zmieniać liturgiczne rytuały. Nieszczęsnych ludzi pióra upominano z ambon, stawiano pod pręgierzem, skazywano na karę chłosty. Były też bardziej su-

rowe sposoby postępowania: niszczenie publicznie drukarskich pras i kaszt, palenie książek na stosie, wypędzanie autorów z miasta, a niekiedy, z wyroków sądów biskupich, wtrącanie do lochów.

Index librorum prohibitorum

Cenzurę prewencyjną po raz pierwszy wprowadził Innocenty VIII w 1487 r. Z polecenia znanego z surowości papieża Pawła IV kardynałowie ułożyli ogłoszony w 1559 roku „Katalog dzieł kacerskich”. Ostatni ukazał się w... 1940 r. Nawet najwyżsi rangą purpuraci, jeśli chcieli zapoznać się dla potrzeb swego urzędu z którymś z tych dzieł, musieli uzyskać papieskie zezwolenie. Tylko członkowie Świętego Oficjum (Inkwizycji) mogli do woli wertować zakazane księgi.

Czegóż nie było w tym, uzupełnianym na bieżąco, indeksie! Koran, Talmud, rozprawy Konfucjusza obok traktatów kabalistycznych i dzieł poświęconych magii w rodzaju słynnej „Liber viginti artium” Pawła z Pragi,

księgi, której egzemplarz przechowywany w Bibliotece Jagiellońskiej jeszcze w czasach współczesnych nie był zbyt chętnie udostępniany. Różne dzieła o swawolnej obyczajowo treści – od „Ars amandi” Owidiusza poczynając, poprzez „Żywoty pań swawolnych” Brantôme’a, na różnych erotycznych i obscenicznych opowieściach, jakich wiele ukazywało się w tamtej epoce, kończąc.

Zdaje się, że tym działem indeksu nikt specjalnie się nie przejmował, jako że we wspomnieniach jest wiele wzmianek o lekturze pikantnych historyjek. Brak natomiast zapisków o jakichkolwiek represjach.

Kłopoty Jego Magnificencji

Ponoć pierwszym Polakiem, który naraził się cenzurze, zresztą królewskiej, a nie duchownej, był profesor i rektor Akademii Krakowskiej Maciej Miechowita, autor pierwszej drukowanej historii Polski – „Chronica Polonorum”. Opierając się na wcześniejszym dziele Długosza, wyraził on wątpliwość

co do prawego pochodzenia władców z dynastii Jagiellonów, przypominając skandal sprzed prawie 100 lat, kiedy to o cudzołóstwo oskarżona została młoda i piękna królowa Sonka Holszańska, żona sędziwego już Władysława Jagiełły, a babka aktualnie panującego króla Zygmunta Starego. Nie szczędził też niepoehlebnym uwag pod adresem charakteru i stylu rządów nieżyjących królewskich braci: Jana Olbrachta i Aleksandra. Rektorowi Miechowicie udało się uniknąć osobistych represji, nie musiał też patrzeć, jak jego dzieło obraca się w popiół na stosie. Po prostu usunięto niektóre strony, a pewne akapity tekstu protektor Miechowity i nakładca dzieła – Jodok Ludwik Decjusz, napisał na nowo.

Na pastwę płomieni

Pierwszego indeksu ksiąg zakazanych doczekano się w Polsce w epoce reformacji. W 1603 roku biskup krakowski Bernard Maciejowski zlecił przedruk indeksu watykańskiego, uzupełnionego o liczne polskie publikacje. Były to przeważnie księgi protestanckie, ale także z dziedziny filozofii państwa i prawa, w rodzaju pism Andrzeja Frycza Modrzewskiego, Biernata z Lublina, Fausta Socyna czy Mikołaja Reja.

Nie zabrakło dzieł „o treści droższej i nieskromnej” – często tłumaczeń antycznych opowieści. Oczywiście nie wolno było też sięgać po traktaty z dziedziny magii, dotyczące wróżb i zaklęć – z przywołującymi demony czy pomagającymi odkryć ukryte skarby.

Łagodniej potraktowano podręczniki z dziedziny astrologii. Nie wolno było publikować i czytać tych, które podawały sposoby prognozowania przyszłości poszczególnych ludzi. Natomiast traktujące o astrologicznych prognozach pogody, przepowiedniach dotyczących zbiorów i upraw rolnych czy hodowli zwierząt, ewentualnie wyznaczania najlepszych dni na podróż – na indeksie nie figurowały.

Czas ostrożnych cenzorów

W Polsce pod władzą pruską, rosyjską, a początkowo i austriacką, cenzorzy konfiskowali, co tylko się dało. Urzędy zajmujące się tym liczyły dziesiątki pracowników, a stanowisko cenzora uchodziło za wielce intratne (niejeden wydawca starał się obejść zakazy cenzury, apelując do prześwietnego naczelnika za pomocą brzęczących argumentów).

Znalazły się na indeksie prawie wszystkie dzieła patriotyczne, a także te, w których dopatrywano się treści nawiązujących do niepodległości Polski, narodowego wojska, miłości ojczyzny, dawnej tradycji. Konfiskowano utwory Mickiewicza, Krasińskiego, wykreślano całe fragmenty z życiorysów nieżyjących sławnych Polaków, polskich królów, nawet legendarnego Piasta. Cenzorzy interesowali się treścią książek nawet dla dzieci z ochronek ludowych i włościanek, które też ich zdaniem nie powinny za wiele wiedzieć na temat Rzepichy, nie wspominając już o pobożnej księżnej Dąbrowce czy płodnej matce królów, Elżbiecie Rakuszaneczce. Kwestionowano treść scenicznych arii i piosenek. Nawet nekrologi, klepsydry i napisy na nagrobkach padały ofiarą gorliwych cenzorów.

Obowiązywał indeks książek, o których lekturę powinni pytać penitentów spowiednicy przy

konfesonach. Najwięcej było wśród nich opowieści, które wyszły spod pióra francuskich pisarzy, dziś uchodzących za klasyków. Większość powieści Emila Zoli, niektóre książki Balzaka, romanse George Sand, powieści Stendhala, utwory Maupassanta.

Przestrzegano też matki, aby cenzurowały lekturę córek. Po cóż bowiem kandydatka do małżeńskiego stanu miałaby dowiedzieć się o romansach, uwiedzeniach, nieślubnych dzieciach czy płatnej miłości. A takie tematy poruszała też, skądinąd patriotyczna, Rodziewiczówna. W pamiętnikach z tamtej epoki znaleźć można niejedną skargę panny na nieustępliwość matki w tym względzie.

Moralnie obojętne

Ten zwrot, który przeszedł do frazeologii felietonistów, zaczerpnięty został z wydawanych w latach 20. publikacji księdza Pirożyńskiego, który recenzował książki – przede wszystkim beletrystyczne – pod kątem zgodności ich treści z pierwszym i szóstym przykazaniem. Powieści zawierające wątki zmysłowej miłości uchodziły za absolutnie zakazane. Nie była natomiast zabroniona lektura pełna scen brutalnych, morderstw i tortur. Jeśli sporadycznie na kartach rejestrów księdza Pirożyńskiego pojawia się tytuł powieści kryminalnej, to z dopiskiem: „Moralnie obojętne”.

Zmartwychwstanie politycznej cenzury

Niebywały rozkwit przeżywać na nowo zaczęła cenzura po 1945 roku i znów przyczyniała się do spopularyzowania wielu książek oficjalnie zakazanych. Sięgali po nie nawet ludzie, którzy przedtem w ogóle nie czytali.

A dziś – złota wolność słowa? W pewnym sensie tak. Być może nastąpi przesyt w tej dziedzinie i za lat kilka czy kilkadziesiąt cenzurowany będzie nawet Internet, który dla wielu może zastępować książki. Także i te zakazane.

BOGNA WERNICHOWSKA
Rys. IGNACY CZWARTOS

CENZURĘ PRL-U WSPOMINAJĄ:

Józefa Hannelowa, zastępca redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego”

Z cenzurą spotkałam się już w pierwszym dniu pracy w redakcji „Tygodnika”. I tak to trwało przez czterdzieści parę lat. Zanim w Urzędzie Kontroli Prasy przyjęto formę ingerencji przez telefon (żeby nie było śladów), dostawaliśmy do redakcji próbne odbitki stron z czerwonymi skreśleniami. Trzeba było przereklamować zdania i zwroty. Przed zamknięciem pisma w 1953 r. trzy ostatnie numery skreślili w całości.

Różnie było z wiedzą cenzorów. Gdy redagowałam książkę prymasa Wyszyńskiego dla „Znaku”, cenzor kreślił aluzje do Ewangelii uznawane za polityczne! Czasem, bardzo rzadko, udawało się. Wydając w „Znaku” ankietę Czytelników „Tygodnika”, umieszczałam, jako motto, wiersze zakazanego przez cenzurę Miłosza. Nazwiska – za zgodą poety – nie podałam, i przeszły bez szwanku.

Marcel Łoziński, reżyser filmów dokumentalnych

W Wytwórni Filmów Dokumentalnych spotykałam się nie z cenzurą, lecz z cenzorką. Oglądała filmy w towarzystwie reżyserów.

Specjalnie dawaliśmy jej na „pożarcie” sceny, o których wiedzieliśmy, że nie przejdą – np. coś o ZSRR lub demokracji, gdyż musiała coś napisać w protokole (czasami te sceny przegapiła i sami je wyrzucaliśmy). Gdy następowała scena dla nas ważna, która, wiedzieliśmy, że się nie spodoba, kichaliśmy i kaszleliśmy, żeby zagłuszyć „niecenzuralne” słowa, lub w odpowiednim momencie zagadywaliśmy cenzorkę, by jej nie zauważyła. Wiedziała o naszych zabiegach. To była taka gra, gdyż bardzo lubiła filmy dokumentalne i pewnie nie chciała ich popsuć.

Gorzej było z Komisją Ocen Artystycznych, przez którą sześć moich filmów trafiło na półki.

Bronisław Maj, poeta

Nie mogło dojść do spotkania z cenzurą, gdyż taka instytucja nie istniała. Przynajmniej ja nie przyznawałem jej bytu do wiadomości. Dlatego nigdy nic nie zmieniłem, nie pertraktowałem ani nie walczyłem. Gdy publikowano moje wiersze ocenzone, obok nazwiska redakcja umieszczała informację w kwadratowym nawiasie o ustawie o cenzurze i jej numer. Oznaczało to, że pewne fragmenty mojego utworu zostały wycięte. Czulem się wówczas jak właściciel nowego samochodu, który jakiś bandyta porysował gwoździem.

A wycinali mi, co chcieli i bez powodu, nawet gdy pisałem o „ptaszkach i kwiatkach”. Byli uczuleni na moje nazwisko. Pewnego razu zwrócił się do mnie mieszczyk „Więź” z prośbą o wypowiedź dotyczącą literatury. Udzieliłem jej, a w druku pojawiło się, poza moim nazwiskiem, puste miejsce zamiast wypowiedzi. Dalej znajdowała się jeszcze tylko informacja w kwadratowym nawiasie.

Grzegorz Ciechowski, muzyk, wokalista

W 1982 r. cenzor zabronił grania Republice 75 proc. jej utworów. Nie podobala się m.in. „Biała flaga”, w której napisałem: „co to za pan w tych kulturalnych okularach”. Według cenzora chodziło o Jaruzelskiego.

Bardzo dobrze pamiętam moje pierwsze, osobiste spotkanie z cenzurą. Poszedłem na Mysię. Myślałem, że spotka mnie to, co bohatera „Procesu” Franza Kafki. Okazało się jednak, że miałem do czynienia z docentem polonistyki. Cenzura wstrzymała mi m.in. tekst „Paryż, Moskwa 17.15”, w którym napisałem: „pragnę cię tak jak chłodu Moskwy”. Pokazałem cenzorowi książki Apollinaire’a i Majakowskiego, w których zostały użyte podobne sformułowania. „Ja to rozumiem, ale Moskwa nie może być utożsamiana z kochanką, gdyż jest stolicą zaprzyjaźnionego państwa”, tłumaczył mi docent. Zaproponowałem więc zmianę tytułu na „Paryż, Moskwa 17.15, czyli mimowolne podróże kochanków”. Spodobał mu się, gdyż był mniej polityczny, za to sugerujący wątek miłosny. To wystarczyło. Okazało się, że smok nie zjeje ogniem, a do tego można się z nim dogadać.

Andrzej Mleczko, karykaturzysta

Ciekawiło mnie, dlaczego cenzura zajmuje się takimi duperelami, jak np. rysunek gołej baby na trawie. Przecież były ważniejsze sprawy. Pewnego razu np. redaktor naczelny „Szpilek” wyjaśnił mi, że musiał dorysować tysemu mężczyźnie grzywkę, gdyż był za bardzo podobny do szefa warszawskiej milicji.

Wielu wydaje się, że w urzędzie cenzury pracowali tajniacy, jak w SB. A to były głównie wystraszone panienki, które przepraszały, że muszą zdjąć mój rysunek. Ja je pocieszałem i mówiłem, żeby nie popadały w depresję.

Pamiętam, że jeden z cenzorów zmieniał pracę, zresztą źle opłacaną. Otwierał że szwagrem zakład stolarski. A ponieważ akurat remontowałem mieszkanie, poprosiłem, żeby położył mi boazerię. Gdy coś źle zrobił, z nieukrywaną satysfakcją mówiłem mu, że „nie mogę tego puścić”. Musiał poprawiać.

TOMASZ WOLSKI



MARCIN SZCZEPAŃSKI

Czekając na Mesjasza

Chasydyzm narodził się w Europie Środkowowschodniej i tu zginął wraz z Holocaustem. Obecnie sylwetki chasydów przemykają pośród ulic kosmopolitycznego Nowego Jorku.

Izrael ben Eliezer wielu zawodów się imał, był belfrem, furmanem, arendarzem. Od znachorów nabył wiedzę ziołoleczniczą, a ze starszych ksiąg wydobył kabalistyczne przepowiednie, prawidła i tajemnice.

Profesor Majer Bałaban pisze, iż „gdy liczył lat 36, zrzucił z siebie zastonę i objawił się jako mistrz cudów (...), odtąd jeździł po miasteczkach i po wsiach podolskich, leczył chorych, zdejmował uroki, oddawał wzrok ślepym, wypędzał dybuki, a czynił to za pomocą

talizmanów, zaklęć i formuł, a przede wszystkim modlitwy. Sława jego rozeszła się szybko (...), osiadł w Międzyborzu Podolskim, otworzył tam dwór i zgromadził wokół siebie wiernych uczniów”.

Współczesny chasydyzm, którego był ojcem, głosi, iż każdy Żyd może osiągnąć Dewekut – zespolenie z Bogiem. Służba Bogu winna być połączona z pogodą ducha, gdyż to właśnie radość w sercu i głęboka nabożność wiodą do mistycznej jedności z Panem. Chasy-

dyzm zyskał popularność we wszystkich warstwach społeczności żydowskiej, zwłaszcza pośród najuboższych.

W połowie XIX wieku ruch chasydzki objął około połowy wszystkich Żydów zamieszkujących Europę Środkowowschodnią. Sto lat później Holocaust przyniósł zagładę. Zginął świat chasydów polskich, zginęła też rozedrgana, często skłócona, ale jakże kolorowa i fascynująca mozaika etniczna oraz kulturowa przedwojennej Rzeczypospolitej.

W Nowym Świecie

Gdy w wieku 68 lat Joel Teitelbaum, naczelny rabin jednej z gałęzi chasydyzmu (satmar), przybył w 1947 roku do Nowego Jorku, miał za sobą cudowne ocalenie z obozu koncentracyjnego Bergen-Belsen.

Teitelbaum był jednym z tych, którzy zdecydowali, iż Nowy Jork będzie nową ojczyzną

wiecznych tułaczy. Wokół niego i innych rabinów zaczęli gromadzić się wierni. Na Brooklynie powstały nowe społeczności (dwory) chasydzkie, a te, które istniały, znacznie zwiększyły liczebność. Ożyły stare zwyczaje i rytuały. Zbudowano nowe synagogi i rytualne łaźnie (mikvah). Węgierscy satmar osiedlili się w Williamsburgu, dzielnicy Brooklynu, którą tylko Wschodnia Rzeką oddziela od Manhattanu, kilkanaście przecznic od pobliskiego Greenpointu.

Dziś Żydów mieszkających w USA można podzielić w zależności od stopnia pobożności na wiele grup. Tak więc mamy Żydów ortodoksyjnych (wliczając w to chasydów), konserwatyistów, reformatörów, rekonstrukcjonistów i niezrzeszonych.

Około 165 tys. chasydów mieszka w Nowym Jorku. 45 tys. to satmar z Williamsburga, 50 tys. – bobover z Boro Park i ponad 15 tys. Lubavitch w Crown Heights.

Satmar stanowią sam szczyt tej zróżnicowanej społeczności religijnej. Są fundamenta-



Jeden z nielicznych członków wspólnoty Satmar, który z ochotą pozwolił zrobić sobie zdjęcie.

listami i ortodoksami w swoim dosłownym pojmowaniu litery Tory.

Kiedy kilka lat temu po raz pierwszy postanowiłem wybrać się do chasydzkiej części Williamsburga, wpadłem zniemacka w sam środek enklawy zamieszkałej przez satmar – najbardziej ortodoksyjnej z ultraortodoksyjnych gałęzi judaizmu. Chasydzi, poprzez zorganizowaną samoobronę i naciski na lokalną policję, zdołali opanować przestępczość szalejącą w okolicy. Otoczyły mnie sylwetki jakby żywcem wyjęte z kart przedwojennych polskich albumów, postacie brodatych, powiewających pejsami i czarnymi płaszczami Żydów. Młodzieńców o starych, skupionych twarzach i starców o żywych i młodych oczach. Kobiety w jednakowych, skromnie brązowych płaszczach i dzieci śpiące w wózkach.

Samotna wyspa

Stary Rebbe Teitelbaum zdecydował, iż warunkiem przetrwania i rozwoju satmar będzie całkowite odcięcie się tej gałęzi od społeczności i kultury amerykańskiej. W samym środku Nowego Jorku rebbe stworzył wyspę, która była w stanie nie tylko zachować wartości węgierskich przodków (satmar wywodzą się z miasteczka Satu Mare na Węgrzech), ale dokonać sztuki dużo trudniejszej: przekazać je kolejnym pokoleniom. Kilka mechanizmów społeczno-ekonomicznych musiało nałożyć się na siebie, by w środku miasta praktycznie odciąć kilkanaście ulic od wielojęzycznego, wielokulturowego świata.

Większość gałęzi chasydyzmu cechuje uwielbienie i całkowite posłuszeństwo swoje-

mu rebbe (naczelny rabin). Członkowie wspólnoty zwracają się do niego o decyzje, kogo mają poślubić, radę, jaki wybrać zawód czy który sklep jest odpowiedni. Posłuszni rabiemu Teitelbaum i chcący jednocześnie mieszkać jak najbliżej swego mistrza, Żydzi węgierscy osiedlili się w Williamsburgu wokół ulic Lee Avenue i Bedford Avenue, stopniowo poszerzając swe terytorium i siłę.

Niechętnie nastawieni do pokus świata doczesnego przejęli kontrolę zarówno nad sacrum, jak i profanum. Najprościej było wyeliminować obce kulturowo media. Rebbe po prostu zabronił posiadania telewizorów i radia. Ci, którzy ryzykowali czytanie świeckich książek czy magazynów, musieli się liczyć z ostracyzmem i niechęcią grupy. Ale prawie nikt nie ryzykował.

Więzy rodzinne zawsze były silne wśród chasydów. Judaizm, wiara i dążenie do osiągnięcia mistycznej jedności z Bogiem przenika całe życie rodzinne satmar. Role społeczne męża-ojca i żony-matki są ściśle określone i surowo przestrzegane. Kobiety mają być skromne i obyczajne, ich miejsce jest w domu, ich królestwem kuchnia i wychowywanie dzieci. Tylko mężczyzna, głowa domu, ma prawo do poświęcania się pogłębionym studiom Tory i Talmudu oraz pracy zarobkowej. Moshe – jeden z moich chasydzkich rozmówców – stwierdził, iż „kobiety rządzą sercem, mężczyźni intelektem”. Kilka mil na zachód, na Manhattanie, polityka, który wygłaszałby takie sądy, ruchy feministyczne szybko pozbałyby elektoratu.

W chasydzkiej rodzinie, podobnie jak w szkole, chłopcy przygotowywani są do ról ojców, dziewczynki – matek. Oba płciom wpaja się nadrzędność wartości grupy nad interesem jednostki. Średnio w rodzinie jest ośmioro dzieci – typowym widokiem na ulicach są kobiety popychające kilkuosobowe wózki. Przyrost naturalny jest decydującym czynnikiem wzrostu liczebności satmar.

System edukacyjny jest zawsze wyrazem charakteru społeczności i uznawanych przez nią wartości. Rebbe Teitelbaum i jego następcy wywalczyli wyłączenie szkół chasydzkich spod jurysdykcji władz amerykańskich. Edukacja jest jednym z najsilniejszych filarów chasydyzmu.

Przywódcy społeczności decydują o programie nauczania w jesziwach. Od przedszkola chłopcy i dziewczynki uczęszczają do oddzielnych szkół przez sześć dni w tygodniu. Chłopcy zaczynają naukę w wieku lat czterech, chasydzką filozofię poznają przez 3 godziny dziennie. Dziewczynki pozostają w domu do lat sześciu, ucząc się zasad wiary w szkole tylko 45 minut dziennie.

Dzień szkolny ucznia płci męskiej w jesziwie, gdzie zamiast George'a Washingtona wi-szą portrety rebbe, zaczyna się o świcie, a koń-



Podczas święta Purim w Williamsburgu (Brooklyn) ścisłe reguły dotyczące stroju i zachowania nie obowiązują.

czy o 21.30. Dziewczęta kończą szkołę wcześniej – o 16.45, by w domu pomagać mamie.

Nikt nie oczekuje od dziewczynki kontynuowania edukacji po ukończeniu szkoły średniej. Ma przecież założyć rodzinę i wychować kolejną ósemkę potomków. To powoduje, że satmar, w przeciwieństwie do mniej ortodoksyjnych gałęzi judaizmu, są gorzej wykształceni w kategoriach świeckich. Przypadają im zatem gorzej płatne zawody, szukają oparcia w własnej grupie społecznej, co jest następłą cegiełką budującą solidarność grupową.

Odstępcy

Czasem zdarzają się odszczepieńcy. „Odpadki” systemu, który za cenę osiągnięcia jedności z Bogiem kontroluje każdą dziedzinę życia człowieka. Systemu, który redukuje jednostki do cegiełek tworzących społeczność skupioną wokół wodza i wyroczni – rebbe.

„Village Voice” – tygodnik nowojorski – w lipcu 1997 roku zamieścił artykuł o losach siedmiu młodych satmar, którzy wystąpili ze wspólnoty. Dwudziestokilkuletni młodzieńcy opowiadają o ostracyzmie, jaki spotkał ich ze strony wspólnoty, gdy zaczęli wymykać się do świata wokół wyspy. Mówią o homoseksualizmie wśród chłopców, którzy do ślubu nie mają praktycznie żadnego kontaktu z płcią przeciwną, o karach cielesnych w szkole, wreszcie o przypadkach molestowania seksualnego ich kolegów przez nauczycieli.

Ci, którzy obcinają pejsy, stają przed całą złożonością świata z jego szansami, ale i zagrożeniami. Kupują więc pierwszą parę džinsów, po raz pierwszy rozmawiają z dziewczyną, piszą własną księgę zasad. Rzadko udaje się im uniknąć bólu i rozczarowania. Spośród osób, które opisał „Village Voice”, Hershy i Avrumi odkryli smak marihuany, środków pobudzających i hazardu. Yoeli i Mayer trafili do gejowskich barów, a Ikey i Yankel zapuścili długie włosy i zanurzyli się w świat nocnych klubów. Ikey, kolejny uciekinier, zaczął brać kokainę, pokrył ciało tatuażami i kolczykami. Spędził rok, mieszkając w parku, zanim wyszedł na prostą i znalazł pracę. Największym jednak odszczepieńcem stał się Yankel, który przeszedł do rywalizującej o dusze dużo bardziej otwartej gałęzi chasydyzmu – lubavitch.

Satmar potrafią się jednak bawić i weselić. Jesienią, w czasie Święta Szałasów (Sukkot), zamykana jest cała boczna uliczka, na której rozstawiane są kolorowe, dmuchane zjeżdżalnie i skocznie oraz pompowane „góry” do wspinalczki. Rozradowane dzieciaki otaczają huśtawki lub stoją w długiej kolejce po wate cukrową.

Purim – drugie ze świąt, to czas, kiedy Żydzi, przebrani i w maskach, jałmużną, alkoholem i zabawami świętują cudowne ocalenie z rąk antysemitów Hamana. Ów premier staro-



Dzieci zawsze znajdą okazję do zabawy.

żytnej Persji, według Biblii, zamierzał wymordować wszystkich Żydów.

Satmar kontra lubavitch

W Nowym Jorku różne gałęzie chasydyzmu dzieli kilkanaście, kilkadziesiąt ulic. Walka o dusze najwyraźniej widoczna jest pomiędzy satmar i lubavitch, które dzielą przede wszystkim różnice ideologiczno-praktyczne.

Lubavitch, których poznałem, młodzi czy starzy, z żarem w oczach, wymachując rękami przekonywali mnie, iż dzień nadejścia Me-

sjasza jest już blisko, że mnóstwo znaków na niebie i ziemi na to wskazuje, weźmy chociażby globalne zmiany klimatu...

W latach 70. i 80. dochodziło do ulicznych potyczek pomiędzy czarno odzianymi osobnikami z pejsami (satmar), a także czarno przystrojonymi osobnikami bez pejsów (dorośli lubavitch nie noszą pejsów).

Kolejna różnica między nimi to stosunek do państwa Izrael. Satmar są przeciwni istnieniu państwa żydowskiego w doczesnym świecie. Głoszą oni, że tylko Mesjasz może stworzyć ojczyznę dla Żydów, a on, jak wiadomo, jeszcze

nie przybył. Mniej zaskakuje ich stanowisko, gdy wiemy, iż antysyjonizm był również dominującym światopoglądem wśród Żydów w Europie Środkowowschodniej przed II wojną światową.

Lubavitch otwarcie głoszą poparcie dla ziemskiej ojczyzny Żydów, wspomagając ją politycznie i ekonomicznie.

Również stosunek do nowoczesnej techniki i mediów różni ich. Lubavitch korzystają zarówno z telewizji, jak i Internetu, choć wyłącznie do szerzenia nauk swego rebbe. Nawet reklamy na stronach www lubavitch mają charakter religijny.

Satmar, zamknięci, skupieni na dysputach religijnych i sprawach swojej wspólnoty, niechętnie patrzą na gojów, którzy przypadkiem zapuszczają się do ich świata. Lubavitch, otwierający swoje synagogi od Konga do Marakeszu i od Katmandu do Szanghaju, nie przepuszczą żadnej okazji, by z uśmiechem na ustach nie spytać, czy przypadkiem matka twojej matki nie była Żydówką...

Ultraortodoksi judaizmu

Niespodziewanym zakretem historii jest fakt, że ciągle żywy i ekspansywny ruch, powstały jako negacja ortodoksji w judaizmie, postrzegany jest dziś sam jako ultraortodoksja, fundamentalizm wśród zróżnicowanych gałęzi judaizmu. Szacunkiem dla tej starożytnej religii napawa jednak fakt, iż dyskusje o stworzeniu świata, wygnaniu z Egiptu czy nadaniu praw na górze Synaj są równie częste w życiu codziennym chasydów nowojorskich, jak te o rosyjskiej rewolucji październikowej, czy też o tym, czy nowy prezydent Stanów Zjednoczonych będzie aby dobry dla Żydów.

Tekst i zdjęcia: MARCIN SZCZEPAŃSKI



Nawet po widocznej z daleka sylwetce można rozpoznać wyznanie.



Podczas święta Purim na ulicy Williamsburga.

Sąd warunkowo umorzył postępowanie, wyznaczył jednak oskarżonemu okres próby. Werdykt zapadł w procesie w Warszawie. Werdykt, nie wyrok.



Po szermierce na kruczki prawne z przewodniczącym Trybunału, prof. Andrzejem Zollem, mecenas Krzysztof Piesiewicz z furią odrzucił oskarżenie.

Współczesny Polak nie posiedzi

Proces trwał trzy godziny i odbył się w ramach promocji książki Katarzyny Janowskiej i Piotra Mucharskiego „Rozmowy na nowy wiek 1” w warszawskim Teatrze Małym.

Przeciętny Polak ma postarać się przezwyciężyć prywatę i pasywność obywatelską. Taki werdykt nie zadowolił wszystkich. Członek ławy przysięgłych Marek Edelman wstawał i wychodził, przerywał rozprawę retorycznymi pytaniami, zwłaszcza gdy przemawiali obrońcy.

Nielatwo sądzić przeciętnego Polaka. Nikt na sali nie mógłby wystąpić w sprawie – wszyscy jesteśmy krewnymi, kuzynami, ojcami, dziećmi, ciotkami, teściami i babciami przeciętnego Polaka. Sąd zeznał osoby bliskiej oskarżonemu nie bierze zazwyczaj pod uwagę. Poza tym obowiązuje zasada domniemanej niewinności.

Huraganowym atakiem rozpoczął prokurator – dominikanin prof. Jan Andrzej Kłoczowski.

– Współczesny Polak – grzmiał – jest w wieku średnim. Ma niepełne średnie wykształcenie. Zarabia nieco ponad 2 tys. złotych brutto, z czego 1/3 wydaje na żywność, a tylko 1/17 na kulturę. 3 proc. wydatków przeznaczają na alkohol i papierosy.

Do kina chodzi raz na półtora roku, do muzeum raz na dwa lata, do teatru raz na cztery, a do galerii – jeśli żyje 70 lat – zajrzy siedem razy w życiu. Czyta jedną książkę na rok. Co dwudziesty piąty jest na bakier z prawem.

– Polak – kontynuował prokurator – jest niedojrzały. Przedkłada własne bezpieczeństwo i komfort nad wolność. Tęskni za epoką Gierka, małego fiata uważa za luksus, a wakacje w Bułgarii to kres jego marzeń. Szanuje generała Jaruzelskiego, bo w stanie wojennym było mniej przestępstw niż teraz. Wolność jako taka napawa go zgrozą, nie czuje się odpowiedzialny za państwo, to on bowiem potrzebuje stałej opieki.

Podstępnie wyłudza publiczne pieniądze. Zazwyczaj przedstawia się jako ofiara spisku. Rachunek sumienia to dla niego niezrozumiały termin. Nutka zadowolenia pojawia się w momencie klęski – wtedy może ponarzekać. Nawet gdy śpiewa koledy, to zawodzi je na melodię Gorzkich żalów.

Pamięć ma selektywną. Pamięta tylko siebie i to we wzniosłych momentach. Gdy doświadcza go historia, uważa się za kozła ofiarnego. W stosunku do ziomek jest zawist-

ny, ich klęskę uważa za swój sukces. Ktoś nawet ukuł na to termin: polskie piekło.

Obcego traktuje nieufnie. W mieście jest wandal. Zniszczone i zdegradowane środowisko absolutnie mu nie przeszkadza. Dla bezpieczeństwa innych nadal powinien jeździć furmanką. Jest hedonistą.

Tu prokurator sięgnął do piśmiennictwa znanego mecenasowi i senatora obecnej kadencji. „Polak to ofiara bezkrytycznego konsumpcjonizmu” – cytował stronie w twarz. I na koniec lodowatym tonem dodał: Żądam uznania Polaka winnym. Zawinił bowiem moralną ułomnością.

Zapadła martwa cisza.

Adwokat Polaka – zacytowany wyżej mec. Krzysztof Piesiewicz – wstał powoli, ale zaatakował z furią. Zabócił go szczególnie przedostatni passus z mowy oskarżyciela i zażądał wykreślenia go z protokołu.

– Ja nie powołuję się na piśmiennictwo prokuratora – cedził każde słowo – a poza tym jestem obrońcą w tej sprawie, a nie biegłym. Po krótkiej szermierce na kruczki prawne z przewodniczącym trybunału prof. Andrzejem Zollem obrońca wystrzelił jak karabin: Polak według oskarżyciela to infantylny, bezradny tchórz,

to chory na amnezję podejrzliwiec, to leń bez odpowiedzialności, to masochista, ślepy antyEuropejczyk. To w końcu złodziej, egoista, cham, wandal, kanalia (śmiech na sali), pijak, degenerat, prymityw, megaloman i nihilista.

– Gdzie ja jestem? – pytał. – W kryminale? A potem zwrócił się już do oskarżyciela: A trudy jakieś przeszedł?

Pierwszy biegły, prof. Jerzy Szacki, socjolog, nie przyszedł mu w sukurs. Jego zdaniem marny z Polaka obywatel. Przyswaja sobie tylko te konstytucyjne uprawnienia, z których sam korzysta. Na wybory nie chodzi. Od władzy wymaga, ale jej nie kontroluje. Wolność lubi, jeśli ta nie każe mu zaciskać pasa.

– Czy zatem jest konformistą? – przerwał mu prokurator.

– Polak to człowiek, a zatem... – odparł prof. Szacki, ale nie skończył, bo już triumfował oskarżyciel: – Przyjmuję to z radością, jeśli będzie to konkluzja procesu.

Profesor Janusz Tazbir, historyk, dopatrzył się w Polaku tendencji do ciągłego fałszowania historii. Przewagi emocji nad racjonalną analizą. Polak – ciągnął – pamięta o wygranych bitwach, a zapomina o przegranych

wojnach. Za sukces uważa tworzenie państwa podziemnego w czasie każdego konfliktu. Normalnie działające państwo już go nie interesuje. Od 1981 r. nabywa jednak zdolności do kompromisu. Nauczył się patrzeć w stronę człowieka sukcesu. A jest nim nie kto inny tylko papież.

Zarówno Kazimierz Kutz, jak i Julia Hartwig szukali okoliczności łagodzących. Wszystkiemu winne są media – przekonywał reżyser, a wielka poetka wtórowała mu: – Zeitgeist, duch czasu, to główny winowajca. – Marcin Król, publicysta liberalny, wrócił do znanej zbitki Polak-katolik. Z jego słów wynikało, że jednak Polak to bohater: tyle głupot musi zdzierżyć i wysłuchać od swoich duszpasterzy...

Rozstrzygający zdawał się głos biegłej Janiny Ochojskiej, ale... Co czwarty Polak pomaga finansowo potrzebującym, a przecież w Stanach Zjednoczonych – co drugi. W Polsce działa 30 tys. pozarządowych organizacji, ale niewiele ponad połowa aktywnie.

W końcu przed trybunałem pojawił się ekonomista Janusz Jankowiak.

– Polacy – usiłował przekonywać – to dobry partner, a Polska to dobre pole do interesu...

– A dziura budżetowa, to co? – przerwał prokurator.

Biegły nie dał się jednak zbić z pantałyku. Tylko jeden proc. Polaków płaci 30 proc. wszystkich podatków.

– A więc – szydził prokurator – czubek głowy pracuje, a reszta ma wakacje. Gdzie tu słynna solidarność?

Biegłemu udało się w końcu wydać kluczową opinię: Polak to najbardziej wydajny pracownik w Europie.

Przed wystąpieniami stron zabrał jeszcze głos ekspert powołany przez trybunał.

Prof. Jerzy Jedlicki docenił to, że Polak wzrastał w trudnych warunkach, był uczony obłudy, jest emocjonalnie niestabilny. Oddałby życie za ojczyznę, ale oszukuje przy podatkach. Zazdrości Zachodowi bogactwa, ale uważa się za bogatego duchem. Oburza się na krytykę, ale z niej nie korzysta. I na koniec: dumny jest z Kopernika, Chopina, papieża i Małyszki, ale śpiewając hymn, fałszuje.



Katarzyna Janowska i Piotr Mucharski sprowokowali ten proces.

Czy Polak świadomy jest swoich czynów i rozpoznaje ich znaczenie? Zdaniem prokuratora – tak. Mec. Piesiewicz zwrócił uwagę na co innego: dołączył jako materiał dowodowy tekst konstytucji i porozumień gdańskich, i zaznaczył, że oskarżony jest pracowity.

Ława przysięgłych – w składzie: prof. Barbara Skarga (przewodnicząca), Magda Dygat, Andrzej Dudziński, Jacek Sempoliński, Marek Edel-

man, ks. Andrzej Luter i Wojciech Tochman – udała się na radę.

Procesowi przyglądało się zaledwie nieco ponad sto pięćdziesiąt osób. Przy dwóch tysiącach świadków poprzedniego procesu, jaki toczył się nad XX wiekiem w Krakowie, to mało.

Skromny wyrok, w wielkiej sprawie, w Małym Teatrze.

MICHAŁ WÓJCIK

est matematyczno-przyrodniczy!

Victor 18

Top temat: Prawda o imprezach

Wrózba na andrzejkę

Lektura: Pan Tadeusz

Mikołajki: Pluszaki dla całej klasy

Plakat: Władcy, którzy...

EGZAMIN GIMNAZJALNY WYPRACOWANIA

Opis Sprawozdanie Rozprawka Charakterystyka Artykuł Wywiad Reportaż List

Plan Recenzja Zaproszenie Ogłoszenie Notatka

Opowiadanie

Debaty

Plan Państwa

Obowiązkowe pisma gimnazjalisty!

W Victorze co 2 tygodnie:

- omówienia lektur, spotkanie z wierszem
- pytania z poezji, galeria, nauka o języku
- Test do egzaminu
- ciekawostki, humor, kalendarz

W naszym dodatku znajdziesz:

- jak napisać wypracowanie
- o formach wypowiedzi
- o przykładowych tematach
- przydatne podpowiedzi

specjalny dodatek Victora już w kioskach

Z nami egzamin nie będzie straszny!

Postaw me prochy na kominku

Meksykanie żartują ze śmierci, mówią o niej pieszczotliwie i zdrobniale. Może dlatego spodobał im się spektakl „Deballage” Józefa Szajny.



Na ulicy Guanajuato.

Guanajuato, Centrum Międzynarodowego Festiwalu Sztuki Cerventino, jest takim meksykańskim Krakowem. Dużo tu zabytkowych obiektów i czuje się sprzyjający kulturze klimat. W czasie październikowego festiwalu Guanajuato na kilkadziesiąt dni i nocy zamienia się w kocioł, do którego powrzucono różne elementy kultur całego świata. W tym roku gościem festiwalu był Teatr im. W. Siemaszkowej z Rzeszowa, który pokazał „Deballage” Józefa Szajny.

Ze zmarłymi za pan brat

Przybysza z Polski Guanajuato szokuje przede wszystkim niekonwencjonalnymi obrzędami ku czci zmarłych. Na ulicznych targowiskach można się zaopatrzyć w plastikowe czaszki i kościotrupy przybrane

w najwymyślniejsze, męskie lub kobiece, wielobarwne stroje.

Kościotrupy często wzorowane są na grafikach Jose Marii Posady. Ten słynny na całym świecie artysta meksykański stworzył wizerunek śmierci – figurkę kobiety, nazywającej się La Caterina. To szkielet, ubrany w kapelusz z piórkami i w długą suknię, z wachlarzem, często przedstawiany w sytuacjach intymnych. Figurka cieszy się ogromnym powodzeniem – na bazarach jest wprost rozchwytywana.

Meksykanie wierzą, że w listopadzie zmarli odwiedzają domy. Trzeba przywitać ich kwiatami, kadzidłem oraz jedzeniem, które smakowało im jeszcze za życia. – Nie jest to czas żałoby i smutku, lecz radości i szczęścia – twierdzi Magda Grudzińska, absolwentka teatrologii UJ, przebywająca w Meksyku jako stypendystka MSZ.



„Deballage” wzbogacone o scenę nawiązującą do ataku na WTC wywarło na Meksykanach spore wrażenie.

W listopadzie meksykańskie gospodynie domowe robią z czekolady wizerunki czaszek i grobowców oraz pieką bułeczki w kształcie kości. W domach stawia się ołtarzyki z nagietek pomarańczowych, których ozdobą bywa czekoladowa, polukrowana czaszka, przypominająca głowę zmarłej bliskiej osoby. Obok niej stoją napoje i smakołyki, które zmarły upodobał sobie za życia. Na cmentarzu rodzina wspomina krewnego, je i pije właśnie to, co lubił nieboszczyk. Oczywiście, króluje tequila, którą pije się za wieczny spoczynek, często ponad miarę. Wszyscy śpiewają, niekiedy tańczą w rytm gitary i kastanietów, w maskach przypominających twarze tych, którzy odeszli. Uroczystość trwa czasem całą noc.

– Bywa, że chłopak kupuje swej dziewczynie czaszkę z cukru, przyozdobioną kwiatkami i pisze na niej jej imię – mówi Magda. – Tutaj nikt nie szkodzi. Przeciwnie, świadczą o tym, że młody człowiek zachowuje dawny, dobry obyczaj.

Czaszki i szkielety robione są również z blachy, papieru i gliny. Często wypisuje się na nich imiona osób żyjących lub zmarłych, bądź sentencje w rodzaju „Amor eterno” (Wieczna miłość).

Meksykanie są dobrymi znajomymi śmierci. Żartują, mówią o niej pieszczotliwie i zdrobniale. – Kiedy ciało mojego męża, który był Meksykaninem, najbliżsi nieśli w trumnie

do krematorium, a następnie urnę z prochami na cmentarz, towarzyszyła temu dziarska muzyka – wspomina prof. Urszula Wysocka, która mieszka w Meksyku od 30 lat i na Uniwersytecie w Guanajuato wyklada zasady planowania regionalnego. – Niektórzy moi sąsiedzi urny z prochami swoich zmarłych trzymają w domach, na kominkach lub w małych ogrodowych bazylikach. W Meksyku żywi chcą mieć zmarłych blisko siebie.

W Guanajuato, dzięki szczególnym właściwościom ziemi i powietrza, zwłoki złożone do grobu przed rokiem wyglądają tak jak te sprzed stu lat. Szybki i naturalny proces mumifikacji stanowi do dziś zagadkę. – Zgodziłam się, by moją mumię w szklanej gablotce synowie ustawili przy wejściu do salonu – zwierza się pani Urszula. Kiedy pytam, czy żartuje, odpowiada, że mówi to ze śmiertelną powagą. Synowie zapowiedzieli, że urnę z jej prochami umieszczą pod podłogą salonu.

Okrucieństwo rządu światem

Grzegorz Sobociński, radca kulturalny ambasady RP, którego odwiedziłem w Mexico City, zapowiada na przyszłoroczny październik wielką wystawę naszych portretów trumienych z XVII stulecia, wypożyczonych z muzeów w Wilanowie i Czartory-

skich w Krakowie. – Ciekawi mnie, jak je przyjmą Meksykanie – zastanawia się.

Właśnie w listopadzie w Guanajuato, na festiwalu Cerventino, gościli aktorzy Teatru im. Wandy Siemaszkowej z Rzeszowie. Ośmiokrotnie zagrali tam najnowszą sztukę Józefa Szajny „Deballage”. Festiwalowi, podobno największemu w obu Amerykach, nadano taką nazwę na cześć autora „Przygód Don Kichota z La Manchy” – Miguela Cervantesa. Odbywa się równolegle w Mexico City, Leon i Guanajuato.

W tym roku uczestnicy z wyjątkowym ożywieniem dyskutowali o przyczynach zagrożeń we współczesnym świecie, wyrzucając z siebie związane z nimi niepokoje. Pretekstu do takich rozważań dostarczało każdego wieczoru „Deballage”.

– Nie jest to bajka o Królowie Śnieżce – mówił na tych spotkaniach Szajna – lecz rozmowa o świecie, w którym nie ma miłości, za to jest dużo nienawiści. Przeprowadzona w teatrze narracji wizualnej i słownej. Pytam w niej – co znaczy słowo: dobro? Co znaczy: zło?

I gdzie się zło zaczyna? Ja postrzegam świat jako coś szarego, gdzie stykają się i czerń, i biel. Człowiek sam siebie zaniedbuje. Dlatego okrucieństwo rządu światem.

„Deballage” (Rozpakowanie) – opowiada o degradacji człowieka jako efekcie jego pasywności, o naszych małościach, głupocie, braku miłości, którą zastępuje nienawiść.

Podobnie jak wcześniejszą „Replikę” i tę sztukę Szajna dostosował do czasu. We Lwowie (gdzie spektakl „Deballage” gościł w 2000 r.) na gorąco dopisał całą nową scenę – z telefonami, mówiącą o naszym życiu w chaosie, zagubieniu i oglupieniu. W Kijowie wprowadził wątki w języku ukraińskim, prowokując kapitalne reakcje publiczności. W Meksyku, dopuszczając podobne wątki po hiszpańsku, dodał m.in. mocną scenę, wyraźnie nawiązującą do ataku terrorystów na World Trade Center. Na Meksykanach, którzy Amerykanów nie lubią i w związku z tym wydarzeniem nie współczują im tak jak Europejczycy, wywarło to jednak spore wrażenie.

– Jestem przerażona i trochę zdezorientowana – nie kryła swego

podekscytowania po obejrzeniu „Deballage” w teatrze „El Galeon” w Mexico City recenzentka stołecznego dziennika „La Reforma”, Emilia Agilar. – Fragmenty mówione po hiszpańsku i angielsku trafnie podpierają język plastyczny. Całość można zrozumieć jako destrukcję naszej cywilizacji, ale z wiarą w przyszłość.

Temat naszego zagrożenia współczesnymi odmianami totalitaryzmu, jak chociażby terroryzm, jest uniwersalny. To spektakl o dużej sile wizualnej i stawiający przed widzami pytania o zasadniczym znaczeniu – uzupełniła jej wypowiedź prof. Maria Stein, Polka, która od 30 lat mieszka w Mexico City i w tutejszym uniwersytecie zajmuje się współczesną twórczością literacką Indian.

Szajna budzi demony

– „Deballage” to taki worek, do którego zawsze coś można włożyć albo wyjąć, jak to podczas pakowania lub rozpakowywania – odpowiadał z humorem Szajna. – To taka puszcza Pandory: jak poruszyć jedno zagadnienie, to całe robactwo świata wyła-

zi i wszystkie grzechy. W ludziach budzą się demony, jeden z nich obudził się 11 września br. i skutkiem tego był atak na World Trade Center.

– W pracach Szajny zachwyca to, że człowiek ten, już prawie 80-letni, w przeszłości wychodząc z takiego piekła, jakim był obóz zagłady Auschwitz, z takiego bólu, takiego dna i zapaści, tworzy nadal sztukę tak pełną energii i życia – podkreślił Ramiro Osorio Quesada, dyrektor generalny festiwalu, krytyk i eseista. – Ciesząc się z wizyty „Deballage” i aktorów z Rzeszowa, którzy jako jedyni reprezentują sztukę polską na naszym festiwalu.

Każde z ośmiu przedstawień „Deballage” – w teatrach „El Galeon” w Mexico City i „Maria Grever” w upalnym Leon oraz na placu San Roque w Guanajuato przyjmowano owacyjnie.

Szajna był w Meksyku po raz trzeci. Do tej pory, po 25 latach od pierwszego pobytu, w Guanajuato można kupić widokówki ze scenami z jego „Repliki”.

ANDRZEJ PIĄTEK



Co miesiąc w sprzedaży nasze pisma przygotowujące do matury: **JĘZYK POLSKI. MATURA 2002** **EPOKI LITERACKIE**

Cogito - jedyny dwutygodnik maturzystów

W każdym numerze:

- Dodatek: Lektury do matury
- Zeszyt licealisty: Kurs pisania wypracowań maturalnych, EPOKA LITERACKA
- Wszystko o Twoich przyszłych studiach





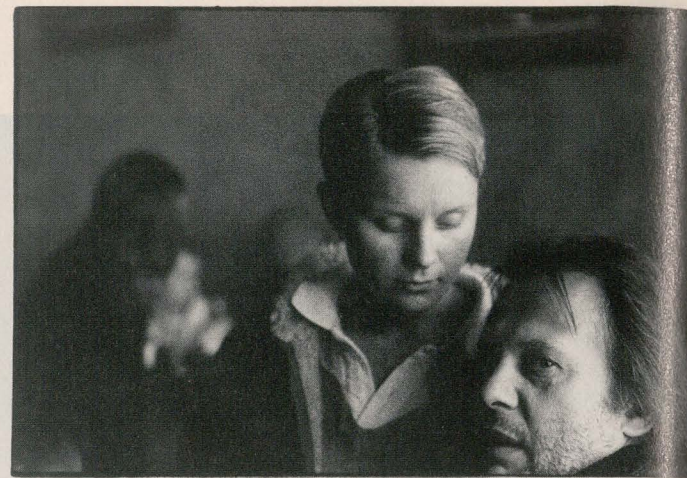
TEKST WOJTEK KOCOŁOWSKI
ZDJĘCIA ZBIGNIEW BIELAWKA

DYM

Tutaj ludzie tracą czas,
pensje i siły, no ale kto by
się tego wyrzekł z własnej,
nieprzymuszonej woli?

Dym to kawiarnia w Zaułku św. Tomasza w Krakowie. Choć jest czynna zaskakująco krótko jak na krakowski lokal, bo tylko do północy, kojarzy się bardziej z nocnym życiem niż z popołudniową kawą po obiedzie u pani Stasi na Mikołajskiej.

Można zaryzykować tezę, że tym, czym dla diety krakowskich intelektualistów jest bar u pani Stasi, tym dla ich kawiarnianego życia jest właśnie Dym. Nie wiedzieć zresztą czemu, bo ani wnętrze nazbyt atrakcyjne (pomazane na zielonkawo ściany), ani przestronne (długa kiszka z bocznymi niszami). Może dlatego, że Dym tworzą ludzie, którzy trwonią tu swe krótkie życie, drogocenne zdrowie i krakowskie pensje?



Oto kilka z wielu niezwykłych sytuacji,
które zdarzyły się w Dymie:



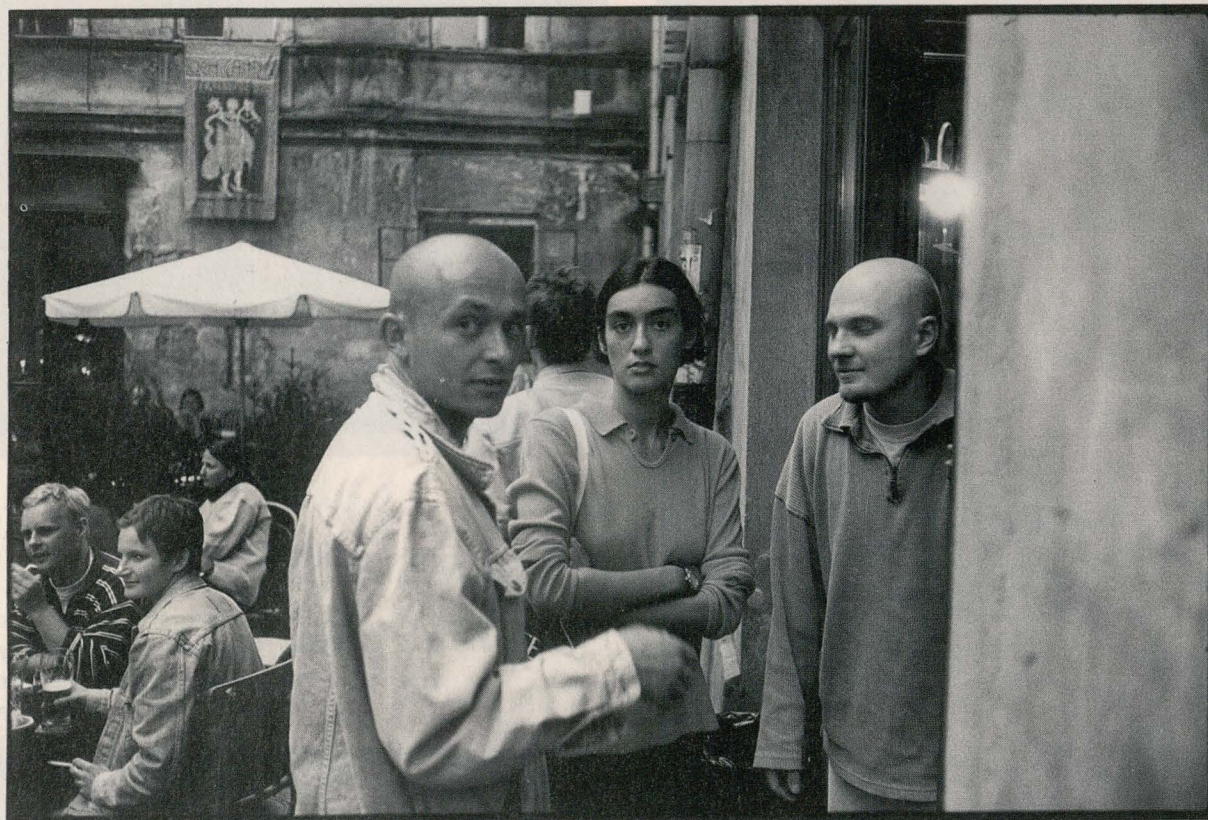
Zakochanie się

Pewien fotograf zobaczył piękną dziewczynę, siedzącą w ciasnej niszy po lewej stronie, wciśniętą z krzesłem pod ścianę. Zauroczenie spadło na niego jak grom z jasnego nieba. Zaczął się z nią spotykać, potem spotykał się coraz rzadziej, chociaż zauroczenie nie minęło. Kiedyś, wieczorem przyszedł ze swoim wielkim szwedzkim aparatem i ustawił go obok niszy. Zrobił zdjęcie i wywołał je. Na fotografii widać stolik, krzesło i kawałek ściany, o którą – z braku miejsca – zmuszeni są opierać się siedzący goście. Jak na Całunie Turyńskim odcisnięty jest tam ślad setek ramion, pleców i głów bywalców Dymu. Dla fotografa jest to jednak jedno ramię, jedno plecy i jedna głowa.

Artystyczna inspiracja

Krakowski rysownik śmiesznych podługich postaci z długimi nosami i spiczastymi butami uwielbia w niemal każdym swym dziele umieszczać figurkę łysego jegomościa w okularach i z aureolą długich włosów po bokach. Wszyscy nazywają go Jiżinek. A wziął się on z pewnej kłótni w Dymie. Rysownik wdał się w rozmowę polityczną z przygodnym towarzyszem. Wśród nich był też ów chudy jegomość, wyglądający na bardzo łagodnego spadkobiercę beatników, czy może wręcz hippisów. I tenże oto jegomość nagle wybuchnął i niczym sztubaka opieprzył rysownika. Dlatego do dzisiaj jako swoista zemsta, czy może bardziej memento złego rozpoznania, Jiżinek pojawia się na niemal wszystkich jego rysunkach.





Kłótnia

Dwóch kolegów – jeden redaktor, drugi rysownik – pokłócili się późno wieczorem przy stoliku, tuż przed zamknięciem Dymu. Obaj byli już bardzo, ale to bardzo zmęczeni. Jeden znał kieliszka wiśniówki, drugi znał wódki z tonikiem patrzyli na siebie wilkiem. Jedyne, na co mogli się zdobyć z powodu braku sił, to monotonna wymiana dwóch tych samych zdań: „Dymitr, jesteś głupi jak koń” – „Eee tam, gadanie, panie Jacku”. Kłótnia trwała około dziesięciu minut i wygasła jak ściszący się utwór na winylowej płycie.

Pozory

Pewien krakowski reżyser teatralny, czujący kabaretowe i dadaistyczne nastroje, przychodzi do Dymu często. Toczy długie rozmowy ze zdecydowaną blondyną o ostrych rysach. Reżyser zazwyczaj wybiera stolik wciśnięty w niszę, po lewej stronie od wejścia. Niekiedy, by pokazać, jaki nowoczesny, przychodzi sam, wyciąga notebooka i pilnie coś na nim majstruje. Mój kolega przypadkowo podejrzwał kiedyś, co się działo na ekranie komputera – właśnie toczyła się żarta walka małego stateczku kosmicznego z flotyllą obcych najeźdźców. Smugom wystrzałów z lasera towarzyszył ledwie słyszalny świst. Stateczek, mimo zdecydowanej przewagi wroga, zwyciężał.

Maksimum pozorów

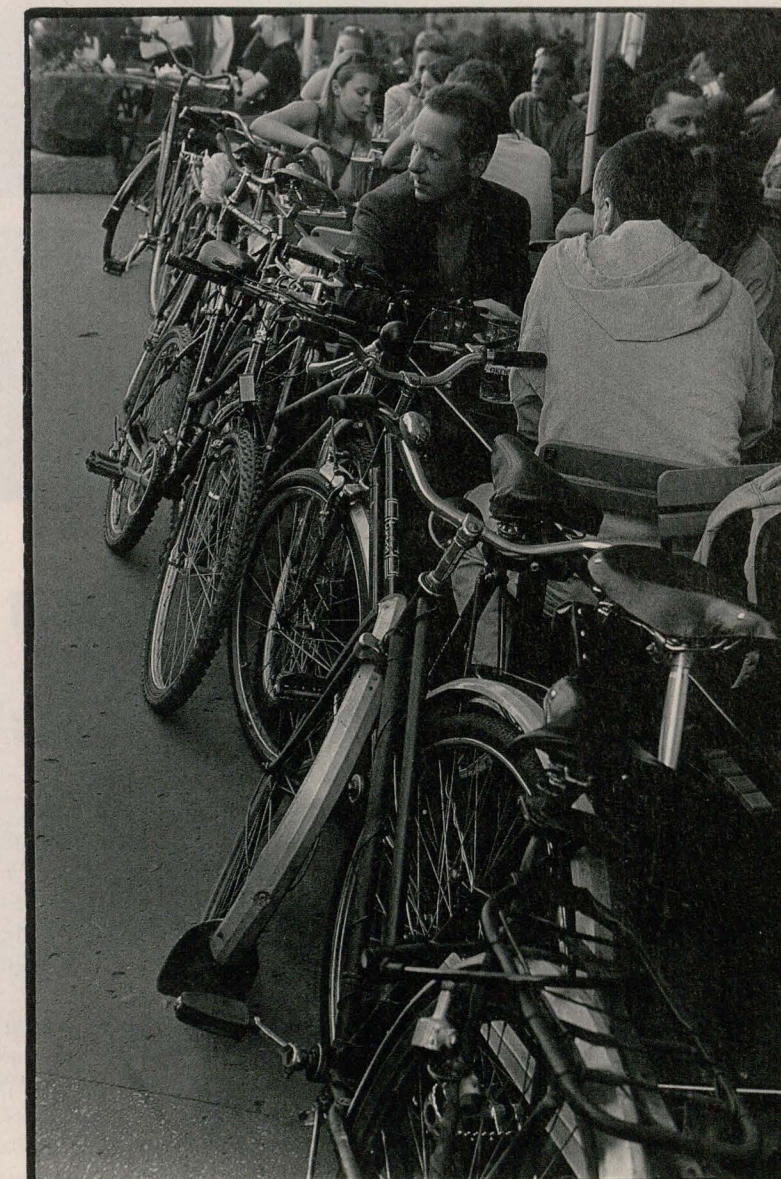
Pewien fotoedytor pisma ilustrowanego uwielbia prowokacje. Zwykł być przychodzić do Dymu również z notebookiem. Włączał go, wybierał program muzyczny i nie zważając na nic, raczył wszystkich dość głośną muzyką. Bynajmniej nie był to Schubert i Chopin, lecz big-beat i rock and roll. Pił kawę i czekał na zaczepki lub choćby na zwrócenie mu uwagi. Bywalcy Dymu lekceważyli jednak tak plebejskie zachowanie. Nikt się nie odzywał. Ale fotoedytorowi pozostała pewna satysfakcja – w końcu nie każdy może przynieść do lokalu własne źródło dźwięków i uniezależnić się od nie zawsze interesującej muzyki zza baru.

Fatamorgana

Pewien krytyk teatralny wieczorem poczuł przypływ geniuszu, co go zazwyczaj spotykało w godzinach popołudniowych, i to z dala od Dymu, a bliżej klubu Pod Jaszczurami. Już, już miał na końcu języka genialną frazę. Wstał chwiejnym krokiem od stolika i szedł, szedł przed siebie, potem skręcił i otworzył drzwi. Zaskoczył go widok ostrzyżonego na jeża mężczyzny w okularach. Mężczyzna był bardzo zmęczony. Krytyk, pełen niesmaku, powiedział mu: „Pan jest pijany”. Nie zwrócił uwagi, że właśnie patrzy w lustro w ciasnym barowym szalecie.



TEKST WOJTEK KOCOŁOWSKI • ZDJĘCIA ZBIGNIEW BIELAWKA





Dzieciaki dopadły nas, śmiejąc się i przekrzykując nawzajem.

Wielodzietnym
rodzinom
z kilkanaściorgiem
potomstwa rzadko
udaje się zapewnić
edukację choćby
jednemu z nich.

Tanzańskie szkoły

Biharamulo, pięćdziesięciotysięczne miasteczko w Tanzanii, budziło się do życia. W bielutkich, lekarskich kitlach wyszliśmy ze szpitala na spotkanie z uczniami miejscowej podstawówki. Wizyta mieści się w programie naszych praktyk lekarskich.

Na piaszczystym boisku szkolnym tłum czekoladowych łobuziaków w granatowych mundurkach rzucił się na spotkanie przyby- szów z głośnym wrzaskiem „MZUNGU!”, co oznacza „BIAŁY!” w języku suahili. Dzieciaki dopadły nas, wieszając się na ramionach,

chwytając za poły fartuchów, za ręce, śmiejąc się i przekrzykując nawzajem. Kitle pod dotykiem dziesiątek małych rączek, które dopiero co bawiły się w czerwonym piasku, zrobiły się pomarańczowo-brązowe.

Pani dyrektor odwołała dzieci na przedpo- łudniową porcję kaszki, która przysługuje każ- demu uczniowi, więc maluchy popędziły do kuchni, aby otrzymać kubek w jak najbardziej jaskrawym kolorze.

Gdy najszybsi konsumenci przybiegli z po- wrotem, zaczęły się popisy: stójki na głowie,

dzieliśmy glinianą chatę zbudowaną na pla- nie prostokąta, krytą strzechą z trawy słonio- wej. Ten „budynek” to też szkoła, a na czas wyborów prezydenckich nawet lokal wybor- czy, jak głosiła tablica. Wewnątrz, na słomie lub bezpośrednio na ziemi siedziało kilka- dziesięcioro dzieci w różnym wieku, pozna- jąc pierwsze litery.

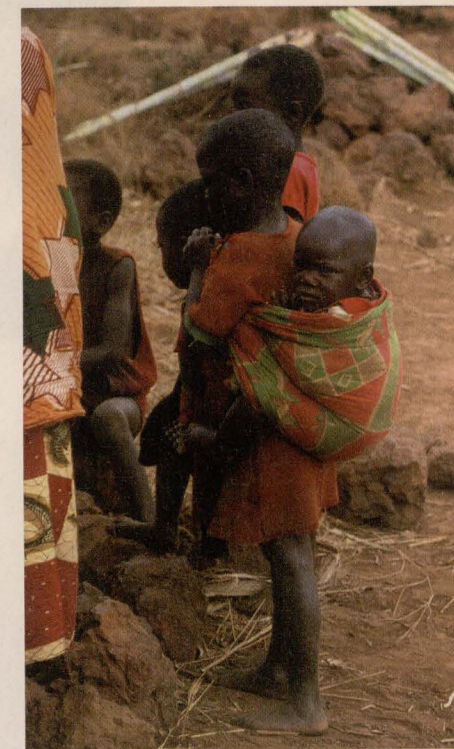
Uczniowie byli tu niezwykle zdyscyplino- wani i mimo zaciekawienia białymi przybysza- mi wysiedzieli do końca lekcji. Na przerwie ukazał się nam tłum obdartusków, dzierzących dumnie w rękach liczydła własnej roboty. Sta- ły, przyglądając się obcym niepewnie. Nie przyjeżdżają tu turyści, toteż czwórka białych musiała wywrzeć ogromne wrażenie.

W tej samej wiosce żyje jeszcze jedna gru- pa dzieci – malcy, którzy muszą pracować w gospodarstwie, na polu z dorosłymi. Dla tych szkoła jest tylko marzeniem. Wielodziet- nym rodzinom z kilkanaściorgiem potomstwa rzadko udaje się zapewnić edukację choćby jednemu z nich.

Kilkuletni brzdąc zajmuje się swoim młodszym braciszkiem czy siostrzyczką, no- sząc je na własnych plecach owinięte w „kangę” – rodzaj barwnej chusty. Starsze rodzeństwo zajmuje się młodszym, a rodzi- ce starają się zapewnić byt rodzinie. To też rodzaj szkoły – te dzieci będą radzić sobie z trudami życia.

Malcy, choć nie mają rytmiki, bardzo chę- nie tańczą przy akompaniamencie bębenków z kozłej skóry, naciągniętej zazwyczaj na drewniany walec; spotkać można też wersję „hi- tech” z puszki po mleku w proszku.

Co ciekawe, w wojnę bawią się tu niezwykle rzadko. Może dlatego, że Tanzania jest wy- jątkowo spokojnym krajem, a maluchy nie



Te dzieci będą radzić sobie z trudami życia.

oglądają telewizji i nie znają obrazów przemo- cy i wojen toczących się w innych państwach.

Jedyny odbiornik telewizyjny w miastecz- ku służy tylko dorosłym do śledzenia wyda- rzeń sportowych, a jego dumny właściciel sprzedaje bilety jak w kinie.

Pewnie dlatego zamiast dobranocek koniec dnia wyznacza dzieciom nagle zapadający zmrok i dochodzące zewsząd natrętne dźwię- ki bębnów.

Tekst i zdjęcia
ALEKSANDER WAŚNIEWSKI



Na przerwie ukazał się nam tłum obdartusków.

HOFF

WIECZOROWA PORA

Nie mogę Wam pisać (a muszę), po raz nie wiem który, że na wieczór modne są czarne koszulki. Oj, jak widzę to zdanie, to mnie ciarki przechodzą. Więc krótkie, długie czy średnie? Nie pytajcie, różne. Naprawdę to nie moja wina, że taka jest wieczorowa moda. Nie bijcie mnie, tylko pomyślcie, że po prostu taka jest widocznie epoka.

Chodzimy na czarno na co dzień, wieczorem chodzimy na czarno, a przecież nie będę Was okłamywać i wmawiać różnych innych kolorów. Choć mam lekkie obawy, że wiele pism pokaże inne możliwości, po prostu żeby strona ładniej wyglądała, bo całe strony czarnych sukienek, które już widziałam w liczących się zagranicznych pismach, faktycznie może nie przyciągać oka. Choć moje oko przyciągają. Jak powiem: czarna koszulka na szelkach, to jękniecie: znowu? Bo była, była nie przeczę. Może ma teraz jeszcze większy dekol, ale nie musi. Albo może to być sukienka u góry przypominająca fasonem letni tiszert bez rękawów, bo to, że bez rękawów, to na pewno.

Ale czekajcie, wróćmy do koloru. Na pewno na upartego znajdziecie w pewnych firmach coś w innym kolorze prócz czerni, ale jeśli np. na 100 kolekcji po 100 modeli znajdzie się kilka czerwonych czy białych, to niewiele, ja mówię, co jest modne.

Ale czekajcie. Jest jeden kolor, o którym warto pamiętać. Beżowy. Beż jest bardzo modny na co dzień, a teraz jest taka moda, że podobne kolory są i na wieczór. Beż na wieczór jest trochę w stylu lat 30., a i moda wieczorowa z tymi przylegającymi do ciała sukienkami jest też trochę w tym charakterze.

A te skosy? Modne skosy, skośne cięcia, dziwne asymetrie, ogony z jednej strony, jakieś godety asymetryczne, jakieś nagle szpice wiszące przy sukience, to wszystko jest bardzo w duchu lat 30., chociaż jakoś się o tym nie mówi. Beż na wieczór ma to do siebie, że się trochę zlewa z ciałem i – uwaga! – tak ma być. To jest właśnie taki styl. Niczym tego nie należy ożywiać, żadnej różni czerwonej nie dopinać ani nie dodawać fioletowej falbany. Całość w jednej tonacji – taka jest moda.

A my wracamy do czerni. Pamiętajcie, że mamy znów mini i zupełnie stosownym strojem będzie mała spódnica trapezik na obniżonej talii i małe tiszert bez rękawów. Pamiętajcie, że asymetria jest tak popularna, że jest poza dyskusją. Dyskusją typu: czy to się przyjmie. Popularne są także: jedno ramię odsłonięte, jeden rękaw i szaleństwo asymetrii u dołu sukni.

Jest wiele sukienek wieczorowych, w których odsłaniamy ramiona, ręce, plecy, duże dekolty z przodu. Ale modne są też sukienki gładkie pod szyją, tyle że na ogół bez rękawów. Nie wszyscy lubią, nie wszyscy mogą. Nosi się też wieczorowe żakiety, mogą być z innego materiału.

A co z przeprocystościami? Nie opuścili nas, tylko widzę, że zaczęły się nieco urealnian, przeważnie rzeczy poszyte są na nieprzeprocystych spodach, które są jakby inną sukienką czy bluzką, wkładaną osobno, nie zszytą. Na krótszej, nieprzeprocystej koszulce dłuższa czy skośna. Resztę dylematów, w co się ubrać na wieczór, spróbuję rozwiązać za tydzień.

20.11.01

Jestem w Paryżu i chciałbym znów dostać się na wyspę z kościołami, którą zwiedzałem jakiś czas temu, również we śnie, idę przez most, jest wyspa, ale nie ma zejścia, muszę skoczyć z mostu, przez chwilę (?) jestem nieprzytomny, budzę się, mam zwichniętą nogę, poza tym wszystko w porządku, idę w lewo, ścieżka prowadzi przez bagna, docieram na plac budowy, murarze coś tam robią, wydostają się z powrotem na miasto. Za drugim razem jestem z rodzicami i Martą Podgórną, znajdujemy drogę na wyspę, trzeba przejść górą przez jakieś prywatne mieszkanie, nagle jestem sam w pokoju z psem, kotem i małpą, małpa rozmawia ze mną, mówi, że będę mógł iść dalej, tylko trzeba uwiązać psa, pies rzeczywiście nie chce mi pozwolić wyjść, a jest przywiązany do klamki, małpa lawiruje drzwiami i psem, wydostają się jakoś i wreszcie wyłaniają się zza jakiegoś muru złote wieże kościołów, chciałbym tam pobiec, ale rozglądam się za rodzicami i Martą, chyba widzę z daleka Martę ubraną w futro, rodziców ani śladu.

21.11.01

Jak zwykle w środę, wychodzę z domu o czternastej, już na ulicy dopada mnie esemes od Frytki: nie byłam na zajęciach, nie będę o 14.30 na Gołębiej (tak jakby sobie wyobrażał, że ja tam rzeczywiście po niego przyjdę), więc odpisuję mu: koło 15. u Pani Stasi, i dostaję odpowiedź: OK. Idę do internetowni i puszcza parę e-maili, pani Mila z Belgradu jest bardzo fajna, ale oczywiście nic nie zapłaci za to opowiadanie (moje), które opublikowała w czymś tam po serbsku, Grabowski niby opisuje mi rozkosze rzymskie, ale tęskni, widać, że tęskni. Wychodzę równo o trzeciej, u Pani Stasi Frytka już czeka i przypomina mi się starsza pani, która w dawnych czasach stała tu zawsze w kolejce i często nawet po odstaniu swego jeszcze stała, żeby przychodzić jakiś czas po niej i zresztą olewający ją totalnie staruszek już nie musiał... Zamawiam pieczeń, Frytka knedle, oczywiście z rosółem, więc jem ten rosół, gadamy o artykule Michasia, który obwołał mnie ojcem duchowym nowego pokolenia prozaików, czy pani też zamawiała knedle?, pyta Frytka panią zajętą naprzeciwko nas jedzeniem paprykarza, pani przetyka paprykarz i odpowiada: Pół. A potem co, Klub Kulturalny, grzane piwo i mówię Frytce: brakuje ci swobo-

dy, która wynika z umiejętności (wymyśliłem sobie to zdanie po drodze), na razie jesteś jak Józef Czechowicz, który wpierw publikował swoje wiersze z kropkami, a potem te kropki usuwał; mimo wszystko trochę to mało jak na te dwie godziny, które mamy ze sobą spędzić, w końcu kończą nam się fajki i bierzemy to za sygnał do wyjścia. W Jaszczurach Frytka bierze kawę, a ja kolejne piwo, zajmujemy jakiś stolik i w tym samym momencie widzę, jak wchodzi jakiś pan trochę podobny do pana Wawrzyckiego, o, jaki podobny, myślę sobie, ale to nie koniec, bo zaraz za nim wchodzi we własnej osobie pani profesor Wawrzycka, co do tego nie mam już wąt-

(wygrała Kingosia, wreszcie), wracamy, odczytujemy, po czym dosiada się do nas profesor Cz., który też napisał wiersz, ale go nie zaprezentował, za to teraz powtarza w kółko: nie rzucim ziemi skąd nasz drób, taką ma jazdę, w końcu pod pretekstem wyjścia do toalety wychodzę do toalety i wracając dosiadam się już do Frytki i Frytko, mówię, jesteś dla mnie jak chłodny źródło po tym wszystkim, na co Frytka, że musimy porozmawiać, więc idziemy porozmawiać i jak zwykle nic z tego nie wynika, wracamy do stolika i dosiada się do nas Kuba Niklasowski, który robi na mnie całkiem przyzwoite wrażenie i daje mi swoją książkę i rozmawiamy o tym, czy może być



pliwości, i: o kurde, moi profesorostwo przyszedł, mówię zdębiały do Frytki, który z zimną krwią stwierdza: no to chyba idź się przywitać. Idę i całujemy się i w ogóle, zapraszam ich do naszego stolika, ale oni nie, chcą mieć swój, więc znajdujemy jakiś, co prawda z młodym poetą, który przyszedł na konkurs i ma przy sobie wiersze w foliowej koszulce, no ale nic, biorę piwo, dosiadam się do nich, pani profesor sączy martini z lodem, gadamy chwilę o naszych odległych światach (kim jest dla ciebie ten młody człowiek? – a, to mój przyszły osobisty sekretarz), po czym zaczyna się, tzn. najpierw mój wieczorek (czytam wiersze z „Rozrusznika”), a potem konkurs, ale jeszcze w przerwie pani profesor przychodzi i mówi: jakie to niezwykle, że robisz się coraz lepszy (podczas gdy ja mam wrażenie, że jest wręcz odwrotnie), młodzi poeci prezentują nam swoje utwory, schodzimy z Baranem i Michałem Pawłem do piwnic, gdzie wydajemy werdykt

jednocześnie staccato i ostinato, a potem tańczę z Agatą i idziemy wszyscy do Agaty na herbatę i jest z nami Kuba Momro, który ma o drugiej pociąg do Białegostoku, ale to jeszcze kupa czasu, więc odprowadzają mnie na Kazimierz i Kuba po drodze uświadamia mnie co do Frytki (jak wszyscy ostatnio), po czym zachodzimy do mnie i zostają, Frytka, mówi Kuba, zostają, Frytka, dodaje od siebie, choć bez przekonania, bo Frytka przecież przez dworzec ma po drodze do domu i odprowadzi Kubę, a mnie pozostanie czytanie wierszy Niklasa, skądinąd bardzo ładnych; dzięki, Kuba.

22.11.01

„Angelus” Majewskiego, pierwszy dobry polski film od czasów „Długu”, Marta miała św. rację, namawiając mnie na niego, i niechby mnie już wreszcie dupnął ten promień z Saturna.

ADAM WIEDEMANN

Osteoporoza skrada się po cichu.
Co dziesiąta osoba w świecie ma zmęczone kości.
Złamanie jest już alarmem...

Kości na stoku



W Europie narciarstwo uprawia ponad 150 milionów ludzi. Zakładają deski, ruszają na stoki – dla relaksu, zdrowia. Wśród amatorów zjazdów i slalomów jest wielu młodych wy-czynowców. I coraz więcej kobiet oraz mężczyzn w wieku balzakowskim. Za dwadzieścia lat liczba tych ostatnich podwoi się. Życie ludzkie przecież się wydłuża!

Cieszyć się? Oczywiście. Ale i pamiętać trzeba, że powszechna choroba naszych czasów, osteoporoza, akurat na zboczach gór objawia się najczęściej. Chirurdzy – składając połamane ręce, nogi czy kręgosłupy – mają dowód na to, że ostre zakręty, nagłe przyspieszenia, upadki, jazda po muldach czy skoki bardzo źle działają na kruchy, osłabiony układ kostny sezonowych „wyczynowców”. Światowa Organizacja Zdrowia sucho informuje: 200 milionów ludzi cierpi na zmniejszoną masę i gęstość kości, dolegliwość dochodzącą do głosu po 35. roku życia, a nasilającą się po pięćdziesiątce – zwłaszcza u kobiet.

Sport na urlopie

Narty są sportem pięknym, ale dla wielu niebezpiecznym. Zwłaszcza dla zapaleńców nie przygotowanych kondycyjnie. A tych nie brakuje. Ankieta przeprowadzona pod koniec lat 90. przez

Instytut Badań Opinii Rynku i Konsumpcji wykazała, że 80 proc. Polek nie uprawia żadnego sportu. Mężczyźni nie są wcale aktywniejsi.

Wszyscy ruchowe zaległości usiłują nadrobić w ciągu kilku urlopowych dni lub tygodni! I to niekoniecznie na łagodnych zboczach rodzimych Beskidów, a w Alpach. Stąd ze stoku narciarskiego trafiają prosto do szpitali z powodu naderwanych mięśni tylnej strony uda, zerwań więzadeł i zwichnięć stawu kolanowego i – groźnych złamań kości...

Lekarze od lat przypominają, że choć problemy z kośćcem dają znać zwykle w wieku dojrzałym, to trzeba o niego dbać już w życiu płodowym.

– I w młodości. Szczególnie w okresie pokwitania, gdy organizm potrzebuje najwięcej minerałów dla szkieletu, który zbuduje albo jak ze stali, albo jak z waty – dodaje prof. Wojciech Olszyński

z University of Saskatchewan, Saskatoon Osteoporosis Centre w Kanadzie. Ciągłe odchudzanie się, unikanie produktów mlecznych, brak fizycznego wysiłku, palenie papierosów, nadużywanie kawy sprzyjają uwalnianiu się z kości wapnia, powstawaniu osteoporozy. Profilaktyka rozpoczęta po 30. roku życia jest mocno spóźniona, twierdzi profesor.

Cichy złodziej

W Europie Zachodniej, Japonii i USA aż 70 milionów osób cierpi na osteoporozę. W Polsce ponad cztery miliony. Kości tych ludzi są odwapnione, pozbawione poprzecznych beleczek wypełniających mikroarchitekturę „rury”, a zatem dziurawe, porowate. Krucho i łamliwe.

Ta dolegliwość częściej dokucza kobietom. 27 proc. z nich po 50. roku życia ma już cieńsze kości, m.in. z powodu niedoboru estrogenów, które obniżają aktywność budujących szkielet komórek. Spadek hormonów (testosteronu) u płci przeciwnej nie czyni tak wielkiego spustoszenia.

Specjaliści jednak ostrzegają: odwapnianie kości – zdecydowanie najmocniejszych w wieku 20–25 lat – nikogo nie omija. A to znaczy, że ich gęstość mineralna stopniowo maleje. Z biegiem lat staje się tak niska, że nawet niewielki uraz może spowodować złamanie w obrębie nadgarstka, kręgosłupa czy kości udowej.

Wiele osób dowiaduje się o osteoporozie dopiero wtedy, gdy doznaje złamania. Dlatego nazy-

wa się ją cichym złodziejem kości. I dlatego przed urlopowymi wyczynami kiepsko wysportowanym ludziom (nie tylko matuzalemom) zaleca się badania densytometryczne, określające gęstość mineralną kości. Te badania są bezbolesne, nieinwazyjne i trwają zaledwie kilka minut.

Drogie kurowanie

Wyraźne zwiększanie się średniej długości życia sprawia, że osteoporoza jest nie tylko ich problemem osobistym, ale także społecznym. Wiemy o niej już dużo, jednak nie wszystko. Mimo ogromnego postępu w metodach diagnostycznych, leczeniu, nie rozumiemy przede wszystkim mechanizmów kontrolujących czynność komórek kostnych.

Ostatnio mówi się o dziedzicznych skłonnościach do osteoporozy. Może po zidentyfikowaniu odpowiednich genów będzie możliwe „rozpoznanie” osób zagrożonych chorobą i zastosowanie takiej terapii, która skutecznie odbuduje kości, wzmocni, a nie tylko będzie usiłowała powstrzymać jego degradację...

Na leczenie szpitalne złamań wynikających z tej choroby podatnicy w krajach Wspólnoty Europejskiej przeznaczają w roku 3 mld 500 mln euro. Na bezpośrednie leczenie medyczne wydaje się w USA 27 mld dolarów. Dużo! Nie może jednak być inaczej, skoro leczenie osób z najcięższym powikłaniem, złamaniem szyjki kości udowej, dziś w USA pochłania w roku aż 14 mld dolarów.

A w Polsce?

Na leczenie opłacane przez kasy chorych może liczyć nikły procent chorych. Endoprotezy stawu biodrowego, wszczepiane w szpitalach, pacjenci kupują przeważnie za własne niemałe pieniądze (od 2 do 8 tys. zł – w zależności od materiału, z jakiego jest wykonana). Niebagatelną kwotę pochłania też wszczepienie endoprotezy stawu kolanowego; na te przyznawane przez szpital (zakup centralny) może liczyć w roku niewiele ponad tysiąc pacjentów, choć potrzebujących jest piętnastokrotnie więcej.

Osteoporozę trzeba leczyć. Nieleczona doprowadza do złamań, których konsekwencje są niekiedy bardzo poważne. Po złamaniu np. szyjki kości udowej tylko 25 proc. chorych powraca do zdrowia, ponad 50 proc. wymaga już stałej opieki. Według danych brytyjskich na skutek tej powszechnej w świecie choroby codziennie umiera 40 osób.

Czy w tej sytuacji nie warto chronić swoich zmęczonych kości na górskim stoku? Trzeba przy tym pamiętać, że czynnikiem zwiększającym ryzyko choroby jest każde złamanie. A na te najbardziej narażeni są ludzie zza biurka, mało ruchliwi, z nadwagą, nadużywający alkoholu i kawy, palacze papierosów...

TERESA BĘTKOWSKA

Klon medialny

Wątpliwej wartości eksperyment z klonowaniem ludzkiego zarodka, który ogłoszono jako światową sensację, wywołał krótkotrwałą burzę w mediach.

Larum podnieśli obrońcy życia ludzkiego. Uważają oni każdy, nawet jednodniowy zarodek za istotę ludzką. A ponieważ eksperymenty z klonowaniem zarodków w obecnej fazie badań kończą się ich niszczeniem, więc zdaniem obrońców życia są całkowicie niemoralne i niedopuszczalne.

Watykan poparty przez Busha

Alternatywą jest umożliwienie zarodkowi rozwoju do postaci w pełni wykształconego organizmu ludzkiego, czyli sklonowanie człowieka. U większości ludzi budzi to jeszcze większy dreszcz niepokoju.

Pogląd, że należy całkowicie zakazać eksperymentów z zarodkami ludzkimi, ma wielu zwolenników. Znajdują wsparcie w nieugiętym stanowisku Watykanu, który potępił eksperyment. Swoją sprzeciw wyraził też prezydent USA George W. Bush. Za zakazem przemawiają nie tylko względy religijne czy etyczne, ale po prostu zwykły ludzki strach przed próbami, których konsekwencji nie potrafimy do końca przewidzieć.

Po drugiej stronie barykady znajdują się raczej zwolenników kontynuowania tego typu badań w celach terapeutycznych. Naukowcy obiecują bowiem, że komórki macierzyste pobierane

z klonowanych zarodków umożliwią w niedalekiej przyszłości leczenie wielu chorób. Robert Lanza, wiceprezydent Advanced Cell Technology i jednocześnie autor artykułu na temat ostatniego eksperymentu, zapewnił, że badania zmierzają do opracowania no-



FOT. FORUM

wych metod walki z rakiem, AIDS, cukrzycą, zawałami oraz chorobami Alzheimera i Parkinsona.

Wielka kłapa

Problem polega jednak na tym, że eksperyment ogłoszony przez ACT jako wielki sukces, tak naprawdę zakończył się wielką kłapą. Sklonowany zarodek obumarł z nieznanych przyczyn już po kilku godzinach. Ian Wilmut, człowiek, który zasłynął dzięki sklonowaniu owcy Dolly, wyraził nawet wątpliwość, czy zarodek był rzeczywiście klonem.

Badacze z Advanced Cell Technology przedstawili wyniki swej pracy w mało

komu znanym czasopiśmie „E-BioMed: Journal of Regenerative Medicine”, ukazującym się jedynie w wersji elektronicznej. Dopiero dzięki akcji propagandowej sprawa nabrała rozgłosu. Ten tryb postępowania spotkał się wszak z zarzutem nieprofesjonalnego sposobu upowszechniania informacji naukowych. Zwykle bowiem dopiero po ogłoszeniu na łamach „Nature”, „Science” lub podobnego czasopiisma, gdzie artykuł przechodzi przed publikacją przez sito recenzyjne, informacja o sukcesie badawczym trafia do mediów.

Cel uświęca środki

Zapewnienia firmy ACT, że chodzi o znalezienie nowych środków do walki z groźnymi chorobami też nie zadowolili ekspertów, którzy uznali, że te same cele można osiągnąć, pozyskując komórki macierzyste z organizmów dorosłych osobników, co jest tańsze i nie budzi sprzeciwów etycznych.

Pod jednym względem firma z Worcester odniosła niewątpliwy sukces. Jej nazwa pojawiła się na pierwszych stronach gazet i w serwisach informacyjnych wszystkich najważniejszych kompanii radiowych i telewizyjnych całego świata.

I może właśnie o to chodziło.

LP

Keff



FOT. BOGDAN KRZEL

Liścik do zmiennika, co mi zamienił berecik

Panie Jacku, miło mi, że pan czyta, co ja tu smaruję w tej Szatni w wolnych chwilach, a ponieważ i ja czytam, co pan zapisuje, kiedy pan nie wydaje paltotów i kurtek, to zostawiam liścik dla pana à propos pana tekstu (Jacek Podsiadło: „W obronie krzyża i podkowy”, „P” 2942). Przypomnę, w czym rzecz: dywagowałam na temat tego, co ma począć człowiek, który chciałby i nie dyskryminować innych kultur, i jednak móc je oceniać, bo prawda jest taka, że wszyscy mamy jakieś hierarchie wartości i według nich osądzamy. Pan mnie jakoś ostro sprowadził do absurdu i czuję, że na głowę pan mi włożył nie mój berecik! I kurteczka nie moja!!!

Powiada pan – tak mnie parodiując – że ja bym wszystko od wszystkiego oddzieliła i pilnowała, żeby obrzezany chłopiec nie siusiał do świeckiego pisuaru. Uu, sprzedał pan istotę za efekt. A problem istnieje. Ja mam swoje preferencje, ale nie mam poczucia, że bym znała rozwiązanie, ani żeby było proste. Tak, rząd francuski zakazał muzułmańskich chust w szkole, bo szkoła ma być świecka.

Życzę panu i sobie, i wszystkim nam, żebyśmy się czuli u siebie, w naszym kraju tak swobodnie – bez żadnych zmian kolorystycznych i wyznaniowych – jak można się czuć w Paryżu czy w Marsylii, będąc żółtym katolikiem w ciapki z tendencją do zjudaizowanego bahaizmu.

A słyszę, że w jednej dzielnicy Warszawy władze oświatowe gminy wydały rozporządzenie, że w każdej szkole ma być kaplica. Zdjęli więc Mozarta i powiesili Matkę Boską. Pan by zostawił Mozarta? Ja wyłącznie jego.

No właśnie, są kraje, które przestrzegają rozdziału tego, co świeckie, od tego, co religijne. I są takie, gdzie ten rozdział jest nie do pomyślenia, bo nie wykształciła się tam idea separacji władzy

świeckiej od władzy religijnej, jak w krajach islamu. I bywają kraje, gdzie rzecz się rozmywa. I bywają kraje, w których zapewne dzieci w klasie mogą sobie wieszać na ścianie różne symbole, świeckie czy religijne, bo do tego doprowadził swoisty proces historyczny, np. USA. Może zresztą byłoby to możliwe w jednej szkole w Warszawie czy drugiej w Krakowie, pod nadzorem i chuchaniem. Panu wisi, co gdzie wisi? Ale symbol symbolowi nierówny. Istnieje coś takiego, co się nazywa za-

Są kraje, które przestrzegają rozdziału tego, co świeckie, od tego, co religijne. I są takie, gdzie ten rozdział jest nie do pomyślenia.

właszczaniem przestrzeni symbolicznej. Przy krzyżu orzeł jest bardziej krzyżowy niż bez. Pan mówi, że od widoku krzyża nikt nie umarł? Pobożne życzenia. Od widoku krzyża, a dokładnie tego, co on sobą symbolicznie reprezentował, i tego, na ile ta reprezentacja była uważana za uniwersalną, czyli jedynie słuszną, umierało wielu. Heretycy, czarownice, Żydzi, Indianie, Azjaci. Afrykanie poniekąd od widoku krzyża – który nic dla nich nie znaczył – zostawali niewolnikami tych, dla których krzyż wiele znaczył i dlatego uważali siebie za uduchowionych i cywilizowanych. Abolicjoniści uczyli czarnych niewolników Ewangelii – czyli włączali ich w symboliczną przestrzeń krzyża, żeby można było mówić o nich, że także są ludźmi.

Mam rozumieć aptekarkę, która nie chce atakować krzyżem, tylko jej milej pod nim sprzedawać aspirynę? Rozumiem, że to nie atak. Ale to jest inwazja pewnego symbolicznego znaczenia, którego aptekarka dokonuje nieświadomie, bo nie bierze pod uwagę uczuć innych niż własne. Polska nie jest krajem wielokulturowym, odwrotnie, coraz bardziej mono. Gwiazdy Dawida częściej wiszą narysowane na szubienicach na murach niż w klasie, gdzie pan chciałby je widzieć obok krzyża i Lennona.

Ależ ja jestem tego samego wyznania co pan: Niech się poznają. Niech sobie rozmawiają. Niech się lubią. Tylko nie za cenę udawania, że nie wiem, jaka jest rzeczywistość. Nie za cenę udawania, że nie ma problemu. Jeśli jeden znak ma pozycję dominującą, niewiele to będzie znaczyć, że inne powiszą sobie obok niego w jakimś chronionym miejscu. Nie zyskają równouprawnienia – będą tylko gadżetami naszej tolerancji.

I, panie Jacku, tyle pan wkłada energii w obronę tego, co jest w nas tak świetnie obronione – krzyża (i podkowy) – i czemu nikt poważnie nie zagraża, że aż się dziwię, co pan taki konwencjonalnie mainstreamowy?

BOŻENA KEFF

Kulturalna ciotka i postmodernizm

Program drugi polskiej telewizji publicznej, pieszczotliwie zwany „Dwójką”, pełni w trójcy telewizyjnej (pr. 1, pr. 2 i regionalna 3) funkcję „ciotki kulturalnej”. „Kulturalna ciotka” to w rodzinie ważna osoba – zna świat, ma wyraziste poglądy i dobry gust. Wie, gdzie bywać, co i dlaczego warto czytać, a co najważniejsze – zna historię rodziny i wie, kto jest kim.

Ostatnio „cioteczka-Dwójka”, być może z powodu kryzysu wieku średniego, częściej biesiadowała i balowała, niż bywała w pracowniach twórców tzw. wysokiej kultury, dlatego z tym większym zainteresowaniem odnotowałam, że zaprosiła do swojego salonu luminarzy kultury i czołówkę polskiego biznesu.

W rzeszście oświetlonej sali zasiadło wytworne towarzystwo. Realizator szczególnie eksponował twarz dyrektora programowego Polsatu, pana Chraboty, w kamuflażu, czyli bez okularów, oraz dostojnie milczących państwa Wajdów.

Dwie damy: pani Czajkowska i pani Bochniarz – debiutująca w roli prezenterki superbizneswoman, dopuszczały do głosu kolejno: pana ministra kultury i dziedzictwa narodowego – Celińskiego, pana przewodniczącego Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji – Brauna, senatora-reżysera Kutza, prezesa Izby Książki pana Rosnera, prezesa TVP pana Kwiatkowskiego, panią Wasilewską-Trenkner – wiceministra finansów, pana Waldemara Dąbrowskiego z zawodu dyrektora (czego on teraz jest dyrektorem? – chyba teatru?), reżysera pana Zanusiego i kilka innych osób.

Temat spotkania był społecznie ważny i medialnie kuszący:

kultura dla biznesu, biznes dla kultury. „Cioteczka zna się na rzeczy, wie, gdzie ucho przyłożyć” – pomyślałam.

Jako widz, który docenia wysiłek edukacyjny i misyjny telewizji publicznej, który spragnionym uchem łowi mędrców słowa, z otwartym umysłem, a z czasem, właściwie z każdą minutą

Nie włączę telewizora, gdy „cioteczka-Dwójka” emitować będzie swój „Cyrograf”.



programu, z coraz bardziej rozdziawioną, coraz bardziej gombrowiczowską gębą przysłuchiwałam się, jak kulturalni i majątni ludzie o kulturze rozmawiają. Ze szkoły pamiętam, że w procesie nauczania ważne są trzy rzeczy: zrozumieć, zapamiętać, utrwalić.

Zrozumiałam, że podobnie jak 60 proc. Polaków nic nie rozumiem z tego, wydawać by się mogło, prostego komunikatu. Zrozumiałam, że rację ma pan Rosner, twierdząc, że taka statystyka to skandal kulturalny. Zaczęłam bać się o siebie i wpadłam w popłoch poznawczy, bo zapamiętałam, że: z kulturą nie jest tak źle, jak się wszystkim wydaje, skoro w tym roku było 15 debiutów filmowych, że z kulturą jest fatalnie, bo nastąpiła polsatyzacja kultury (stąd te przebitki na Chrabotę!), że tylko publiczna telewizja sprostaa wolnemu rynkowi, choć ma niską ściągalskość abonamentów i karmi ludzi rozrywkowym chłamek, bo tego chce lud, jak wykazują badania oglądalności, że bogaci Polacy chcą dać pieniądze na kulturę dla biednych Polaków – widzów i artystów, ale nie ma w tym względzie stosownych przepisów, że ważne jest tysiąc lat tradycji kultury w tym kraju i że dialog będzie się toczył.

Utrwalił mi się histeryczny fałset w głosie prezesa Kwiatkowskiego, gdy polemizował z senatorem Kutzem, zasłaniając się przed ciosami telemetrią (teatr telewizji ogląda tylko 5 proc. widzów, a wy, twórcy, chcecie je robić i robić), anegdota byłego senatora Holoubka o babie i chłamek w tramwaju, dobre samopoczucie i fatalna polszczyzna nowego ministra kultury (na tym stanowisku to stara-nowa świecka tradycja) oraz przestroga Zanusiego, że widz nic z tej rozmowy nie zapamięta, poza bon motami i papierowymi deklaracjami.

Rozgrzeszona tą błyskotliwą konstatacją, z lekko nadszarpniętym zaufaniem do swoich władz poznawczych, mimo wszystko wierząc w wycucie „ciotki kulturalnej”, zasiadłam do oglądania nowego programu o kulturze pt. „Autograf”.

Pod ogromnym telebimem na oczach zgromadzonej w studiu publiczności, najseksowniejszy polski pisarz Chwin, najbardziej kontrowersyjna historyczka sztuki Rottenberg oraz najsympatyczniejszy kompozytor Knittel – montowali wszystko ze wszystkim, jak w postmodernistycznej powieści: atak na WTC z „Wiedźmi-nem”, Andy’ego Warhola z Głowackim, animację Sawki z opowiadaniem taty Orlosia, prezentera Teleekspresu, „Mein Kampf” ze sztuką, obrazy Nowosielskiego z fantasy.

Tą wirówką nonsensu kręcił Jacek Żakowski – wielki, wąsaty, przysiadający na fotelu, jak znudzony orką chłop na przyzbie, wnosząc swoją przasną obecnością polski folklor do tego ponowoczesnego chaosu.

Zaczęłam podejrzewać, że tytuł programu powinien brzmieć „Cyrograf”, a nie „Autograf”. Utwierdził mnie w tym upiorny chichot prof. Bauman – papieża postmodernizmu – wyraźnie go słyszałam, gdy po dziesięćminutowej dyskusji o powieściach Sapkowskiego, bez cienia wstydu czy zażenowania Rottenberg, Chwin i Knittel przyznali, że właściwie nie znają jego twórczości.

I ja też bez wstydu i bez strachu, że ktoś o mnie pomyśli: „dziewucha bez kultury”, oświadczam, że nie zgadzam się na dobrowolną zsyłkę do ostatniego kręgu piekła ponowoczesnego świata, którą proponuje „Autograf”, gdzie słodki kogel-mogel chaosu oblepia członki i pogrąża widzów w narkotycznym transie niepożytecznego bredzenia.

Będę zbierać w sobie siłę moralną, jak każe prof. Bauman, dam odpór diabelskiemu chaosowi – nie włączę telewizora, gdy „cioteczka-Dwójka” emitować będzie swój „Cyrograf”. Niech ci „ciotko”, oglądalność diabli wezmą!

WŁAJERKA

Rokrocznie ginie w czasie pracy kilkudziesięciu dziennikarzy. W roku 1999 zabito ich ponad 70, w 2000 – 62. W br. do tej pory życie straciło przeszło 80 reporterów.



Reporter na muszce

Krewni nad trumną Azizullaha Haidariego.

Blisko dziesięć procent zabitych w tym roku dziennikarzy stanowią ofiary wojny w Afganistanie. W odstępie zaledwie ośmiu dni zginęło siedmiu, więcej niż żołnierzy amerykańskich, walczących z talibami. To pierwszy taki przypadek, odkąd istnieje instytucja korespondenta wojennego.

W pułapce talibów

Volker Handloik pochodził z byłej NRD, z Rostoku. Od przeszło dziesięciu lat odwiedzał najbardziej zapalne rejony świata. Szczególnie interesowały go republiki byłego ZSRR i Ameryka Południowa. Biegle władał rosyjskim i hiszpańskim. Wojnę z talibami relacjonował dla magazynu „Stern”.

Wieczorem 11 listopada wraz z piątką kolegów skorzystał z okazji, aby obejrzeć okopy opuszczone przez talibów. Wyjechali transportem opancerzonym pod opieką lokalnego dowódcy Sojuszu Północnego, Amera Bashira, i jego żołnierzy. Nie dla wszystkich starczyło miejsca we wnętrzu wozu bojowego, więc niektórzy wskoczyli na pancierz.

Do pierwszej linii okopów przeciwnika dotarli bez przeszkód. Kawałek dalej dostali się w pułapkę talibów. Reporter opancerzony gwałtownie zahamował; siedzący na nim ludzie pospadali lub zeskoczyli na ziemię. Paul McGeough z dziennika „Sydney Mornig Herald” przez ułamek sekundy widział, jak Volker Handloik leci w powietrzu, ale w tym momencie pojazd wyko-

nał szybki zwrot i zaczął się oddalać, aby uciec spod celownika wymierzonej już weń wyrzutni rakietowej.

Jeszcze tej nocy Bashir powrócił w miejsce zasadzki ze swoimi żołnierzami. Znalazł tylko ciało Francuzki Johanne Sutton z Radio France Internationale. Liczono, że pozostali zaginieni dziennikarze, Handloik i drugi Francuz, Pierre Billaud, pracujący dla komercyjnego radia RTL, uratowali się. Rano znaleziono obu martwych. Handloika kula trafiła w głowę.

Łatwy łup

Nie ucichły jeszcze echa tej tragedii, gdy na drodze z Dżalalabadu do Kabulu kilku zamaskowanych mężczyzn w czarnych turbanach zatrzymało kolumnę złożoną z ośmiu samochodów. Z dwu pierwszych wozów wywleczono cztery osoby. Byli to dwaj pracownicy Reutera – australijski reporter telewizyjny Harry Burton i urodzony w Afganistanie fotoreporter Azizullah Haidari oraz Maria Grazia Cutuli z czołowego włoskiego dziennika „Corriere della Sera” i Julio Fuentes, korespondent hiszpańskiego dziennika „El Mundo”.

Afgański kierowca widział, jak jednego z mężczyzn kilkakrotnie uderzono dużym kamieniem w głowę. Potem całą czwórkę odprowadzono na bok, aby chwilę później zabić seriami z karabinu. Kierowcę puszczono wolno, gdy na pytanie o znajomość islamu odpowiedział cytatem z muzułmańskiego wyznania wiary.

Droga z Dżalalabadu do Kabulu jest najkrótszym połączeniem między granicą pakistańską a stolicą Afganistanu, zatem tędy podróżują dziennikarze. Miejscowe bandy zwiertziły łatwy łup. Dzień wcześniej obrabowano tu dwie inne grupy reporterów. W kraju totalnie zdewastowanym przez rządy talibów i wojnę ofiarom zabiera się wszystko, co przedstawia jakąkolwiek wartość – od telefonu satelitarnego po buty.

Czworo dziennikarzy zastrzelonych pod Dżalalabadem zginęło zapewne z rąk zwykłych bandytów, którzy chętnie swoje zbrodnie przypisują talibom.

Do afgańskiej listy strat trzeba jeszcze dopisać wysłannika telewizji szwedzkiej, Ulfa Stroemberga, który zginął pod koniec listopada w Talokanie. Padł ofiarą napadu dokonanego przez kilkunastoletnich wyrostków.

Z wojny na wojnę

Zamordowani dziennikarze nie byli nowicuszami. Johanne Sutton, zanim wpadła w zasadzkę talibów, relacjonowała konflikty w Macedonii i Kosowie, przekazywała korespondencje ze starć Palestyńczyków z siłami izraelskimi, a także na temat huraganu Mitch w Ameryce Środkowej. Nie szukała sensacji, starała się raczej zrozumieć źródła i mechanizmy konfliktów. Pierre Billaud był wcześniej na Bliskim Wschodzie, w Kosowie i Algierii. Po ataku terrorystycz-

nym na Nowy Jork spędził w tym mieście kilka tygodni.

Czeczenia, Bałkany, Afryka to miejsca pracy w ostatnich latach Marii Grazii Cutuli, która należała do najwybitniejszych włoskich korespondentów wojennych. Mistrzem w swoim fachu był też Harry Burton, który w ostatniej swojej relacji pokazał opuszczoną szkołę afgańską, gdzie dzieci uczyły się zabijać, aby zasilić szeregi organizacji Osamy bin Ladena. Julio Fuentes w ciągu minionych 20 lat wędrował z jednej wojny na drugą. Dwa dni przed śmiercią odkrył w opuszczonym obozie talibskich fanatyków fiolki z zabójczym gazem – sarinem.

Burton i Azizullah Haidari przeszli treningi radzenia sobie we wrogim środowisku. W szkołach przeżycia uczy się m.in. dziennikarzy, jak mają postępować w razie znalezienia się w roli zakładnika. Reuter np. wysyła na takie szkolenia wszystkich swoich pracowników, których czeka wyjazd w zapalne rejony świata. Nie w każdej sytuacji można jednak spożytkować nabyte umiejętności.

Śmierć na ekranach

Przypadki śmierci reporterów były do niedawna sporadyczne, nie zwracały większej uwagi. Przełom nastąpił w roku 1979, kiedy cały świat zobaczył na ekranach telewizorów śmierć Williama Stewarta w Nikaragui. Reporter amerykańskiej sieci telewizyjnej ABC relacjonował walki sandinistowskiego

Frontu Wyzwolenia Narodowego z Gwardią Narodową dyktatora Anastasio Somozy, wspieranego przez Stany Zjednoczone.

Miał papiery wystawione przez władze nikaraguańskie, które pozwalały mu swobodnie poruszać się między żołnierzami. Feralnego dnia zjawił się z kolegą na jednym z posterunków sił rządowych. Zamienił kilka słów z jednym z żołnierzy. Nie wiadomo, o czym mówili, ale w pewnej chwili dziennikarz położył się na szosie twarzą do ziemi, a gwardzista skierował w jego stronę broń i strzelił mu w tył głowy.

Scenę tę ze stojącego nieco dalej samochodu zarejestrował kamerą wideo kolega zamordowanego. Widząc, że żołnierz zbliża się w jego kierunku, przytomnie wyjął kasety i ukrył ją. Prawdopodobnie to uratowało mu życie, a cały świat niebawem zobaczył zarejestrowaną sekwencję.

Półtora roku temu w Sierra Leone zginęło dwóch dziennikarzy, którzy jechali ciężarówkami wojskowymi przez tereny znajdujące się pod kontrolą sił rządowych. Żołnierze napotkani we wsi Matekete zapewniali ich, że dalsza droga jest bezpieczna. Jednak za wsią grupa partyzantów ostrzelała kolumnę z broni maszynowej. Śmierć ponieśli Amerykanin Kurt Schork, korespondent Reutera, i Hiszpan Gil Moreno, pracujący dla telewizji Associated Press oraz czterech towarzyszący im żołnierze. Atak przeżyło dwóch innych reporterów, którzy odnieśli rany.

Bomba w tecze lub w liście

Coraz częściej dziennikarz nie jest przypadkową ofiarą konfliktu, ale z góry upatrzonym celem. Wielu tego typu morderstw dokonano w minionym dziesięcioleciu w Rosji i republikach poradzieckich.

W 1994 r. zginął Dmitrij Chołodow, który opisywał przypadki korupcji i malwersacji w armii rosyjskiej. W podsunętej mu tecze z interesującymi go dokumentami była bomba. Rok później zastrzelono Władysława Listiewa, dyrektora pierwszego programu telewizji moskiewskiej, który demaskował afery z okresu ostatnich lat istnienia ZSRR. W 1998 r. zabito Łarise Judinę, redaktorkę pisma, które przez dłuższy

czas oskarżało prezydenta Kałmucji o kradzież funduszy publicznych.

W lipcu br. w Gruzji zginął Georgi Sanaja, twórca programów telewizyjnych o korupcji i zakulisowych działaniach polityków. Wcześniej na Ukrainie zmarł, pobity kijami bejsbolowymi, Ihor Aleksandrow, dyrektor kompanii telewizyjnej i radiowej „Tor” ze Słowiańska, która często i ostro krytykowała władze miejskie. Głośna stała się sprawa zabójstwa Georgija Gongadze, redaktora opozycyjnej gazety internetowej. O spowodowanie jego śmierci oskarżano bezpośrednio prezydenta Leonida Kucznię.

W 1999 r. w Belgradzie zastrzelony został pod własnym domem Slavko Ćuruvij – jeden z najzagrożniejszych krytyków Slobodana Miloševicia – uważał go za odpowiedzialnego za upadek Serbii i pisał o rozkradaniu przez niego majątku narodowego. Na przedmieściach San Sebastian zginął w ubiegłym roku z rąk baskijskich terrorystów Jose Luis Lopez de Lacalle, dziennikarz gazety „El Mundo”.

Cudem uszedł z życiem kanadyjski dziennikarz Michel Auger, autor licznych publikacji na temat zorganizowanej przestępczości. Oddano do niego pięć strzałów z pistoletu.

Przedstawiciele niepokornych mediów są szantażowani, zastraszani, więzieni, niekiedy też torturowani. Przed pięciu laty w Stambule doszło do regularnej bitwy policji z grupą kilkudziesięciu dziennikarzy, którzy zobaczyli, jak stróża prawa brutalnie rozprawia się z manifestacją związkowców. Reporterów ciężko pobito, niszcząc im kamery i aparaty fotograficzne. W Zimbabwie dwóch dziennikarzy, którzy podali wiadomość o aresztowaniu grupy oficerów oskarżonych o spisek przeciwko prezydentowi Robertowi Mugabe, zostało dotkliwie pobitych w areszcie wojskowym. Torturowano ich wstrząsami elektrycznymi.

W świetle tych dramatów humorystycznego wymiaru nabiera wy czyn byłego słowackiego premiera Vladimira Mecziara, który osobiście wdał się w bójkę z dziennikarzami.

W poczuciu misji

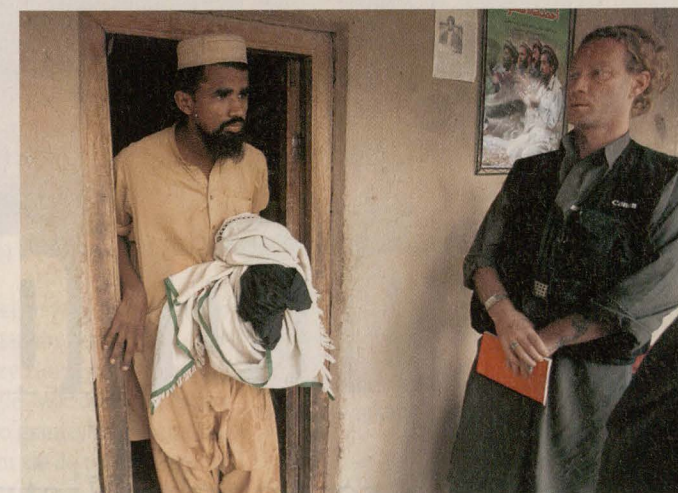
Nawet w latach II wojny światowej na wszystkich jej frontach nie



Transport ciała jednego z trójki dziennikarzy zabitych 11 listopada.



Maria Grazia Cutuli podczas pobytu w Somalii.



Volker Handloik (z prawej) w Afganistanie trzy tygodnie przed śmiercią.

ginęło tylu dziennikarzy co obecnie. Rosnąca konkurencja w mediach spowodowała, że reporterzy są dziś skłonni bardziej się narażać niż dawniej.

Do tego dochodzi jeszcze poczucie misji. Relacjonując przebieg najważniejszych konfliktów współczesnego świata, dziennikarze mają świadomość, że bez ich pracy i do-

ciękliwości obraz wydarzeń byłby zafałszowany. To dzięki takim ludziom jak Volker Handloik, Harry Burton, Dmitrij Chołodow czy Slavko Ćuruvij świat dowiaduje się o niegodziwościach, które w intencji ich sprawców miały nigdy nie ujrzeć światła dziennego.

LESŁAW PETERS



TEKST I ZDJĘCIA: JAN BALBIERZ

Hmong idą na targ

W górskich rejonach Wietnamu żyją plemiona nie tknięte duchem komunistycznych przemian. Władza uznała, że nie warto „uświadamiać” odległych od Hanoi górali.

Hanoi, kwietniowy wieczór. Zanim cyklo – ryksza poruszana siłą nóg chudego staruszka – dowiezie mnie do dworca, musimy pokonać wąskie zaułki starego miasta.

W tropikach życie uliczne zaczyna się dopiero o zmierzchu, gdy można swobodnie odetchnąć, a temperatura spada do trzydziestu pięci stopni. Wtedy w starym mieście sklepikarze podnoszą metalowe żaluzje, właściciele restauracji otwierają drzwi lokali, na ulice wychodzi tłum sprzedawców rzeczy potrzebnych każdemu. Kupić można wszystko – od bawełnianych

skarpetek z logo Nike’a, do marynowanych karaluchów podawanych tu jako przystawka do lokalnej brandy.

Rozczarowani Holendrzy

Cyklo porusza się sprawnie wśród werpów i bocznych uliczek. Do dworca docieram na czas i choć budynek oznaczony jest jedynie po wietnamsku, nie mam kłopotów z jego rozpoznaniem. Na niewielkim placu przed budynkiem rozsiadł się tłum ludzi objuczonych torbami, wiklinowymi koszami,

workami z juty. Co dzień przewijają się tu tysiące osób przyjeżdżających do Hanoi w poszukiwaniu pracy albo na zakupy.

Pociągi Wietnamskich Kolei Państwowych nie rozpieszczają pasażerów. Wagony nie mają przedziałów, po twardych, drewnianych pryczach biegają ogromne insekty, podłogę pokrywa gruba warstwa resztek jedzenia, łusek słonecznika i śmieci. Na sąsiedniej pryczy kładzie się starsza para z Holandii.

Jest za ciemno, żeby czytać, zatem rozmawiamy. Oboje są nauczycielami, należą do pokolenia statecznych pięćdziesięciolatków, którzy pod koniec lat 60. demonstrowali przed amerykańskimi ambasadami i zbierali datki na uzbrojenie Vietcongu. Dziś, w czasie pierwszego pobytu w Wietnamie, nie kryją swego zawodu. Komunistyczna Partia Wietnamu nie spełniła ich nadziei. Spodziewali się, że zobaczą wzorcowe państwo socjalistyczne, w którym błogo uśmiechnięci chłopci uprawiać będą ryż i cytować sentencje Mao. Trafili zaś do kraju zrujnowanego ćwierćwieczem gospodarki planowej, skorumpowanego, pełnego problemów ekonomicznych i społecznych.

Do Sapa

Wietnam należy do najbiedniejszych krajów Azji. Od zakończenia wojny kraj utrzymywał się głównie za sprawą bratniej pomocy udzielanej mu przez Związek Radziecki. Po upadku imperium władze zmuszone zostały do przeprowadzenia podstawowych reform: dopuszczono w ograniczonym stopniu istnienie własności prywatnej oraz rodzimych, prywatnych biznesów. Wielu Wietnamczyków próbuje wiązać koniec z końcem, robiąc jakieś interesy, trudno jednak mówić o wolnym rynku. Prywatni przedsiębiorcy zmuszani są do płacenia haraczy milicji i partyjnym bossom, a ich małe firmy mogą zostać zlikwidowane pod byle pretekstem.

Noc na drewnianej pryczy mija bardzo szybko. O świcie wyglądam przez okno – po ciąg toczy się pomiędzy zielonymi pagórkami tonącymi w gęstej mgle. Wkrótce docieramy do położonej niedaleko granicy z Chinami stacji Lao Cai. Przesiadam się do terenowego samochodu, używanego tu zamiast autobusów. Górską drogą jadę w stronę Sapa.

Hmong z gór

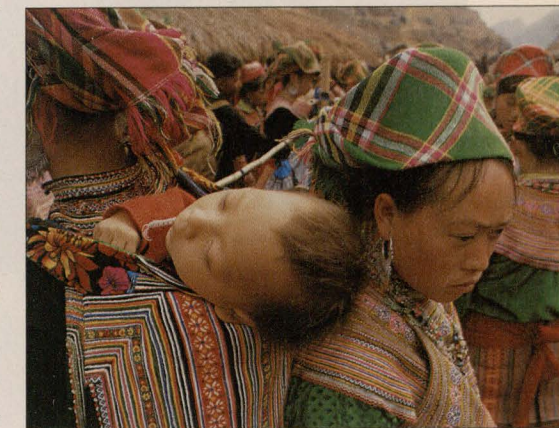
Mgła i mżawka towarzyszą mi przez wszystkie dni w Sapa. Ze znalezieniem lokalnego przewodnika nie mam kłopotów. Wspólnie wędrujemy do pobliskich wiosek. Czasem na krótką chwilę chmury i mgła ustępują. Z daleka widać masywną sylwetkę najwyższej góry kraju, Fansipan, doliny przecięte wstęgami zielonych tarasów ryżowych i niewyraźne sylwetki ludzkie.

Mieszkańcy tutejszych gór zaliczają się do kilku grup etnicznych, najliczniejsze jest plemię Hmong. Plemiona górskie zamieszkujące obszary północnego Wietnamu, Laosu i Birmy przywędrowały tu ponad sto lat temu z Chin i nadal posługują się językiem zbliżonym do dialektu mandaryńskiego.

Mój przewodnik to drobny mężczyzna w średnim wieku. Nie zna prawie wietnamskiego, ale bez trudu porozumiewamy się po angielsku. O polityce wypowiada się powściągliwie, ale chętnie opowiada o życiu wietnamskich Hmong. Jego rodzina utrzymuje się z rolnictwa, coraz częściej można też sprzedać coś turystom. Trzy pokolenia żyją w niewielkiej drewnianej chacie bez elektryczności. Do górskich wiosek nie dotarły jeszcze „przemiany”. Mimo że oficjalnie mniejszości narodowe w Wietnamie cieszą się równouprawnieniem, tutaj dociera niewiele pieniędzy rządowych. Hmong żyją w warunkach bardzo prostych, zachowali jednak dzięki temu poczucie narodowej odrębności.

Kurort w górach

Późnym popołudniem wracamy do Sapa. Miejscowość powstała 80 lat temu jako górski kurort dla francuskich kolonizatorów. W całej skolonizowanej części Azji istniało



Rodzinne zakupy na targu w Cancau.

wiele stacji górskich, mających letnią porą dawać wytchnienie od tropikalnych upałów na nizinach. Leżąca 1600 m n.p.m. Sapa była dla Francuzów tym, czym dla Brytyjczyków w Indiach Dardżyling i Szimla.

Po odzyskaniu niepodległości Sapa na długie lata została zapomniana. Prawie 400-kilometrowa droga z Hanoi, nigdy nie ciesząca się dobrą sławą, uległa całkowitej ruinie. Miejscowość odkryli na nowo zagraniczni turyści, którzy zaczęli przybywać do Wietnamu pod koniec lat 80., po otwarciu kraju dla obcokrajowców.



Kobiety Hmong na targu w Cancau.



Raz w tygodniu w położonych w górskich dolinach miasteczkach odbywają się targowiska. Największe z nich, w Sapa, ściągają tłum wieśniaków z górskich osad. Od rana po błotnistych uliczkach kręcą się mężczyźni w czarnych strojach, przypominających nieco mundur kominiarza. Kobiety sprzedają turystom srebrną biżuterię i tkaniny farbowane tutejszym zwyczajem na intensywny kolor indygo. Pod wielkim dachem rozkładają się wietnamscy sprzedawcy warzyw i owoców, obok na ładach leżą półcie mięsa, w kotłach paruje rosół z ryżowym makaronem. Choć targ w Sapa przyciąga coraz więcej turystów, zaopatrują się tu jednak głównie ludzie z pobliskich wiosek.

Yiana odwiedza bliskich

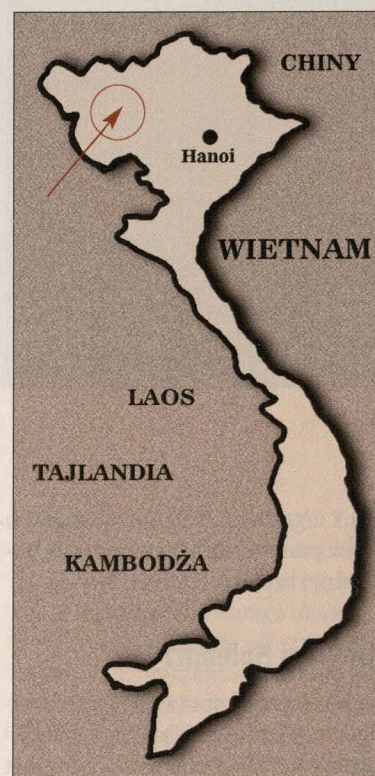
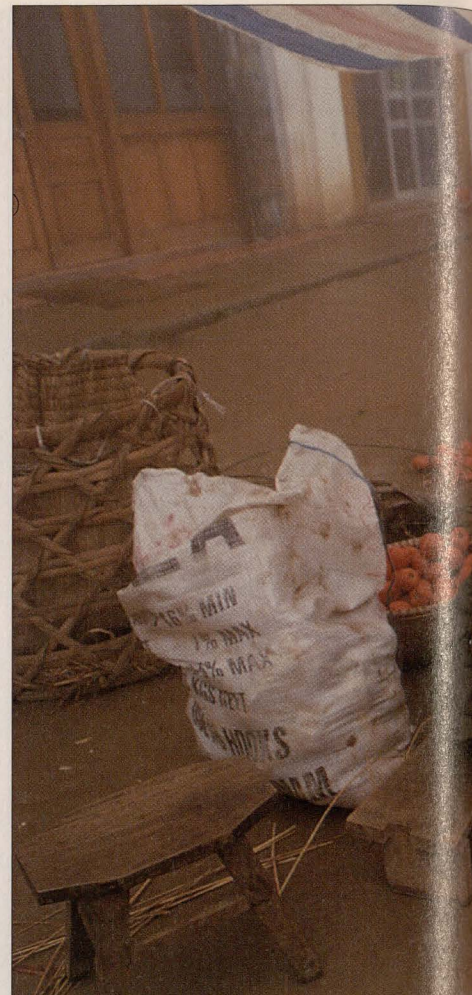
Przed jednym ze sklepów tłoczy się spory tłumek. Za ladą ktoś postawił zdezelowany,

biało-czarny telewizor. Mimo że obraz co chwilę znika, a głośniki dawno temu wysiadły, młodzi Hmong wpatrują się zafascynowani w opalizujący ekran.

To jedyny rodzaj rozrywki dostępnej w Sapa – sklepik z telewizorem zastępuje kino. Zamiast popcornu chłopcy używają tutaj opium. Opiumowe makówki uprawia się w południowo-wschodniej Azji od stuleci i stosuje nie tylko w tradycyjnej medycynie i w rytuałach magicznych, ale także na co dzień, jako popularną używkę.

Autokary po południu opuszczają wioskę. Ci, którzy przyjechali na kilka dni, spotykają się wieczorem w jedynej restauracji. Pochodzą z różnych kontynentów. W ciągu ostatnich lat Sapa (nawet w środku lata jest tu chłodno) stała się też popularnym miejscem urlopowym zamożnych mieszkańców Sajgonu.

Wietnamczycy podróżować zaczęli od niedawna. Do Sapa przyjeżdżają przede



ILUSTRACJA PIOTR GIDLEWSKI

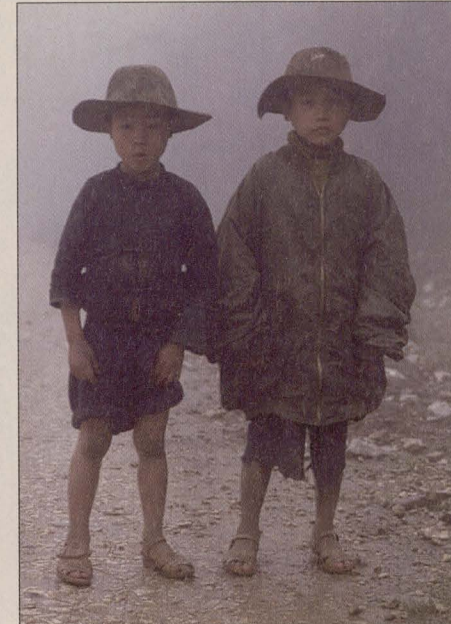
wszystkim ludzi młodzi i wykształceni. Spotkać tu można nowe pokolenie, pracowników firm zagranicznych mających częste



W Sapa zazwyczaj unosi się mgła.



Wietnamski policjant na targu w Cancau.



Dzieci na górskiej ścieżce w drodze na targ.

kontakty z Zachodem czy przewodników wycieczek pracujących dla europejskich i amerykańskich biur podróży. Są otwarci i pozbawieni ideologicznych uprzedzeń.

Pewnego wieczoru spotykam Yiana z dwoma synami. Od 1974 roku mieszka w Kalifornii. Podobnie jak wielu innych Hmong walczących po stronie amerykańskiej, po klęsce południowego Wietnamu musiał uciekać z kraju. Po raz pierwszy od niemal 30 lat zezwo-



Na targu w Bac Ha sprzedaje się głównie tekstylia.

lono mu na wizytę u krewnych. Przy okazji chce pokazać swój rodzinny kraj dzieciom urodzonym już w Ameryce.

Motocykl Mińsk

Poranek w Bac Ha, niewielkiej miejscowości położonej w żyznej dolinie, jest chłodny. Bac Ha otaczają plantacje śliwek i moreli. Z megafonów na głównej ulicy dudni muzyka marszowa i audycje propagandowe Radia Wietnam. W małej knajpie przechadzają się sfory psów. Od czasu do czasu pojawia się zdezelowany autobus z Lao Cai.

W sobotę miasteczko zmienia się nie do poznania. Na wąskich drogach do górskich wiosek pojawia się długi korowód wieśniaków z osad. Kto chce, płaci pieniędzmi, króluje jednak handel wymienny. Komunikacja samochodowa prawie nie istnieje, targowisko rozpoczyna się więc stosunkowo późno. Aby tu dotrzeć, czasem trzeba iść kilka godzin przez błotniste drogi. Kupić można wszystko: od konia i wołu do kolorowych plastikowych gadżetów przemycanych z pobliskich Chin.

Droga na północ od Bac Ha przejezdna jest jedynie latem. Do Can Cau, małej wioski górskiej, nie docierają żadne autobusy. Niezastąpione są radzieckie motocykle Mińsk. Oznaczają się prostotą i niezawodnością, dzięki czemu od kilku dekad pełnią rolę taksówek w niedostępnych regionach kraju. Mój kierowca ma na głowie hełm tropikalny w kolorze khaki,



Wietnam jest powierzchnią zbliżony do Polski – ma 331 114 km kw., ale 75,5 mln mieszkańców. Jeden z najbiedniejszych krajów Azji, lecz po wprowadzeniu stopniowej liberalizacji, prywatyzacji i zniesieniu embarga USA gospodarka Wietnamu rozwija się w tempie 8 proc. rocznie. Szacunkowy dochód na jednego mieszkańca wynosi mniej niż 300 dolarów rocznie. Jest krajem ogromnych kontrastów społecznych, które najmocniej widać między miastami na południu i prowincją na północy. Żyje tam ponad 50 grup etnicznych, posługujących się własnymi językami. Szczególnie różnorodne pod względem narodowościowym są prowincje górskie na północy. Z właścicielami hoteli, restauracji i sklepów stosunkowo łatwo porozumieć się po angielsku, co jest tym bardziej godne podziwu, że za naukę tego języka do 1986 roku groziła kara więzienia. Wietnamską jednostką monetarną jest dong.

spopularyzowany tu w czasach Ho Szi Mina. To do dziś ulubione nakrycie głowy Wietnamczyków z Północy.

Mijamy wędrujących na targ wieśniaków. Drobne kobiety pospiesznym krokiem wędrują górska ścieżką, na plecach niosą ogromne wiklinowe kosze, które wkrótce wypełnią się sukniem. Droga jest kamienista, z wyciem silnika wspinamy się na przełęcz, a potem karkołomnymi serpentynami zjeżdżamy w dół.

Na targowisku w Can Cau dominują tzw. kwiatowi Hmong, nazywani od bajecznie kolorowych strojów z roślinnymi motywami. Nie ma tu prawie turystów, nikt nie nagabuje obcych i nie oferuje souvenirów. Młode dziewczyny przebierają w belach intensywnie czerwonego, niebieskiego i zielonego sukna, radząc się matek i starszych sióstr. Mężczyźni w tym czasie zajmują się degustacją ryżowego wina i samogonu, sprzedawanego tu z wielkich metalowych kanistrów. Inni prowadzą pogawędki na prowizorycznie skleconej ławeczce.

Targowisko w Can Cau kończy się koło południa. Nasz Mińsk świetnie radzi sobie na błotnistej, górskiej drodze. Po godzinie jestem znów w hotelu. Hmong czeka droga znacznie dłuższa, przez resztę dnia wędrować będą do swych wiosek, dopiero wieczorem rozładują kosze pełne towarów, zasiądą przed chatami i zaciągną się dymem z opiumowej fajki.

JAN BALBIERZ

SZCZĘŚLIWI KUFLI NIE LICZA

Cesarz Austro-Węgier Franciszek Józef był pierwszym monarchą składającym wizytę w browarze w Pilźnie. Za jego przykładem poszli inni władcy Europy. Do dziś picie piwa Pilsner Urquell oznacza w świecie to samo, co „być na topie”.

Telegram z Wiednia spowodował, że burmistrz Pilzna po raz pierwszy w życiu zakrzuszył się piwem: „7 września 1874 r. raczy odwiedzić wasze miasto Najjaśniejszy Pan cesarz Franciszek Józef I. Oczekujemy sugestii programu wizyty”.

Pilzno, dzięki założonemu w 1842 r. browarowi, wyglądało jak pączek w maśle i można je było śmiało zaprezentować Jego Cesarskiej Mości. Ale rajcy doszli do wniosku, że lepiej nie ryzykować i prosto z dworca zawieźć Jego Wysokość na przedmieście Bubenec, gdzie dumnie bodły niebo kominy nowoczesnego Browaru Mieszczańskiego, produkującego legendę piw: Pilsner Urquell.

Franciszek Józef oczywiście słyszał o tym piwie, bo i kto w Europie nie słyszał. Pilsner Urquell bił wszelkie rekordy powodzenia, przy całej ogromnej konkurencji rozparł się szeroko na rynkach niemieckim i francuskim, angielskim i holenderskim, docierał na Bliski Wschód, od 1870 r. robił karierę w Ameryce.

Następca tronu Austro-Węgier arcyksiążę Rudolf, który uczył się języka czeskiego, opowiadał swemu dostojnemu ojcu, że Ameryki nie odkrył żaden tam

Krzysztof Kolumb, tylko kilka miesięcy wcześniej, w 1491 r., niejaki Johannes de Bohemia, Czech jak rydz, rodem z Czeskiego Krumlova, którego na brzegu nowo odkrytego lądu powitali dzicy ludzie, dzierżąc schłodzone butelki pilznera. – Jawohl, jawohl, ciepłe piwo jest gorsze niż zimna Niemka – westchnął cesarz, zezując na swą dostojną małżonkę Elżbietę Bawarską, która potem w sypialni robiła mu wyrzuty, że opowiada takie sprośności, w dodatku nieprawdziwe, przy dziecku.

Cesarz znał także owo pilzneńskie piwo z licznych skarg trafiających na jego dostojne biurko. Niewiarogodny i niewiarygodnie szybki sukces „Browaru Mieszczańskiego” spowodował, że setki europejskich browarów zaczęły reklamować swe wyroby jako „Piwa pilzneńskie”, „Warzone na sposób pilzneński”, „A la Pilsner” lub

zgoła „Pilsner”. Nigdzie wprawdzie nie udało się uzyskać owego najpiękniejszego z pięknych złoto, klarownie czystego koloru pilzneńskiego piwa (o podrobkach smakowych nie ma i co mówić), ale i tak w oparciu o doświadczenia pilzneńskie powstała cała rodzina piw jasnych, a browary, osobiście w Galicji, reklamowały swe wyroby jako „Jasne” czy „Jasne pilzneńskie”. Zabawna była historia liczącego czterysta lat browaru w małym, galicyjskim miasteczku Pilzno pod Tarnowem, który dopiero przez Sąd Najwyższy został zmuszony do używania etykiet z napisem „Pilzno w Galicji”.

O tym wszystkim myślał cesarz, patrząc na piętrzącą się na jego kufli białą, gęstą jak śmietana pianę i na złocisty płyn, budzący tak straszliwe, tak nieodparte pragnienie, że monarcha nie wytrzymał i wbrew etykietce hispańskiej czym prędzej zanurzył w kufli swe dostojne wąsy. I pił, pił, nabierając z każdym łykiem ochoty większej, niepomahowanej, wręcz dzikiej.

Dopiero gdy w dostojnym żołędzu znalazła się zawartość trzeciego kufli, Franciszek Józef otarł bokobrody.

– No... To niewiarygodne. To nie piwo, to krople słońca. A ten

smak!... Ta goryczka!... Ciekawe, że żadnemu z browarów austriackich czy niemieckich nie udało się wyprodukować czegoś równie dobrego... Mógłbym prosić?... Który to już kufel?

Dyrektor browaru skurczył się w regulaminowym ukłonie:

– Najjaśniejszy panie, szczęśliwi kufli pilznera nie liczą. A my jesteśmy szczęśliwi, mogąc służyć Waszej Wysokości...

Czeski sprawozdawca napisał potem, że „Najjaśniejszy Pan i cała jego świta w czasie pobytu w Pilźnie ani nie skosztowali przygotowanych dla nich win, pijąc wyłącznie piwo z Mieszczańskiego Piwowaru”.

Wina przygotowane w pociągu dworskim również powróciły do Wiednia, zapomniane i nie tknięte: cały pociąg pił wyłącznie Pilsner Urquell. A po powrocie do Hofburga cesarz wezwał do siebie generalnego ochmistrza dworu, hr. Paara, i najwyższego kuchmistrza, hr. Wolkensteina.

– Jak wiecie, Meine Herren, dotąd piłem wyłącznie – zgodnie z sugestią Najjaśniejszej Pani – piwa bawarskie. Otóż chciałem wam zakomunikować, że od dzisiejszego dnia na stołach w Hofburgu i Schönnbrunnie, a także w pociągu dworskim i na polowaniach ma pojawiać się wyłącznie Pilsner Urquell.

– A jeżeli – przeknął ze wzruszenia ślinę hrabia Paar – a jeżeli gościem Waszej Cesarskiej Mości będzie jego Wysokość król Bawarii?

– To mu się powie, żeby wysłał swych piwowarów do nas, do Pilzna. Niech się uczą robić dobre piwo. A najlepiej niech jedzie sam, wcześniej czy później zrobią to i inni królowie – odparł cesarz i skinął na kamerdynera Hornunga, by mu podał oszroniony kufelek.

LESZEK MAZAN



1842. Pierwsze złociste piwo.



„Uwaga bezdomni”, „Zakaz siadania na ławkach”, „Zakaz wstępu dla kiboli”, „Strefa molestowania seksualnego dzieci”.

Realizacje artystyczne ROBERTA RUMASA w przestrzeni miejskiej budzą różne emocje: od entuzjazmu i zaciekawienia po oburzenie i protesty.

Manewry uliczne

Od 6 października, czyli od otwarcia w Brukseli wystawy polskich artystów pt. „Irreligia – morfologia nie-świętego w XX-wiecznej sztuce polskiej”, rozgorzała w polskich mediach awantura niemal równa zamieszaniu wokół „Nazistów” Ukłańskiego i rzeźby Cattelana. Ojcowie paulini z Jasnej Góry złożyli list protestacyjny, oskarżając wystawę o bluźnierstwo, a w Brukseli sprzeciwiali się jej katolicy radni. Od jej zorganizowania odcieły się polskie instytucje kulturalne, a kuratora wystawy, dyrektora galerii Królikarnia, Kazimierza Piotrowskiego, zdymisjonowano. W Brukseli organizatorem była galeria Atelier 340 Museum, która zaprosiła najlepszych polskich artystów. Naszym komentarzem do wydarzenia nie będzie ani kalendarium, ani zbiór opinii. Wszyscy zainteresowani skandalem zapomnieli, że to wystawa sztuki, a nie mityng polityczno-obyczajowy. Wokół „Irreligii” narosło sporo nieporozumień i jeszcze więcej niezrozumienia. Przedstawiamy jednego z uczestników, Roberta Rumasa, który jest już zmęczony pytaniami na temat antyreligijności swych prac. Czuje się przede wszystkim artystą, czyli człowiekiem kreatywnym, łamiącym stereotypy i w miarę możliwości wolnym. (W. K.)

Z doniesień prasowych na temat wystawy „Irreligia” w Brukseli: „Pomimo protestów Ambasady RP urządzono w Brukseli bluźnierczą ekspozycję «Irreligia». W jej ramach na dziedzińcu Ratusza w Brukseli położono figurę Matki Bożej, przygniecioną wielkim pęcherzem z wodą”.

„Termofory” 1995–2001

Rumas pierwszy raz wystawił „Termofory” w głównym punkcie gdańskiej Starówki – na Długim Targu. Za zgodą władz miasta stanęło tu osiem napełnionych wodą wielkich pojemników z przezroczystego plastiku – zwanych przez artystę termoforami. Przyciskały do ziemi figury Madonny i Chrystusa. Kilkanaście minut po wystawieniu prace zostały zniszczone. Tłum, który wydobył święte figury spod worków, utworzył procesję i zaniósł je do pobliskiego kościoła.

W Brukseli – analogiczna sytuacja: trzy „Termofory” wystawione za zgodą władz miejskich w głównym punkcie brukselskiego Starego Miasta, na Grand Place, oprotestowali urzędnicy. Przesuwali je i dziurawili. W końcu prace usunięto.

Ta praca była próbą dotknięcia żywej tkanki miasta. Na tej tkance – ulicy, bruku – położyłem termofory, którymi zwykle obkładają się obolałe rany. A między jed-

nym a drugim święte figury – żywą tkankę religijną.

– Czy wystawiając prace w Gdańsku, spodziewałeś się takiej reakcji?

– Tak. Użycie ikon katolickich w polskiej rzeczywistości zawsze budzi emocje. A emocje tworzy to, co nas dotyka.

– Przypuszczałeś, że sytuacja z Gdańska powtórzy się w Brukseli?

– Nie.

– Co sądzisz o tych reakcjach?

– Nie będę komentował tego, co już wielokrotnie komentowano na łamach prasy i teraz znów jest komentowane.

– Dlaczego?

– Po prostu nie chcę o tym mówić. Media karmią się tylko skandalami w sztuce, nie zwracając uwagi na nią samą. Nie chcę w tym uczestniczyć.

– A dlaczego wystawiasz sztukę w przestrzeni miejskiej?

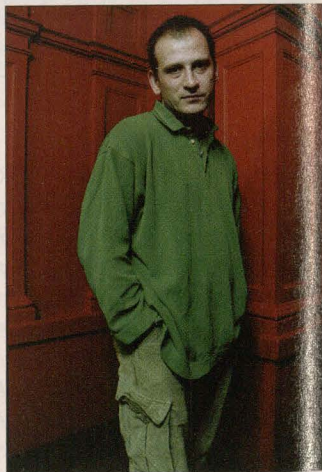
– Żeby prowadzić z nią dialog. Pokazywać relacje, które tę przestrzeń konstruują.

– Jakiego typu relacje?

– Wszelkie. Człowieka z człowiekiem, człowieka z grupami społecznymi, ze strukturą miasta.

„Manewry miejskie”, 1998–2001

Manewry organizuje co roku w innym mieście: Gdańsku, Krakowie, Wiesbaden, ostatnio



w Chicago, wkrótce w Łodzi i Sagossie. Wszystko przez to, że w 1998 r. zapisał się na kurs prawa jazdy. Kupił podręczniki, chodził na zajęcia praktyczne i teoretyczne. Uczył się zasad organizacji ruchu. W tej organizacji najważniejsze były znaki drogowe: zakazu, nakazu, informacyjne.

– Uzmysłowiłem sobie, jak bardzo człowiek podlega takiej „organizacji ruchu”. Poruszając się po mieście, ciągle znajduje się w sytuacji nakazowo-zakazowo-informacyjnej. Tworzą ją zarówno pisane znaki, jak i te niepisane, tworzone przez społeczność i pojedynczych ludzi. Istnieją miejsca znane tylko kręgom wtajemniczonych. Jedni wiedzą, gdzie można kupić narkotyki, inni – gdzie spotykają się homoseksualiści.

Robert od sponsora dostał puste znaki drogowe. Wyciął piktogramy i umieścił w przestrzeni miasta. W tunelu pod dworcem głównym w Gdańsku, na tablicy informacyjnej z rozkładem tramwajów nalepił znak z wyciągniętą dłonią, a nad nią monety. Znak: „Tu wolno żebrać”.

Rumas: Kiedy naklejałem znak, zamieniłem z tymi ludźmi kilka słów. Nie wiedzieli, że to, co robię, jest nielegalne. Myśleli, że jestem z urzędu miasta. Siadali pod znakiem.

Po kilku tygodniach przyszła straż miejska i znak usunęła. Zrobiła tak z innymi znakami: „Tu się uprawia seks”, „Ławka na 15 minut”, „Tylko dla artystów”, „Uwaga bezdomni”. W Krakowie podobnie. Długo wisiał jedynie znak „Zakaz plotkowania” w kawiarni

chodniów, którzy zabierali je do domu. Bo im się podobały.

– W każdym mieście strategiczne punkty przemieszczają się. Dlatego w galeriach miałem swoje „centra planowania”, jak podczas manewrów wojennych: wielki sztabowy stół, a na nim mapa miasta z naniesionymi miniaturowymi znakami ważnych miejsc. Moim „sztabem” byli widzowie. Zmieniali ułożenie znaków na mapie, podpowiadając, jak zmienić ich położenie w przestrzeni.

„Ex-change”, 1995

– Czy zmiany systemowe w Europie Wschodniej były dla Ciebie interesujące?

– Bardzo. To była nowa sytuacja w kontekście globalnym. No-

we monety łotewskiej waluty. To mnie zainspirowało.

Kilka miesięcy później na skwerze przed tą kamienicą Rumas zainstalował kantor: szklane gabloty z umieszczonymi w środku 300 różowymi, porcelanowymi świnkami. Wcześniej przeprowadził kampanię medialną. Reklamy radiowe, rozwieszone w mieście plakaty i ulotki informowały: „Przyjdźcie wymienić stare, zużyte i niepotrzebne wam rzeczy na nadzieję na przyszłość”.

– Świnka-skarbonka to symbol oszczędzania pieniędzy. Nowy symbol w nowym systemie.

Zjawił się tłum. Pierwszy podjechał premier Łotwy, który w zamian za różową świnkę oddał parę zużytych roboczych rękawic ze swoim podpisem. Inni zostawiali ślubne obrączki, ze-

Przyniósł nowy, zapakowany garnitur Hugo Bossa.

– Mają być zużyte rzeczy – powiedział mu Rumas.

– Wszystko, co kupiłem, jest już zużyte – usłyszał.

– Akcja skończyła się po tygodniu. Przedmioty zajęły miejsce wszystkich 300 świnek. Chciałem podarować kolekcję pobliskiej giełdzie papierów wartościowych, ale nie przyjęli. Bo w sumie po co giełdzie papierów wartościowych bezwartościowe przedmioty? Kolekcja została przeniesiona do Centrum Sorosa.

Nowe czasy dla Łodzi, 2002

Ostatnio Rumas wystawił w Gdańsku kinowe krzesła. Stoją po dwóch stronach ulicy, naprzeciwko siebie, na znakach parkingowych.

– To praca o spotkaniu dwóch światów. To nie tyle miejsce wzajemnego zrozumienia – tutaj jedna strona postrzega drugą według własnych oczekiwań, nie dostrzegając tożsamości drugiej strony. Ten projekt dotyczy dwoistej natury granic, jej ambiwalentnej funkcji – z jednej strony narzuca pewien porządek, a z drugiej umożliwia istnienie różnorodności. Taką rolę pełni np. ulica w mieście.

– Ludzie siadają na krzesłach?

– Oczywiście. Zwykli ludzie, którzy idą do pobliskiego ZUS-u i konsulatu szwedzkiego, spacerowicze i turyści. Stają się dla siebie wzajemnie widzami i aktorami. To „kino” wzajemnego patrzenia na siebie, które trwa całe nasze życie.

– Czy krzesła będą stałym elementem miasta?

– Tak. Podobnie jak praca, którą planuję zrobić w Łodzi. Plan jest taki: uruchomić nieczynny zegar fabryczny obok Pałacu Pocztańskiego w Łodzi. I ustawić tak, żeby się spieszył o 15 minut.

– Po co?

– Żeby każdy zdążył. Dodatkowo kwadrans dla spóźnionych, dla zmęczonych, dla tych, co nie liczą czasu, i dla tych, którzy chcą mieć swoje 15 minut. Każdemu się przyda.

BEATA MACIEJEWSKA



Akcja „Termofory” na Długim Targu w Gdańsku, 1995 r. Poniżej problematyczny detal.



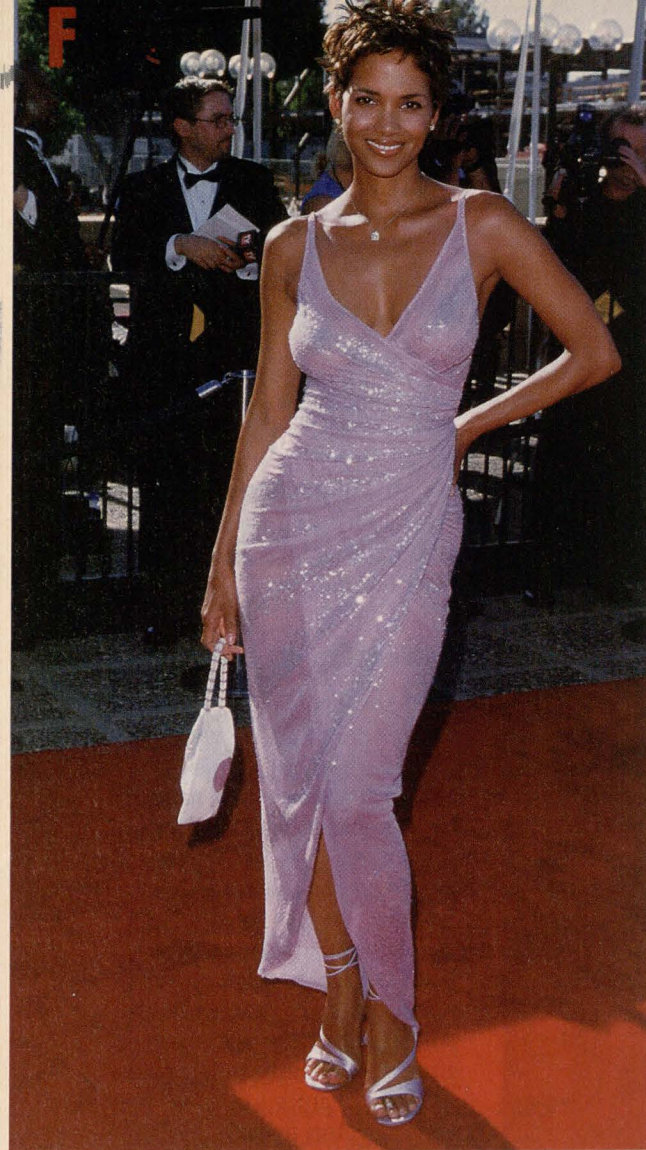
słynącej z plotkowania. W Chicago znaki też zniknęły, ale tym razem za sprawą zwykłych prze-

wy kierunek: Unia Europejska. Nowa sytuacja wobec społeczeństwa i jednostki. Nowy system. Totalna zmiana.

Robert Ruma zaproszono do udziału w międzynarodowym projekcie „Monument” na Łotwie.

– Najpierw pojechałem na rekonasans. Chodziłem po starym mieście. Przybierało coraz bardziej kapitalistyczną formę: tu giełda, tam bank, kilkunastokondygnacyjny hotel. Na jednym placu napotkałem malarstwo ściennie przedstawiające no-

garki, prezerwatywy, Biblie, parafki, medale, prześcieradła i szminki. Jakaś kobieta przyniosła socrealistyczny portret syna, który zginął na wojnie. Jedna z młodych dziewcząt zdjęła staniok. Jej koleżanka też chciała oddać swój, ale przedmioty nie mogły się powtarzać – zdjęła więc majtki. Przyszedł żebrak, który wymienił swoją kartkę żebracza na świnkę. I zebrał ze świnką. Przyszedł człowiek, który przedstawił się jako młody biznesmen.



FOT. EAST NEWS

Musiałam starać się bardziej, bo jestem ciemnoskórą aktorką – mówi
HALLE BERRY

Gratuluje znakomitej roli w filmie „Kod dostępu”. Co zafascynowało cię w Ginger, że ją zagrałaś?

Była bardzo tajemnicza, seksowna, pewna swego powabu, a przy tym bardzo sprytna i inteligentna. Trudno jest znaleźć rolę kobiety jednocześnie inteligentnej i seksownej. Zagraenie kogoś takiego to podniecające wyzwanie. Czytając scenariusz, nie wiedziałam, że zagram Ginger i pomyślałam – ależ to świetna rola. Ginger nie tylko była seksowna, ale mądra i bardzo przytomna – kontrolowała swoją zmysłowość. Potrafiła dotrzymać kroku obu facetom. Pozostawała przy tym szalenie kobieca, co mi się w tej roli podobało.

Czy masz jakieś wspólne cechy z postacią, którą zagrałaś?

Mam taką nadzieję. Z reguły korzysta się ze swoich doświadczeń, a nasze ciała są instrumentami do wykonania pewnych zadań, i tak było także w przypadku tego filmu. W niej było coś ze mnie.

W filmie „Kod dostępu” sporo scen polega na umiejętnym posługiwaniu się komputerem.

Nie jestem specjalnym orłem komputerowym, ale mam własną stronę internetową hallewood.com, i to chyba tyle. Często wstawiam tam zdjęcia, organizuję konkursy i wiem generalnie, jak się ją prowadzi.

Co twoim zdaniem jest obecnie największą bolączką Hollywoodu?

Moja odpowiedź będzie oczywista – jest za mało propozycji dla czarnych aktorek. Ja mam dużo pracy, m.in. dzięki producentowi Joelowi Silverowi. Myślę jednak, że Hollywood powinno oferować więcej ról czarnym aktorkom i starać się bardziej integrować swoje filmy.

Czego dotychczas nauczyłaś się o sobie, pracując jako aktorka?

Teraz, gdy zagrałam Ginger, stałam się bardziej pewna mojego seksapilu. Wcześniej nie grałam takiej roli, bo bałam się, że nie podołam takiemu wyzwaniu. Dzięki roli Ginger czuję się pewniej jako kobieta. Nie muszę już teraz za to nikogo przeproszać.

Partnerował ci Travolta. Czy jesteś jego fanką?

Tak. Podziwiałam go dawno temu, jeszcze gdy grał w „Welcome Cutter”, a potem w „Grease” i „Pulp Fiction”.

A jak się z nim pracowało? Czy czegoś się od niego nauczyłaś?

Zawsze, gdy pracuje się z takimi gwiazdami jak John, człowiek czegoś się od nich uczy. Wystarczy być z nimi na planie.

Jaki film w twojej karierze rozwinął cię najbardziej artystycznie?

Myślę, że każdy film. Rozwinęła mnie rola Ginger, poprzednia rola Ricky Denvert dała mi coś zupełnie innego. Teraz skończyłam „Masters Ball” z Billy Bobem Thorntonem, który wzbogacił mnie o jeszcze inne doświadczenia.

Czy uważasz, że masz szczęście, grając w filmach, które sama akceptujesz i nikt cię do niczego nie zmusza?

Pod tym względem mam szczęście. Grałam tylko to, co chciałam zagrać i mam wrażenie, że te role pojawiały się we właściwym czasie. Jestem zadowolona z tego, co zrobiłam, nawet jeśli film nie odniósł sukcesu. Liczę się nie tylko pieniędzmi, ale chodzi mi także o tworzenie wartości artystycznych, o ciągłe rozwijanie się. Lubię próbować rzeczy, których wcześniej nie robiłam.

Kręcenie jakiego filmu wspominasz najmilej? Najmilej?

Wiesz co? Na planie „Kodu dostępu” było wesoło. Często się śmialiśmy. John Travolta i Hugh Jackman są żartownisiami. Czasami John zaczynał śpiewać. Jak można się nie

Nasze ciała są instrumentami do wykonania pewnych zadań.

cieszyć, słysząc Johna śpiewającego piosenki z filmu „Grease”. Hugh śpiewał piosenki z musicali w stylu „Oklahoma”.

Czy to, że wspaniale wyglądasz, pomaga czy przeszkadza ci w karierze?

Nie sądzę, żeby mój wygląd mi pomagał albo przeszkadzał w dostawaniu tych ról, jakie zagrałam. Czasami musiałam starać się bardziej niż inne aktorki, ale to dlatego, że jestem ciemnoskórą kobietą, a nie z powodu mojej urody.

Jesteś zawsze wspaniale ubrana – widać to też dzisiaj.

Jestem bardzo eklektyczna. Nie kupuję ubrań jednego projektanta. Ubieram się w to, w czym się dobrze czuję i co mi się podoba. Nieważne, kto to zaprojektował.

Jeszcze dwa słowa o najnowszym filmie.

To film „Monster’s Ball” Billy’ego Boba Thorntona.

A jak było z twoim głośnym wypadkiem samochodowym sprzed dwóch lat?

Boże, nikt nie oszczędzi mi tego pytania. Było, przeszło, minęło. Teraz uważam, by nie uderzyć w barierę.

Rozmawiał
ROMAN ROGOWIECKI



Tamara Karren

„TA GABRIELA...”

Reżyseria: Andrzej Łapicki

Scenografia: Łucja Kossakowska

Występują:

Teresa Budzisz-Krzyżanowska

i Leszek Teleszyński

Premiera: 9 grudnia 2001 r.

Gabriela Zapolska, jakiej nie znamy! Sztukę napisała emigracyjna autorka Tamara Karren w Londynie w 1976 roku, po przeczytaniu dwóch tysięcy listów Gabrieli Zapolskiej, niezwyklej kobiety – pisarki i aktorki.

NAJBLIŻSZA PREMIERA

BOLESŁAW LEŚMIAN

„PRZYGODY SINDBADA ŻEGLARZA”

Adaptacja: ANDRZEJ RYCHCIK

Reżyseria: JAROSŁAW KILIAN

Scenografia: ADAM KILIAN

Muzyka: GRZEGORZ TURNAU

**PONADTO W GRUDNIU
W REPERTUARZE**

LEON SCHILLER

„PASTORAŁKA”

Reżyseria: JAROSŁAW KILIAN

Scenografia: ADAM KILIAN

Muzyka: LEON SCHILLER

I JAN MAKŁAKIEWICZ

Premiera: 21 GRUDNIA 1996 r.

KONSTANTY ILDEFONS GAŁCZYŃSKI

„ZIELONA GĘŚ”

Scenariusz i reż.: JAROSŁAW KILIAN

Muzyka: GRZEGORZ TURNAU

Z IRENĄ KWIATKOWSKĄ JAKO

HERMENEGILDA KOCIUBIŃSKĄ.

Premiera: 27 MAJA 2000 r.

MOLIER

„DON JUAN”

Przekład: BOHDAN KORZENIEWSKI

Reżyseria: JAROSŁAW KILIAN

Scenografia: ADAM KILIAN

W głównych rolach: PIOTR ADAMCZYK,

KRZYSZTOF KOŁBASIUK

Premiera: 9 MARCA 2001 r.

TEATR POLSKI, ul. Karasia 2, 00-327 WARSZAWA, kasa tel. 826-79-92

Telefoniczna rezerwacja biletów: ul. Krakowskie Przedmieście 6 od poniedziałku do piątku

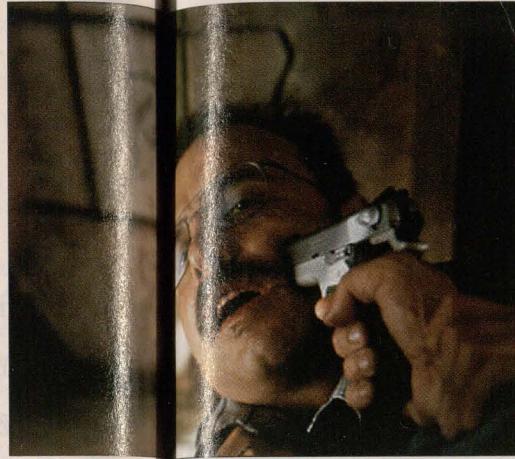
w godz. 10.00–18.00, w soboty w godz. 10.00–13.00, tel./fax 826-61-64, e-mail: galeria@teatrpolski.waw.pl

Przedsprzedaż prowadzą także kasy ZASP, Al. Jerozolimskie 25, tel. 621-94-54, 621-93-83



Fot. Stefan Okołowicz

Teresa Budzisz-Krzyżanowska i Leszek Teleszyński



PAMIĘTAJ O ŻYWIU

„Memento” –
– bez wątpienia
jedna
z ważniejszych
pozycji sezonu
– choć
pokazuje
głównie
śmierć,
tak naprawdę
jest hymnem
na cześć
właściwości
pozwalającej
sensownie żyć
– ludzkiej
pamięci.

Czy w sferze filmowej kompozycji zostało jeszcze coś do wynalezienia? Czy da się wprowadzić rozwiązanie wzbogacające ekranową narrację? Skromny film Christophera Nolana udowadnia, że tak. Autor używa bardzo prostego, acz zmyślnego zabiegu inscenizacyjnego. Pokazuje sceny w odwrotnym porządku, niż nakazywałaby to chronologia ekranowych zdarzeń. Czyni to udatnie, ze znacznym talentem.

Przestawienie kolejności i ułożenie sekwencji wspanie nie tylko nie powoduje ujawnienia tajemnicy na samym początku biegu opowieści, ale wręcz przeciwnie – w zręczny i przewrotny sposób podsycy ją i wzmacnia. Nie jest to zwykły chwyt, nowinka konstrukcyjna, służąca jedynie do zbudowania odpowiedniego napięcia, ale świadomie wprowadzona metoda integralnie związana z treścią, z istotą zamierzonego przesłania. A tyczy się ono kosmarnego świata pozbawionego pamięci, świata wyluzowanego z podstawowego atrybutu istot żywych – rozpoznawania.

Bohater w wyniku napaści utracił zdolność do zapamiętywania kolejnych, nowych wydarzeń. Nie jest to amnezja – wiadomości sprzed wypadku nie uległy zatarciu – lecz niezdolność do gromadzenia informacji o obecnym życiu. Wrzucony w nie znane sobie wcześniej otocze-

nie stwarza – dla orientacji, czyli przetrwania – cały system notowania zasadniczych wskazówek co do miejsc i ludzi. Czas pokaże, jak ludzki jest to system i jak łatwo podlegający tragicznym w skutkach przekłamanom i ingerencjom z zewnątrz.

Zadanie, które utrzymuje go w trwaniu i pozwala żyć, czyli postanowienie pomszczenia zabitej żony, wytatuowane ma na ciele. Co dzień rano przed lustrem odczytuje je, by ustalić cel swojego działania, by nadać sobie sens. Kierując się imperatywem zadośćuczynienia, z pomocą opisywanych zdjęć i fiszek stara się dociec prawdy i odnaleźć sprawcę. W istocie jest zdeorientowanym i bezwolnym cyborgiem, podlegającym dowolnemu sterowaniu; odbezpieczoną bronią gotową do nakierowania na spreparowany cel.

Zastosowana metoda narracyjna pozwoliła na przejmujące odsłanianie strasznych faktów, odkrywanie posępnych tajemnic. Pokazuje też, jak okrutną igraszką w rękach złych ludzi staje się bezradne, a niebezpieczne żyjątko; jak usterka w rejestracji, defekt w zapisie skazuje nas na instrumentalizację ze strony kapryśnych bliźnich. Bohater pozbawiony choćby minimalnej dozy zakorzenienia, osadzenia pośród innych nie posiada właści-

wie żadnych szans na rozpoznanie, kto wróg, a kto przyjaciel. Nie może stworzyć nawet zarysów mapy międzyludzkiego zaufania, międzyludzkiej solidarności. Odwrócenie tradycyjnego toku opowiadania posiada jeszcze jeden walor. Uprzymiarnia nam – na mocy przeciwieństwa – fakt (czy aby na pewno dla wszystkich oczywisty?), że nasze realne życie odbywa się w jednym kierunku, że istnieje przyrodzone ludzkiej naturze następstwo rzeczy. Powtórki ani wstecznych biegów nie będzie. Z pewnością warto o tym przypominać na progu ery wirtualnych mamideł.

Opowiadana historia to także materiał pełen napawających grozą metafor cywilizacyjnych. Oglądamy idealny obiekt manipulacji, w każdej chwili możliwy do „zresetowania” i do wypuszczenia w następnej „grze”. Oto człowiek wypatroszony z tożsamości, wyprany z historii, gotowy do poddania się dowolnej formie. Człowiek współczesny, wyzuty z nadrzędnych celów, posiadający uczucia, instynkty, nawet intuicję jakichś dążeń, tyle że nie bardzo wie, na co mu one. Oto wreszcie ludzki mózg – nieustanny interpretator – zwodniczy, a powszechnie absolutyzowany przewodnik.

Istotne, że te przestrogi, ważne uogólnienia mają charakter organiczny, nie wysuwają się na pierw-

szy plan w formie deklaracji, ale bezszelestnie wydobywają się spod powierzchni wydarzeń. Można nawet przyjąć założenie, że autorzy w ogóle nie mieli ich na myśli, że znalazły się wewnątrz filmu mimochodem. I w zasadzie nie ma to znaczenia, ważne, że one tam są, że można je tam dostrzec. Artysta lepi dzieło, a jeśli zdolny, to właściwe składniki swoje sensy wnoszą.

Dzięki polotowi realizacyjnemu, ale i budzącej szacunek dyscyplinie, utwór unika rezonersstwa i natrętnego sugerowania znaczeń. Wskutek tego da się go odbierać wielowarstwowo. Przy czym odczytywany nawet jedynie na najbardziej oczywistym poziomie czystego thrillera – i tak powinien sprawić satysfakcję. Bowiem ten mroczny moralitet w przebraniu kryminału zniewala samą mocą ponurej wizji, imponuje reżyserską biegłością. I nawet łatwo dostrzegalne niekonsekwencje logiczne czy niemożliwe z klinicznego punktu widzenia objawy chorobowe nie pogrążają wywodu. Decyduje gęstość i intensywność hipnotycznego, sennego przekazu – przeżającego i fascynującego.

TOMASZ PRZYBYŁKIEWICZ

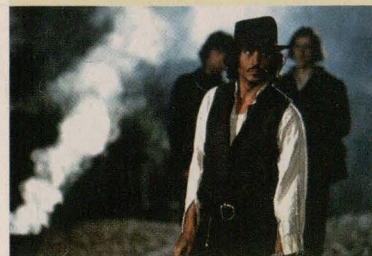
„Memento”, reż. Christopher Nolan,
USA 2001.

●●●●

● SŁABE ●● PRZECIĘTNE ●●● ZACNE ●●●● ZNAKOMITE ●●●●● WYBITNE



CZŁOWIEK, KTÓRY PŁAKAŁ



Johnny'ego Deppa wzruszą się jego upiorną kreacją miłego Cygana. Patrioci natomiast pocieszą się, że nie tylko w Polsce produkuje się gnioły. Reszcie widzów pozostanie kontemplacja muzyki w dobrym wykonaniu i niewesołe rozmyślanie o sztuce filmowej. (MS)

Reż. Sally Potter, Wielka Brytania/Francja 2000

KOD DOSTĘPU



Dominic Sena należy, a przynajmniej należał do niedawna do grona tak zwanych twórców obiecujących. Jego „Kalifornia” zapowiadała pojawienie się oryginalnego talentu – reżysera świetnie czującego się w hollywoodzkiej formule, a jednocześnie zdolnego zaznaczyć swój indywidualny, nieco drapieżny styl.

Dla miłośników „Kalifornii” – a tych nie brakuje chyba także w Polsce – nowy film Seny może okazać się zaskoczeniem. Tym razem bowiem mamy do czynienia z dużym widowiskiem z Johnem Travoltą w roli głównej. Początek jest obiecujący – reżyser zaczyna opowiadać sensacyjną intrygę niejako od środka, sygnalizując pokrewieństwo z ki-

nem czarnym. Tworzy niejednoznaczne postaci, które mogą się podobać. Gabriel Shear, grany przez Travoltę, jest jednocześnie pociągający i odpychający, jak wcześniej bohaterowie „Pulp Fiction”, a przede wszystkim świetnego „Bez twarzy” Johna Woo. Odnoszę zresztą wrażenie, że Sena jest zafascynowany dokonaniem hongkońskiego mistrza kina akcji. „Kod dostępu” – podobnie jak „Bez twarzy” – to film, który wzbudzi zdecydowany sprzeciw widzów, poszukujących w kinie prawdopodobieństwa i logiki. Może okazać się jednak gratką dla tych, którzy wyżej cenią umiejętną i na swój sposób wyrafinowaną zabawę filmowymi konwencjami. Sena jest bowiem niewątpliwie kinofilem, doskonale zna kino popularne i z łatwością dociera do sedna kina akcji. „Kod dostępu” jest więc kolejną próbą „przetestowania” granic gatunku – podobnie jak wcześniej „Speed”, „Bez twarzy” czy „Romeo musi zginąć”. Niestety, jest też próbą najmniej udaną. (AP)

Reż. Dominic Sena, USA 2001

FILM NIE JEST TEATREM

Zabawa syna ułatwiła ostatnio Agnieszce Glińskiej opis własnej domeny działania: oto Franek położył przed sobą zgiętą kartkę – i już miał laptop służący do skomplikowanych operacji serwisowych. Decyduje nie wyobraźnia, ale pełna wiara w umowne założenia. To właśnie teatr. Drzewień nagminnie był psuty, gdy formę duchowego porozumienia zmieniał na bogate widowisko „jak żywe”. Na szczęście, od tego psucia uwolniło go kino. W nim gawiedź może zobaczyć przepych większy i bardziej namacalny (a teraz, gdy da się go zamajstrować w komputerze, to dopiero!). Teatr to, naturalnie, także słowo i gest. Ale słowo ważne i gest zapierający dech, nie jakieś tam miele nie ozorami i pajacowanie. Tym teatr także był psuty, by cieszyć nudzącą się publikę. Szczęściem wynaleziono telewizję. W niej dla szczególnych leni wmontowuje się jeszcze w tok pytlowania rehot z tła, by nie trzeba było męczyć przepony. Dla filmu jednak, nawet komediowego, nadmiar słów bywa równie zdradliwy, jak inna organiczna cecha teatru – jedność miejsca. Film to ruch w przestrzeni, nieko-

niecznie szerokiej, lecz koniecznej oczywiście w swojej naturalności.

Tymczasem tak się złożyło, że ostatnim mistrzowskim filmem wieku XX została mało że adaptacja sztuki, to jeszcze takiej, która tkwi nad szpitalnym łóżkiem konającej bohaterki. Tak, są retrospekcje; od Emmy Thompson, dającej wygraną na niuansach kreację, oczu nie można oderwać; wokół kręcą się frapujące osoby; wszystko jest bez koturnów, dotykalnie realne – ale nadal nic tu nie gna rytmem wyzwolonych obrazów, tylko stoi, poruszane słowem. Owszem, w dialogu chodzi o wielką syntezę angielskiej kultury; w tym staniu jest opozycja zadyszki naszej cywilizacji; lecz co z kinem? Otóż, owszem, jest. Bo film to nie tylko podziwianie, także wpatrywanie się, co odkrył Bresson. Z bliska, zatem inaczej niż w teatrze. Mike Nichols dał w „Rozumie” popis takiej humanistycznej obserwacji człowieka. 70-letni Amerykanin, co bawił nas „Absolwentem”, ale i „Klatką dla kanarków”, myślał tu o wartości ludzkiej, nie o kasie i budżecie. To mógłby być film polski. Ale czy nasz film się wpatruje? Nader rzadko, i robią to głównie młodzi. Starsi tłuką kasę i widowiska. No, bo kino to ruch (w interesie)?

ADAM GARBICZ

Smutno i źle kończy się „Ferdydurke” w łódzkim Teatrze Powszechnym.

POŻYTKI z monogamii

Istnieje typ reżyserów wiernych jednemu autorowi, u którego odnaleźli cały swój świat, własny typ wrażliwości i humoru. Inscenizując teksty ukochanego pisarza, czują się jak ryba w wodzie i żaden nie ma dla nich jakichkolwiek tajemnic. Twórczość Gombrowicza to dla Waldemara Śmigasiewicza swoisty azyl. Parę sezonów temu nagrodzono jego reżyserię „Kosmosem” z krakowskiej Bagateli, chwalono gdyńską „Iwonę”, mniej udany, acz nie pozbawiony scen interesujących był kaliski „Ślub”. Śmigasiewicz znalazł sposób na inscenizowanie dzieł Gombrowicza – zanurza je wszystkie w jednorodnej stylistyce, w każdym spektaklu dokonuje podobnego wykrzywienia rzeczywistości. Niby dba o realizm, psychologiczne



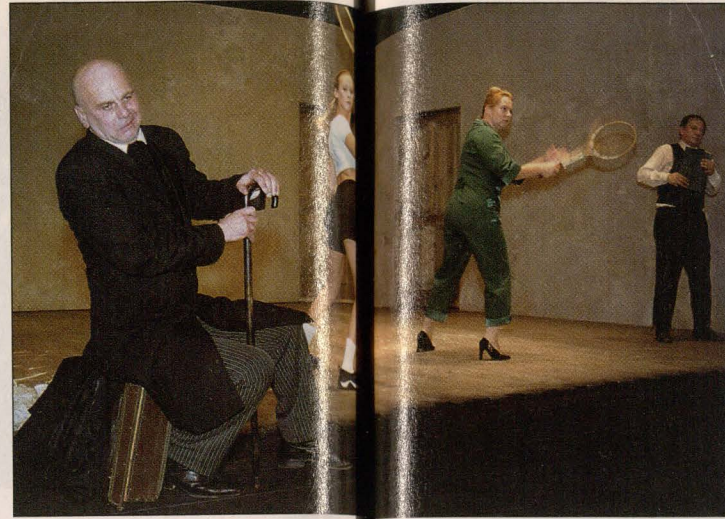
Klasa Józia zmienia się w pomnik narodowego zachwyty.

motywacje, a jednocześnie przyczepia bohaterom do szyi niewidzialny odważnik, ciężarek z napisem: „Forma”. Tak też dzieje się w łódzkiej „Ferdydurke” z Teatru Powszechnego. Aktorzy nieoczekiwanie zastygają w nieoczekiwanych gestach i pozach, ledwie startując do czynności, jak Zutka i Młodziakowa podczas gry w tenisa. Podczas lekcji o Słowackim klasa Józia zmienia się w żywy obraz – pomnik narodowego zachwyty. Niektóre działania wykonywane są z nadmierną drobiazgowością, powolnością, namaszczaniem: tak demoniczny Pimko Krzysztofa Baumana schodzi z sufitu, zsuwając się po ścianie za pomocą czekanika-laski. Reżyserska interwencja w gry i gierki rozdokazywanych aktorów stwarza wrażenie, jak-

byśmy, patrząc na scenę, patrzyli na taflę zmatowiałą jak stara szyba, porysowaną jak blat stołu, jak rolka taśmy z filmem ery niemego kina.

Izolotka

Pułapka, w którą schwytywany jest Józio, ma w przedstawieniu postać niezwykle konkretną. To pokój z kilkoma drzwiami, przez które poza bohaterem swobodnie wchodzi i wychodzą wszystkie postaci. Uwięziony w niedojrzałości Józio nie może się z niej wydostać. Szarpie za klamkę, wyważa zawiasy, w końcu dostaje pęk kluczy, ale żaden nie pasuje. Skoro on nie da rady wyjść na świat, musi czekać, aż świat przyjdzie do niego. Izolacja rodzi fantasmagorie. Do szarego, pustego po-



Zutka i Młodziakowa ledwie startują do gry w tenisa.

mieszczenia wpęła szkolna klasa, Młodziakowie przemieniają je w swoje mieszkanie, a ciocia i wuj w wiejski dwór. Śmigasiewicz stawia istotny akcent na prologu spektaklu, gdzie dokłada monologującemu Józiovi Gombrowiczowskie wątki biograficzne z „Dziennika”, przez cały czas bohater dźwiga ze sobą walizkę: wewnątrz znajduje się zapewne rękopis „Pamiętnika z okresu dojrzewania”.

Grający Józia Mariusz Siudziński nieraz sięga po ślapstikowe gagi, ale szybko wraca z terytorium własnej groteskowości. Dlatego wpada raz w jeden nastrój, raz w drugi. Bohater „Ferdydurke” ma w Łodzi mniejszą świadomość tego, co mu się przydarza, został przez reżysera dyskretnie wycofany – właściwie przypatruje się światom i ludziom wokoło. Dobrze rozegrany jest drugi plan, Śmigasiewicz zadbał o wyraziste postaci epizodyczne. Zapamiętujemy blond cielesność Zuty (Karolina Łukasiewicz) – jej pensjonarskość to nie lolitowaty czar, ale kanciaste i jakby chłopiące ruchy, jakby dziewczyna była chudą i długą poczwarką, z której jeszcze nie wiadomo, co wyjdzie. Zwraca uwagę energiczna Ewa Sonnenburg jako Młodziakowa, dosłownie rozstawiająca partnerów po kątach.

Przykład Zosi

Smutno i źle kończy się ta „Ferdydurke” – Zosia (Jolanta Jackowska) rzuca się na szyję Józiovi

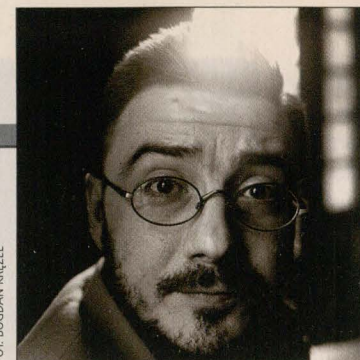
i nie chce puścić. To kolejna pułapka Pimki, demiurga i krytyka tego świata, pilnującego, aby bohater nie został pisarzem, nie tracił czasu na głupstwa. Gdyby Waldemar Śmigasiewicz wzorem rezolutnej pannicy rzucił się na szyję Gombrowiczowi i nie chciał puścić, nie tylko Pimko byłby bardzo, bardzo zadowolony. Z misji wystawiania dzieł autora „Ślubu” można przecieź uczynić pomysł na siebie jako artystę. Jak się zrobi wszystkie dramaty i powieści, trzeba zabrać się za „Dzienniki”, potem adaptować poszczególne opowiadania. Wracać co jakiś czas do „Porno grafii”, „Ferdydurke” i odczytywać je na nowo. Kiedy Śmigasiewicz wystawia Gombrowicza, widzę lekkość reżyserskiego pióra, świadomość prowadzenia aktorów, wiarę w sens pytań, jakie zadaje się im na scenie. Kiedy sięga po klasykę (smutne przypadki krakowskich „Makbeta” i „Edypa”) lub teksty współczesne, opuszcza go pewność i klarowność teatralnego języka.

Instynkt samozachowawczy powinien więc podpowiedzieć reżyserowi, żeby zostać przy tym, co robi naprawdę dobrze. Monotematyczność w teatrze niekoniecznie bywa wielkim złem.

ŁUKASZ DREwniak

Teatr Powszechny w Łodzi,
„Ferdydurke” Witolda Gombrowicza.
Adaptacja i reżyseria:
Waldemar Śmigasiewicz,
scenografia: Maciej Preyer,
muzyka: Krzesimir Dębski.
Premiera: 22 września 2001.

Głowacki



FOT. BOGDAN KRZEL

Czas machania ręką

„Leśmian. Encyklopedia”, ta Jarosława Marka Rymkiewicza pułapka na myszy, składa się prawie z samych niepewności. Diabli wiedzą, kiedy Leśmian ściśle się urodził. Nie do ustalenia, jak długo gdzieś przebywał, w którym z miast swego życia co pisał, ile wygrał albo przegrał w ruletkę oraz czy był małenki jak skrzat, czy jak chrabąszcz. A kapelusze? W którym i kiedy chodził? A kochanki? Sprawa ciała to była czy duszy, a może tego i tego? A kwiaty? Lubił, nie lubił – na dwoje babka wróżyła, czy jak? Córka, gdy powiada, że po śmierci ciała ojca duch ojca nawiedzał dom – co mówi tak naprawdę? Więzienie, defraudacja pieniędzy, paryskie głodowanie, to i tysiąc innych detali bądź rzeczy istotnych – a wszystko, prawie wszystko, w woalu niejasności. Może, trudno ustalić, nie wiadomo, jakby, powiedzmy, nie wykluczone, tak, a nawet nie...

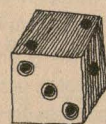
Wielkie ruchome piaski. Owszem, jest parę punktów bezwzględnie pewnych. Na przykład, że zmarł ściśle 5 listopada 1937 roku, za młodu zaś rudy był jak marchew dorodna. Ale w tym ruchomym labiryncie 99 haseł o profilu znaków zapytania, najpewniejsza jest jednak – niepewność. I dziwne, a może właśnie nie dziwne – z tej fundamentalnej niepewności Leśmian wyskakuje o wiele twardszy niż był. Jest bliższy o całą naszą normalność. Bo kto może o swym życiu wydukać coś więcej, poza niepewnością? Rymkiewicz o całej swej zapisanej wiedzy o Leśmianie powiada lisio, że jest ona ściśle niecała, jak niecałe jest zawsze i wszędzie każde życie. Od paru dni brnę przez tę niecałość w 99 odsłonach, jestem w domu, czuję się jak mysz w norze na ruchomych piaskach, i od paru nocy w środku nocy budzę się z krzykiem. Śnię legendarną anegdotę. My, dziś piszący o teatrze, i oni, dziś robiący teatr, stoimy przed Ziemiańską. Zajeżdża pusta dorożka, wysiada z niej Leśmian i swym ptasim skrzekiem powiada: kurduplejcie, panie i panowie, przepastnie kurduplejcie. By nabrać pewności – sięgam po „Wyborczą” z 23 listopada, czytam wywiad Romana Pawłowskiego z Peterem Brookiem. Pawłowski, z oszałamiającą pewnością w twardych ustach, py-

ta: „Jak więc dzisiaj teatr powinien odpowiadać na wyzwania współczesności? Jaki powinien być dzisiaj teatr polityczny?”. Brook, bez żadnej pewności w miękkim głosie, odpowiada: „Každy teatr, jeśli jest dobry, staje się polityczny”. Nie chce być inaczej – kurduplejemy przepastnie, bo w twardych ustach naszych, w twardych piórach naszych, słowa, co je zaprzęgamy do haniebnie doraźnych prac – przepastnie kurdupleją. Z ust pancernych i piór mocarnych kapią jakieś pokurcze. Golemy słów, słowa wyłącznie jednoprofilowe, kulawe, garbate, ślepe, półsłowa, ćwierćsłowa, niby-słowa, nic. Dowcip wywiadu w „Wyborczej” na tym polega, że Brook nie pojmuje pytania, a Pawłowski – odpowiedzi. Dla Brooka teatr jest rzeczownikiem, od którego przymiotnik odpada jak mucha, dla Pawłowskiego – rzeczownikiem, który zdechnie bez muchy

przymiotnika. Owszem, słowo teatr nam przepastnie kurdupleje, zwęza się do grubości kartki, bo je idiotycznym przymiotnikiem przyszpilamy, unieruchamiamy, zmieniamy w zdychającą statykę, w nudną jak słup soli pewność żyćka naszego powszedniego. I taki też jest sam teatr. Co robić?

Machnąć ręką, nic już nie mówić. Machnąć ręką, to wrócić do ruchu, odzyskać swój myślowy brak pewności. Wracam do Rymkiewicza, do jego iście Leśmianowskiej niepewności w 99 odsłonach, czytam hasło: „Taniec”, jestem w domu, jestem w norze. Dla Leśmiana sens słów, istotny ich sens, był tańcem słów. Biadał, że ten stary płąs wychodzi z mody, że opętani codzienną walką, nie wiedzieć z czym i o co, wstydzimy się tańca. Tak, przepastnie kurduplejemy, gdyż z natury swej tańczące, niepewne słowo „teatr” tłucze piruetem w mur fatalnego przymiotnika, którego i wołami nie ruszysz. Macham ręką, bo machnięcie to początek tańca. Macham, bo wiem, że teraz w Teatrze Słowackiego balet Borysa Ejfmana tańczy „Don Juana”, tańczy słowa Moliera, tańczy, jakby rzekł poeta – trzymając straż z palca przed swoim językiem. Już teraz radośnie macham ręką, gdyż cieszę się, że mnie żaden fatalny przymiotnik ze sceny nie obfajda.

PAWEŁ GŁOWACKI



Recenzent „Kostki” wybrał się na kabaret Jakuba Przebindowskiego (autor) i Łukasza Kosa (reżyser). Po obejrzeniu przedstawienia ostrzega czytelników, że w łódzkim Teatrze Nowym nabrano go trzykrotnie:

1. Program do spektaklu kusił rozerotyzowanymi zdjęciami aktorów (goła Joanna Fidler na koniku bujanym, Martyna Kliszewska z pejcem, Oskar Hamerski w kasku górniczym), tymczasem na scenie wykonawcy grają zapięci na ostatni guzik. Mimo że spektakl nazywa się zwodniczo „Go-go”, kasa nie zwraca za bilety.

2. Amatorsko napisane i amatorsko zagrane skecze w kabarecie Kosa wcale nie śmieszają. A miało być tak zabawnie... I niby jest – ale z innego powodu.

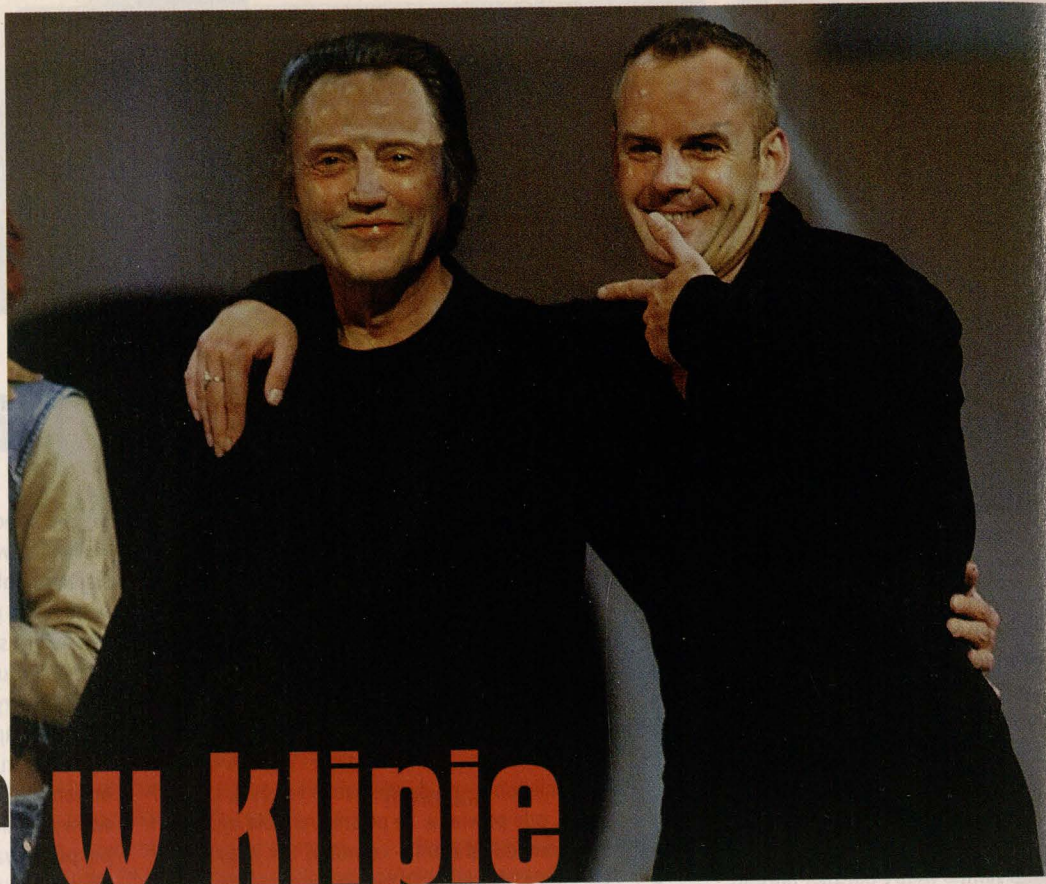
3. Aktorzy, zamiast śpiewać, buczą teksty-kurioza: „Ona wędliną jest/ a on to jej pies” albo „Jaki pan, taki kram/Jaki kram, taki pan”, a zwłaszcza: „Tak bardzo bym chciał zostać brunetem/ na pewno bym miał każdą kobietę/ Lecz cóż mogę ja blondynek smutny/ Zwłaszcza że mam/ Mieczyk malutki”. Jak wiadomo po dowcipy o Małych Mieczykach sięgają najczęściej autorzy o Bardzo Małym Rozumku. Uprzejmię donoszę, że Prosiaczkowi się nie podobało.

Ł. DREW.

Teatr Nowy w Łodzi, „Go-Go, czyli neurotyczna osobowość naszych czasów”. Tekst i muzyka Jakub Przebindowski, reżyseria Łukasz Kos, scenografia Monika Sokół. Premiera 4 października 2001.

Wokaliści
chętnie korzystają
z pomocy znanych
gwiazd kina.
Wyczyny
Christophera
Walkena pozostaną
wzorem muzyczno-
-filmowego
arcydzieła.

Aktor w klipie



Christopher Walken i Fatboy Slim.

Gwiazdy rocka czasami sprawdzają swoje siły w filmowych produkcjach, ale większość z nich nie bardzo wie, jak dać sobie radę przed kamerą nawet w kilkuminutowym klipie. Nic więc dziwnego, że coraz częściej bardziej odważni, a mniej narcystyczni wykonawcy nie pokazują się we własnych teledyskach. Robi tak notorycznie Fatboy Slim, czasami Elton John, a ostatnio dołączyli do niego także muzycy z New Order.

By nie być samemu w klipie, najlepiej wymyślić nowatorski scenariusz lub zaangażować znaną postać, czyli popularnego aktora.

Tucker i Marlon Brando

Chris Tucker, wschodzący gwiazdor Hollywood, znany choćby z dwóch części komedii „Rush Hour”, nie ukrywa, że był zdumiony, gdy dowiedział się, że Michael Jackson należy do grona fanów jego talentu. W niedawnym wywiadzie telewizyjnym przyznał, że cieszył się jak dziecko, gdy Jackson zaprosił go do swojej osławionej posiadłości, gdzie król

muzyki pop wyznał mu, że zna i lubi filmy z jego udziałem.

Spotkanie Tuckera z Jacksonem nie polegało tylko na wymianie komplementów, ale było początkiem współpracy, której efekty wiadać obecnie na ekranach telewizorów. Wprawdzie Jackson zwlekał kilka lat z premierą nowego albumu „Invincible”, ale płyta ukazała się wreszcie pod koniec października, a pilotował ją wideoklip z piosenką „You Rock My World”.

Jackson był zawsze znany z wyjątkowo ciekawych i drogich teledysków ze słynnym Thrillerem na czele. Również tym razem powstał 13-minutowy film z naprawdę imponującą obsadą, jakiej nie powstydziłby się film fabularny. Oto bowiem, obok wspomnianego Tuckera, na ekranie pojawił się legendarny i nieosiągalny dla wielu filmowców „ojciec chrzestny” Marlon Brando oraz znany aktor Michael Madsen.

Wynajęcie gwiazdy filmowej do udziału w wideoklipie jest chyba najlepszą formą zwrócenia na niego uwagi, i Jackson wie o tym doskonale. Wiadomo bowiem, że najlepsze efekty specjalne i duże budżety nie zastąpią pokazania się

wielkiej gwiazdy srebrnego ekranu. Taki gościnny występ powoduje automatycznie częstszą emisję klipu i jego łatwiejszą identyfikację.

Christopher Walken

O tym, że właściwe wykorzystanie gwiazdy filmowej może okazać się wręcz zbawienne, przekonał się niedawno brytyjski DJ i producent Fatboy Slim. Jego słynny już „Weapon of Choice”, z gościnnym udziałem 57-letniego, amerykańskiego aktora Christophera Walkena (znanego choćby z filmów „Łowca jeleni”, „Pulp Fiction” czy „Sleepy Hollow”), zgarnął bowiem sześć nagród podczas niedawnej gali MTV Video Awards. Reżyser tego i wielu innych klipów, Spike Jonze, tak wspomina genezę tańcząco-fruwającego Walkena: „Kiedyś spotkałem Chrisa, który powiedział mi, że tańczył i nadal lubi tańczyć. Wspomniiał, że chciałby uwiecznić swoje umiejętności, jeszcze kiedy jest sprawny i pełen energii. Gdy to usłyszałem, natychmiast wysłałem faks do Fatboya Slima z pytaniem, czy

chce tańczącego Walkena w swoim nowym klipie”.

Robert Downey Jr

Zdecydowanie bardziej spokojny, ale równie gwiazdorski teledysk emitowany obecnie w telewizji to piosenka Eltona Johna „I Want Love”, promująca jego nowy album „Songs From The West Coast”. Kilka lat temu Elton przyznał w wywiadzie: „Nienawidzę kręcenia klipów. To najgorsze i najnudniejsze zajęcie na świecie”.

Od tej pory artysta, jak może, unika występowania w nich. Ostatnio poprosił o pomoc znanego m.in. z filmu „Chaplin” aktora Roberta Downeya Jr. To on maszeruje nieco zagubiony przez pusty dom i głosem Eltona Johna prosi o odrobinę miłości. Wybór Downeya nie był przypadkowy, bo wiadomo, że aktor przeszedł w ostatnich latach wiele ciężkich chwil, walcząc z alkoholizmem i uzależnieniem od narkotyków.

Kevin Smith, Jason Mewes, Ben Stiller i Mickey Rourke

O ile Downey Jr niemalże wyciska swoją grą łzy, to oglądając nowy

klip Afromana, można pękać ze śmiechu. Powody są dwa – po pierwsze bardzo zabawny tekst piosenki „I Got High”, a po drugie – obecność aktorów Kevina Smitha i Jasona Mewesa. Obaj grają dwóch kolesi w swoim stylu znanym z filmów „Urzednicy” i „W pogoni za Amy”.

Siebie zagrał też inny znany amerykański aktor i reżyser – Ben Stiller, pojawiając się w klipie P. Diddy’ego „Bad For Life”. Stiller z wielkim wdziękiem przywołuje do porządku słynnego rapera Puffa Daddy, który ostatnio używa pseudonimu P. Diddy, z czego Stiller sobie nieco dworuje.

Będąc niedawno w Polsce, latynoski gwiazdor Enrique Iglesias nie krył zadowolenia ze swojego nowego klipu do piosenki „Hero”. Dostaje w nim baty od samego Mickeya Rourke (tego od „9 i pół tygodnia”), by znaleźć ukojenie w ramionach pięknej aktorki Jennifer Hewitt-Love, z którą, jak podkreślił, łączy go „bardzo dobra przyjaźń”, choć plotki sugerują coś znacznie bliższego.

Modelki na filmowym wybiegu

Wspomniany Michael Jackson korzystał już wcześniej z pomocy wielkiej gwiazdy srebrnego ekranu w osobie słynnego komika Eddiego Murphy’ego, który zagrał faraona w pamiętnym klipie do piosenki „Remember The Time”. U jego boku pojawiła się wówczas bardzo znana modelka Iman, od paru lat żona piosenkarza Davida Bowie.

Jackson wykorzystał też w innym klipie jej koleżankę po fachu – krewką Naomi Campbell, która zagrała ponętą dziewczynę w teledysku „In The Closet”. Campbell, Evangelista, Schiffer i parę innych supermodelek wystąpiło w znakomitym klipie George’a Michaela „Too Funky”, a piękna Danka, Helena Christensen, ozdobiła swą urodą pamiętny, plażowy klip Chrisa Isaaca „Wicked Game”.

Dunaway, Deep i Basinger

Gwiazdy ekranu w połowie lat 90. pomogły w promocji amerykańskiego wokalisty i gitarzysty, Tomma Petty. W klipie „Into The Wide Open” minirólki zagraли karpriśna i znana z filmu „Chinatown” Faye Dunaway oraz słynny



Nicole Kidman i Ewan McGregor w filmie „Moulin Rouge”.

Johnny Depp. Teledysk ten, który dominował przez kilka miesięcy na antenie MTV, zrobiły z Petty’ego wielką, światową gwiazdę.

Spory rozgłos zyskała też późniejsza produkcja Petty’ego „Mary Jane’s Last Stand”, w której tytułową Mary Jane zagrała ponętą Kim Basinger („Tajemnice Los Angeles”, „9 i pół tygodnia”). Basinger tak skomentowała potem swój występ: „Kręcenie klipu było miłą zabawą, ale trochę mi przykro, że tyle razy dziennie umieram na oczach tylu ludzi”.

W ostatnich latach gwiazdy muzyki pop coraz chętniej sięgały po udział aktorów w klipach. Taki zabieg dał znakomity rezultat w karierze szkockiej grupy Texas. Niedawny teledysk do piosenki „In Demand”, w którym wokalistka Texas podróżuje w mroczną noc z aktorem Alanem Rickmanem („Szkłana pułapka”, „Robin Hood”), bardzo podniósł notowania zespołu na listach przebojów.

Sensacją ostatnich tygodni jest natomiast wideoklip do piosenki „Come

What May” z filmu „Moulin Rouge”, w którym występują i śpiewają Nicole Kidman i Ewan McGregor. Wprawdzie wokalnie żadne z nich nie błyszczy, stąd też spore zdziwienie dalszymi planami wokalnymi dawniej pani Cruise, która nagrała piosenkę Franka Sinatry z... Robbie Williamsem.

Całe Hollywood, i nie tylko, wie o tym, że Russell Crowe, Kevin Bacon, Bruce Willis czy Jeff Bridges śpiewają, i to całkiem nieźle (szczególnie Crowe), ale robią to dla przyjemności i nawet gdy wydają płyty, nie promują ich zbyt natrętnie. Wyjątkiem jest tu Billy Bob Thornton, mąż Angeliny Jolie, który uważa się za aktora i wokalistę, i dlatego poświęcił sporo czasu promocji swojego nowego albumu.

Co do duetów aktorsko-wokalnych, to ostatnim udanym było wspólne śpiewanie Johna Travoltę i Olivii Newton John, którzy w 1978 r. mieli megahit „You’re The One That I Want” z filmu „Grease”.

John Travolta, który ma na swoim koncie parę płyt, myśli o powrocie do śpiewania, ale chyba nie będzie kontynuował dwóch karier, jak Jennifer Lopez czy Will Smith. Akurat ta dwójka oraz Barbra Streisand dają sobie doskonałe radę w obu wcieleniach. Podobnie byłoby zapewne z nieodżałowaną młodzieńką Aaliyah, która w czasie wakacji zginęła w katastrofie lotniczej na Bahamach.

Aktorzy powinni jednak próbować swych sił w klipach, bo wyczyny wspomnianego Christophera Walkena na długo pozostaną niedoścignionym wzorcem muzyczno-filmowego arcydzieła.

WITOLD KORNACKI

Zobacz, co słyszysz

99.60 FM 91.30 FM
RADIO ECHO
93.80 FM
ul. Wałowa 6
33-300 Nowy Sącz
tel. (0-18) 443-73-21

98.10 FM
Radio MAKS
Tarnów
Biuro reklamy Radio MAKS: tel./fax (014) 621-29-29

RADIO PARADA
96.00 FM

91.50 FM
95.70 FM
102.90 FM
Vigor
RADIO

radio **Mercury**
POZNAN
91.1 FM
91.9 FM
100.9 FM
102.7 FM
103.6 FM
Reklama: tel. (0-61) 866-83-70

RADIO KRAKOW
Małopolska
Kraków: 101.6 FM
Tarnobrzeg: 101.0 FM
Nowy Sącz: 90.0 FM
Zakopane: 100.0 FM
Krynica: 102.1 FM
Rabka: 87.4 FM
Sucha Beskidzka: 87.6 FM
Świętochłowice: www.radio-krakow.pl

Ostrołęka
RADIO OKO
106.7 MHz

Gdybym chciał, żeby to był mój zespół, tobym w nim śpiewał. Zapisuję się na lekcje śpiewu. Stworzymy z Marcinem duecik... wokalny.

ROZMOWA Z GRZEGORZEM DYDUCEM, BASISTĄ ZESPOŁU ŚWIETLIKI

W „Rzeczpospolitej”, przy okazji wydania książki Marianny G. Świeduchowskiej pt. „Katecheci i frustraci”, ukazała się recenzja sugerująca, jakoby wydanie tej powieści miało służyć tylko i wyłącznie podniesieniu sprzedaży nowej płyty „Świetlików”...

Nieprawda. Absolutnie nieprawda. To nie ma nic wspólnego. Pan, panie redaktorze, chyba źle odczytałeś intencje. Bez względu na opinię pana Cieślaka, czy Cielaka, to tylko pomysły marketingowców jednej i drugiej strony. My nie mamy z tym nic wspólnego. Nie sądzę, aby książka zwiększyła nakład płyty i odwrotnie. Przede wszystkim są to dwa niezależne byty.

A jednak Świeduchowska pojawia się na waszej płycie.

Jest autorką jednego tekstu (he, he). Świetliki to jej ulubiony – towarzysko – zespół, co jest oczywiste. Zmieniliście wydawcę, z niezależnego na poważną, dużą firmę. Dlaczego akurat Universal? Nie boicie się, że ludzie, którzy was słuchali, powiedzą – sprzedali się?

Przede wszystkim nie dostaliśmy jeszcze żadnych strasznych pieniędzy. Jeśli nawet sprzedaliśmy się, to ideologicznie. Nie chcę powtarzać starego kawału o niezależnych zespołach: „Niezależne zespoły to takie, na których niko-

mu nie zależy”. Zawsze jest tak, że zespół niezależny w którymś momencie swojego istnienia podpisuje kontrakt z większą wytwórnią. I tyle. Firma Universal na razie wydała nam płytę, co będzie dalej, zobaczymy. Music Corner w tym roku płyty by nam nie wydał, a my chcieliśmy ją teraz. A ponieważ nie chcieliśmy zamieniać Music Cornera np. na firmę S. P., bo tam nas nie lubią (my zresztą ich też), więc wybór padł na Universal.

W tym roku poważnie aspirujecie do Fryderyków.

Aspirowaliśmy w ubiegłym roku. Aspirowanie jest bardzo miłe, a mamy w tym względzie pewne doświadczenia. Może i sobie poaspirowujemy. Ale to naprawdę nie jest tak – żeby nikt sobie nie pomyślał! Firma Universal publikuje różne rzeczy (Ich Troje – przyp. R. Z.), wydała też naszą płytę. Nie mam do nich specjalnie ciepłego stosunku, ale zimnego też nie. Ta firma być może nieco lepsza, skoro pochyliła się nad ze-

społem tzw. undergroundowym. Nie ingerowali w naszą artystyczną działalność. A nam jest wszystko jedno, kto nas wydaje, byle tylko nie wtrącał się do spraw artystycznych. Właśnie ukradłeś mi następne pytanie.

Założenie mamy takie – nie będziemy wydawać dla żadnej firmy, która chce w jakiś sposób nas ograniczać. Jeżeli SLD założy własną wytwórnię płytową, nigdy, za żadne pieniądze, nie będziemy dla niej nagrywać. Są pewne priorytety. Mam nadzieję, że SLD nie ma udziałów w firmie Universal, i prezydent Kwaśniewski też nie. Ze strony Uniwersalu nie było żadnych nacisków co do jakości materiału – wiedzieli, co biorą.

Skąd pomysł, żeby zaprosić do nagrań Katarzynę Nosowską? Pomysł narodził się już dość dawno. Nastąpiło zadzierzgnięcie więzów tzw. przyjaźni. A oprócz tego, że ją znaliśmy, jest jedyną osobą, której głos jest kompatybilny z muzyką, jaką gramy. Ewentualnie jeszcze mógłby być P. J. Harvey. Nie ma w Polsce osoby, która mogłaby to udźwignąć i się w tym

znaleźć. Wszystkie inne mają nie-fajne barwy głosu, a ona poza tym ładnie śpiewa. Dlatego Nosowska. Klucz towarzysko-artystyczny.

Nowy album przypomina waszą pierwszą płytę... jest wyciszony, spokojny. Nie ma heavymetalowych gitar.

I bardzo dobrze. Wszystkie założenia wstępne udało się zrealizować, płyta miała być kameralna, wyciszona, a podskórnie miało dużo się dziać. Być może jest podobna do pierwszej, ale lepiej brzmi. Nie ma żadnych żartów muzycznych. Mnie się podoba, chociaż początkowo nic na to nie wskazywało.

W nagraniu demo utworu „Kochanie” na pierwszy plan wysuwały się klawisze. Tymczasem na płycie ich nie słychać. Dlaczego z nich zrezygnowaliście? Nadawały tej piosence takie głębokie, soczyste brzmienie.

Tutaj też są klawisze, no, inne. Gra młody człowiek, któremu daliśmy szansę. Dlaczego? Żeby uniknąć pewnej konwencji. Tam pojawiało się brzmienie hammonda, które mnie się osobiście... To było demo, uważam, że te klawisze funkcjonowały za bardzo w konwencji. Mnie się ten numer bardziej podoba w wersji z płyty. Tam trwał siedem minut, włókł się niemiłosiernie... Zrezygnowaliśmy z przyczyn artystycznych.

Świetliki przez cały czas utożsamiane były z osobą Świetlickiego. Nie boisz się, że teraz powiedzą: to zespół Świetlickiego i Dyducha, tych kolesi, co prowadzą „Pegaza”?

Gdybym był zarozumiały, tobym się z tego cieszył. Ale nie sądzę. Świetliki to nadal zespół Świetlickiego w tym sensie, że dalej on pisze teksty, jest wokalistą i tutaj nic się nie zmieniło. Mnie mało interesuje, jak kto na to patrzy. Czy to mój zespół, czy nie. Mam nadzieję, że mam w nim coś do powiedzenia. Wiem, jaka jest moja rola w zespole, i wszyscy to wiedzą. A jak na to patrzy tzw. ludność, to jest jej prywatna sprawa. Jakbym chciał, żeby to był mój zespół, tobym w nim śpiewał. Być może tak się kiedyś stanie. Zapisuję się na lekcje śpiewu. Stworzymy z Marcinem duecik... wokalny.

Rozmawiał ROBERT ZIĘBIŃSKI

ŚWIETLIKI



ŚWIETLIKI

Nowy, czwarty album krakowskiej formacji i pierwszy wydany pod skrzydłami dużej wytwórni. Żle? Że niby się sprzedali? Raczej nie. „Żle misie” to przykład płyty inteligentnej i zagranej na równym poziomie. Muzycy zrezygnowali z koszmarnych heavymetalowych gitar i wyszło to kompozycjom tylko na korzyść. To nie jest płyta z poezją śpiewaną, to nie jest płyta rockowa. To po prostu naprawdę udany album. Jeśli ostatnie objawienie – Lenny Valentino – to muzyczna awangarda, Świetliki to muzyka klasyczna. (RZ)

Universal

PAUL MCCARTNEY

To legenda muzyki rockowej. Bez niego, Johna Lennona i The Beatles rock nie byłby rockiem, jakiego teraz słuchamy. Sir Paul wniósł wystarczająco dużo innowacji do muzyki rozrywkowej, by teraz spokojnie nagrywać solowe płyty, od których nikt nie wymaga więcej ponad to, by jego albumami były. Tak też jest w przypadku „Driving Rain”. To tylko (albo aż) piętnaście piosenek. Zwykłych, takich, do jakich nas przyzwyczaili. Trochę mocnych – rockowych, kilka ballad i odrobina folku. To album równy i – co ważniejsze – charakterystyczny dla McCartneya. Warto czasami go posłuchać. (RZ)

EMI

THE CURE

Fenomenowi tego zespołu nie rozumiem chyba nigdy. Nie dość, że nie potrafili grać, wyglądają jak potencjalni pacjenci kliniki psychiatrycznej, to występują i wydają swoje płyty od dwudziestu pięciu lat. Co gorsza – oni na nich zarabiają! Ale trzeba też przyznać, że pośród wszystkich złych piosenek udało się im skomponować kilka dobrych, całkiem przyswajalnych przebojów. „Greatest Hits”, jak sam tytuł wskazuje, to składanka największych hitów. Każdy, kto słucha muzyki rockowej, większość tych nagrań zna i ceni. Gdyby to była ich jedyna płyta, byłby to zespół wielki, a album należałoby uznać za znakomity. Niestety, nagrali więcej niż jedną... A ta i tak pozostaje najlepsza. (II)

Universal

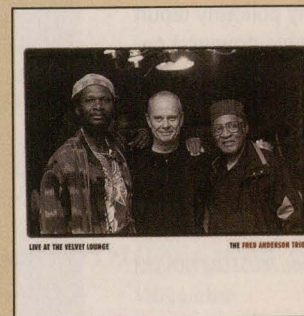
DIFFERENT STATE

Szok. Zaskoczenie. Po pierwsze niedowierzanie – to naprawdę polscy artyści? Po drugie – skoro oni tak potrafią, to dlaczego nikt inny? „Azure” to dziwny album, przepełniony współczesną elektroniką i starym, dobrym, nowofalowym chłodem. Siedem utworów idealnie oddających klimat rezygnacji i apatii. Płyty tej zdecydowanie nie powinni słuchać ludzie podatni na jesienno-zimową depresję. Za to kupić winien ją każdy, kogo ciekawi, jak w naszych czasach mogłaby brzmieć muzyka Iana Curtisa – gdyby żył. Może to za mocno powiedziane, ale Different State na takie porównanie zasługuje, leczą bowiem swoją muzyką schorowaną polską scenę muzyczną. (II)

Vivo

FRED ANDERSON TRIO – CZYSTA MAGIA

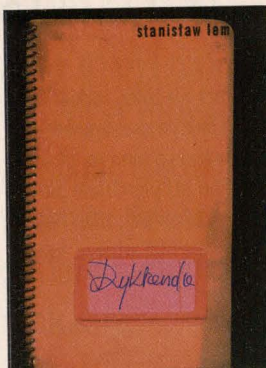
Jeden z najbardziej niedocenionych saksofonistów w Polsce, a zarazem jeden z najlepszych saksofonistów na świecie. Fred Anderson, rocznik 1929, studiował teorię muzyki, a na jego muzyczne wychowanie duży wpływ mieli Lester Young i Coleman Hawkins. Albumy tych znamienitych muzyków słyszał co prawda w jego kompozycjach, ale są to tylko dalekie echa. Anderson stworzył własny, rozpoznawalny styl, będący połączeniem starej jazzowej szkoły z wpływami awangardy z Ornette Colemanem na czele. Album „Live at The Ve-



lvet Lounge” to zarejestrowane na żywo zaledwie trzy kompozycje – tylko dwie z nich trwają po pół godziny. To płyta magiczna. Anderson wraz z towarzyszącymi mu muzykami – Peterem Kowaldem na basie i Hamidem Drakiem na perkusji – tworzy muzyczne misterium oddające chęć wydobywania przez nich dźwiękiem. Długie, transowe kompozycje mają w sobie coś z muzycznej mantry. Nie nużą, a wręcz przeciwnie – wciągają, hipnotyzują słuchacza. Ukazują świat dźwięków czystych, wyzbytych odniesień trudnych do skategoryzowania. Saksofon Freda Andersona unosi nas do innego muzycznego wymiaru, po którym stąpać mogą tylko odważni i otwarci na muzykę, a przede wszystkim na jej emocjonalną szczerość. Słuchając tego koncertu, ani na sekundę nie ocieramy się o dźwięk fałszywy, wykalkulowany. Jest on absolutnie spontaniczny. To album, który nie uleczy z bezsenności; album, którego słuchać chce się bez końca. Kojący, a zarazem drapieżny. Kwintesencja idealnego jazzu dla wymagających.

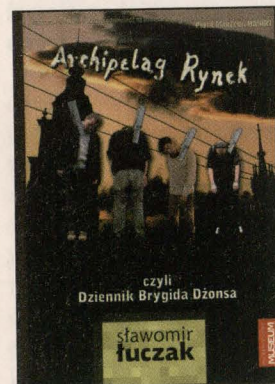
MICHAŁ PAJĄK

Okka Disc/Multikulti



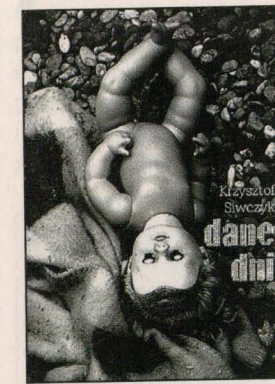
Przed wieloma laty mały Michałek Zych uczył się ortografii. Nie byłoby w tym nic godnego szczególnej uwagi, a już zwłaszcza artykułiku w „Przekroju”, gdyby nie to, iż owego Michałka nauczał ortografii wuj. Wuj to wuj, chciałoby się powiedzieć, ale nie można. Wujem jest bowiem sam Stanisław Lem, który dla siostrzeńca swej małżonki wymyślał dyktanda. Teraz Michałek postanowił wydać te tekściki drukiem. I każdy może sobie wyobrazić, że i jemu dyktuje sam Lem. No to próbujemy: „W kałuży krwi leżał trup świeży, lecz sztywny, z wyrazem zasmucenia na twarzy, której niewiele mu zresztą zostało. Kula niezwykłego kalibru uczyniła poważne spustoszenia w jego zębach trzonowych, małżowinie oraz w mózdzku, który wyciekał teraz miarowymi kroplami na łopuchy i zeszlaczony numer «Przyjaciółki». Wysoko unosił się sęp, nie śmiać jednak brać się do posiłku ze względu na obecność detektywa. Był to mężczyzna w sile wieku, w ubraniu zniekształconym dziewięcioma rewolwerami, które wypychały mu kieszenie. Na nogach miał adamaszkowe cichostępy z patentowym zatraskiem. W lewej ręce trzymał nóż, a w prawej widelec”. (OC)

Stanisław Lem, „Dyktando”. Wydawnictwo Przedsięwzięcie Galicja, Kraków 2001



To miała być męska powieść o męskich pragnieniach, poszukiwaniu celu, sensu i miłości. Coś jednak nie wyszło. Zamiast dziennika polskiego prawie trzydziestoletniego Brygida Dżonsa otrzymaliśmy pretensjonalny zapis pijatyk i słownego wodolejstwa. Postacie wypełniające karty tej „powieści” są papierowe, nie tchnie z nich żadna emocjonalna siła. Jeśli poruszamy się po życiowej pustyni, jak przyjęło się ostatnio mówić o pokoleniu lat 70., to opis tych podróży winien wstrząsać, a przynajmniej wzbudzać jakieś, choćby małe, uczucia. Nie wzbudza. Powód jest prosty. Do tego trzeba talentu, a Łuczak Sławomir go nie posiada. Imprezy w pianie na nadmorskich dyskotekach, pijatyki na krakowskim Rynku pozbawione są intensywności. Przypominają bardziej nudny policyjny raport z izby wytrzeźwień niż literaturę. Napisanie powieści pokoleniowej to duże wyzwanie. Wymaga nie tylko talentu, ale psychologicznej wnikliwości. A ona rzadko kiedy pojawia się na dnie kufla piwa. Ten służyć ma za pomoc, a nie sposób. Łuczak zdaje się tej różnicy nie zauważać. A może właśnie takie jest to pokolenie? Ale czy warto to sprawdzać, mimo wszystko, czytając tę książkę? (RZ)

Sławomir Łuczak, „Archipelag Rynek”. Wydawnictwo MUSEUM NOVUM, Kraków 2001



Nowy tom wierszy Krzysztofa Siwczyka nie doczeka się chyba nominacji, nagród i innych autorytatywnych rekomendacji, którymi oficjalne czynniki krytycznoliterackie zwykły wychowywać naszą literacką publiczność. Enigmatyczna rzeczowość tekstów składających się na „Dane dni” i ich ostentacyjna obojętność wobec obowiązujących nas przepisów na dobrą poezję dadzą jednak czytelnikom wystarczającą satysfakcję. Widać wyraźnie, że Siwczyka interesują tylko te wskazówki, które płyną z samego języka. Podążając za nimi, osiąga efekty niekiedy ryzykowne, lecz zawsze zajmujące. Nadmierna solennność niektórych fragmentów „Danych...” każe wprawdzie czasem żałować, że autor zrezygnował z książki nie dość surowo, ale – jak na tom tak obszerny – miejsc istotniej wątpliwych jest mało. Znacznie więcej tych uroczych i, ponieważ ekstrawagancko, solidnych. „Dane dni” to prawdziwie zacna rzecz. (MS)

Krzysztof Siwczyk, „Dane dni”, Biuro Literackie Port Legnica 2001

DECH smoka

Tym, co dźwiga fantasy, jest smutek naszych czasów.

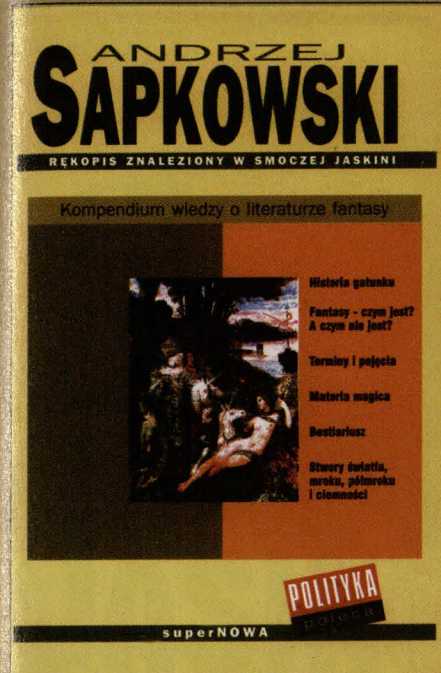
Gdy dla poratowania duszy przemysłowy hidalgo Don Kichota z Manczy przyjaciele jego, cyrulik i pleban, uczynili autodafe ze wszystkich (prócz dwóch) obrzydłych i godnych wzdrgi kłopotów książek błędnego rycerstwa, zdać się mogło, iż ten rodzaj szaleństwa nie zagrazi już więcej ludzkości. Niestety: nie minęło trzy i pół wieku, a spalone księgi powstały z popiołów. Noszą dziś nazwę literatury fantasy.

Galerią tych spalonych przodków zdołał mistrz Andrzej Sapkowski w swym „Rękopisie znalezionym w smoczej jaskini” nowoczesną fantasy. Woli jednak nie pytać, czemuż to owe księgi posądzano przez parę wieków o robienie wody z mózgu. A jest to pytanie o dzieje europejskiego ducha. Lub tylko o modę, czyli o przeszłość fantasy. Za swojego życia – a wcale nie jestem jeszcze stary – widziałem śmierć klasycznego XIX-wiecznego romansu, powieści kryminalnej, a ostatnio s.f. Gatunki literackie nie są wieczne. Blakną i giną niby kraina chorego Króla-Rybaka. Chyba że ktoś znajdzie Graala.

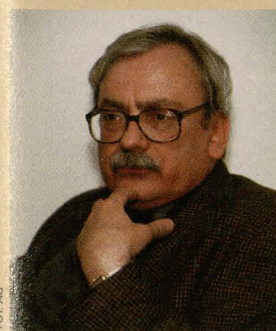
Graalem Sapkowskiego jest tegi celtycki porzeń, na którym osadza drzewko genealogiczne fantasy. Póki trwa czar przedziwnej mitologii, zachowanej w Irlandii, Szkocji, Walii, Bretanii, Kornwalii i na wyspie Man, póty tworzyć można coraz to nowe światy. Jednak lista 85 arcydzieł, jakie mistrz poleca w ramach lektury obowiązkowej, podsuwa myśl, że pisać coraz bliżej do dna wory. Po czym obdarzone mogą pierścienie, magiczne miecze i smoki, spocząwszy w literackiej grani, zdumieją nas niby psychologia niewiernej żony, zagadka trupa w zamkniętym pokoju lub bunt robotów. Co w tym ludziska widzieli?

W istocie tym, co dźwiga fantasy, jest smutek naszych czasów. Ściśle to, co sprawiało, iż w zwykłym baranie przemysłowy hidalgo z Manczy wolał widzieć strasznego Brandarbarbarana z Boliszy, władcę trzech Arabii o pancerzu z łuski smoka i tarczy z bramy, którą Samson wyniósł z miasta Gazy. Don Kichot był szalony, ale przynajmniej nietuzinkowy.

Stąd z licznych nauk, jakich mistrz Sapkowski nie szczędzi adeptom fantasy, najważniej-



sze dotyczą psychologii bohatera. Tu właśnie przydaje się magia. Sam mistrz z wielkim skutkiem użył jej w swej sadze przeciw sobie: zdaje się nieraz, iż nie pojmuje i gubi się w zakamarkach osobowości wiedźmina Geralt. Bo tym się właśnie różni świat fantasy od świata nrocznych, lecz przejrzystych jak kryształ Arurowych dam i rycerzy. Melancholijnej pochwałę tej utraconej niewinności poświęcił Sap-



Usystematyzowana fantazja

Rozmowa z Andrzejem Sapkowskim

Skąd pomysł usystematyzowania czegoś, co jest z natury fantazją?

To nie jest fantazja, fantazją jest proces twórczy artystów. Z tej książki jasno wynika, jak bardzo ten gatunek jest bogaty i trudny do sklasyfikowania, co sprawia, że nawet wśród ludzi, którzy kochają fantasy, istnieją spory, czy daną książkę można uznać za fantasy, horror, science fiction czy jeszcze coś innego.

W tej pracy wyznacza pan pewien kanon tego gatunku, 85 książek. Nie ma wśród nich ani jednej pańskiej...

Bo to nie uchodzi, szlachcic tak nie czyni. To jest – jak pan mówi – kanon, umieszczam tu takie

kowski przed sześciu laty swą pierwszą teoretyczną książkę – „Świat króla Artura”.

Ilustracją naszych czasów zdają się być w traktacie mistrza rozdziały poświęcone wewnętrznym klasyfikacjom, hierarchiom i gustom jurorów fantasy. W istotę rzeczy wprowadzają jednak partie prezentujące geografie i mitologię świata z tamtej strony linii granicznej – katalogi istot, które zasadę swego bytu zawdzięczają jakby odmiennym źródłom sensu. Tu ma się nieraz wrażenie, iż fantasy istotnie osacza pewną alternatywną realność. „Często jedynym sposobem wyrażenia prawdy jest zbudować ją, jak domek z kart, z wielu różnych kłamstw” – powiedział autor najpiękniejszej powieści o piratach, Richard Hughes.

Leksykon ze smoczej jamy racjonalizuje przygodę pisarza, który zwykł przedstawiać się publiczności jako rzemieślnik, duchowy kuzyn plebana i cyrulika z „Don Kichota”. Tymczasem jest poetą: jego sprawdzalny warsztat służy celom niesprawdzalnym. Nie przywraca się światu smoków nadaremno! Przed czym ostrzega pewna cudowna, a nieznana w Polsce fantasy: „Mówi o tym «Księga zapuszczonych ogrodów» na stronie, gdzie jest tłusta plama od zupy z kluskami, ślad niegdysiejszego wzdrygnięcia się kopisty, który przestraszył się, gdy na oslepiająco lśniącej w słońcu kartę padł nagle rogaty cień potwora: bajki nie mówią całej prawdy, potwory zawsze wracają”.

JAN GONDOWICZ

Andrzej Sapkowski, „Rękopis znaleziony w smoczej jaskini. Kompendium wiedzy o literaturze fantasy”, SuperNOWA, Warszawa 2001, str. 240.

książki, których nie lubię, uważam za niedobre, ale to są książki kanoniczne i musiały się tu znaleźć. Ten gatunek ma mnóstwo rozmaitych pozycji, jak gwiazd w gwiazdozbiorze, jest na całym świecie popularny i wydawało mi się, że tak jak istnieją miłośnicy rybek akwariowych i czasem lubią coś na ten temat przeczytać, tak samo miłośnicy fantasy będą chcieli przeczytać coś na temat tego gatunku. Ta książka jest dziełem pisarza, który zajmuje się głównie fabułą, intrygą. Nie jest dziełem naukowym i dlatego skażona została podejściem fabularysty, który w wielu sprawach ma własne zdanie.

Rozmawiał KAZIMIERZ TARGOSZ

ZDANIEM mojej ŻONY...

...klasyczny już – ogłoszony przez najwyższe autorytety krytyczne w naszym kraju i przyjęty z niebывалым aplauzem przez rzeszę czytelników spragnionych jasnych kryteriów – podział polskiej prozy na dwa gatunki, prozę menstruacyjną i prozę masturbacyjną, nie wytrzymuje krytyki. „Po pierwsze dlatego – powiedziała moja żona, wychodząc z łazienki – że gdy napisałam obydwie nazwy na komputerze, to program poprawnej pisowni podkreślił mi słowo «masturbacyjną», co niechybnie oznacza, że ono nie istnieje. Po drugie, podział ten dzieli świat na dwa zwalczające się obozy, co jeśli nawet – moja żona popatrzyła na mnie z czułością – jest prawdą szczegółową, to jednak nie znaczy to, że jest prawdą ogólną. Jak wiadomo, znana anegdota o Matce Boskiej i malarzu Styce («ty mnie nie maluj na kłęczkach, ale dobrze») odnosi się także do rozmowy Literatury z osobą parającą się pisarstwem: ty mnie nie pisz po męsku czy po kobiecemu, ale pisz mnie dobrze. Wiem, wiem – powiedziała moja żona, zapalając cygaro – znam te teorie, dla których fakt, że książkę napisał facet, musi oznaczać, że rekompensuje sobie niedostatki seksualne, choć gdyby tę samą książkę napisała kobieta, oznaczałoby to coś całkiem odwrotnego. Znam, ale nie pochwalam, bo choć sama jestem kobietą, lubię sobie, chociaż w lekturze – do dała, patrząc na mnie z czułością – posmakować epickiego fallogocentryzmu. To jednak nie wszystko – powiedziała moja żona, reagując gwałtownie na fakt, że znów zabrałam się do budowania z zapalek latarni morskiej. – Podział polskiej prozy na menstruacyjną i masturbacyjną nie wytrzymuje krytyki z przyczyn najbardziej elementarnych. Jest to podział głęboko niesprawiedliwy, by nie powiedzieć okrutny. Z tego podziału wynika bowiem jednoznacznie, że albo kobietom, które powinny zadowolić się menstruacją, masturbacja nie jest dana, albo – jeśli jest – w polskiej literaturze nie ma miejsca dla mężczyzny, albo też nie mają oni – by tak rzec – pod ręką czegoś, czego nie miałyby kobiety. Ale tak to już jest z polską krytyką literacką – powiedziała moja żona, zmierzając ku łazience. – Albo myśli, albo mówi. Jak myśli, to nie mówi, jak mówi, to nie myśli”.

maż

Pani Rubinstein była otwarta na inne sposoby myślenia o kuchni, co sprawiło, że jej repertuar był równie światowy jak goście, których podejmowała.

Kuchnia Neli

Książka kucharska Anieli Rubinstein to dzieło ciekawe i sympatyczne. Żona wielkiego pianisty opisuje w nim rozwój swoich umiejętności kucharskich, przytacza wiele anegdot z wielkiego świata i zamieszcza kilkaset przepisów świadczących o jej gruntownej znajomości rzeczy.

Są to jednak „przepisy z epoki” – dziś mało kto polecałby takie metody przyrządzania potraw, jakie stosowała pani Rubinstein. Niektóre z tych metod można wszak wytłumaczyć sytuacją, w jakiej znajdowała się mistrzyni kuchni: mąż wracał do domu po koncercie, nierzadko z dostojnymi gośćmi, i trzeba było przyrządzić coś eleganckiego, a zarazem prostego. Zatem jeśli czytelników zdziwi entuzjazm, jaki pani Rubinstein żywiła do kostek rosółowych Knorra, winni zrozumieć, że w życiu wirtuoza zawsze brakuje czasu.

Interesujący jest melanz dań polskich i litewskich z hiszpańskimi i francuskimi. Pielęgnując rodzime tradycje, pani Rubinstein była otwarta na inne sposoby myślenia o kuchni, co sprawiło, że jej repertuar był równie światowy jak goście, których podejmowała. Znajdziemy w Kuchni Neli przepis na barszcz ukraiński oraz consomme madrilene w galarecie z czerwonym kawio-rem, grochówkę i gazpacho, śledzia z jajkami na twardo i krewetki z koperkiem i sherry. Dzieje pewnego bigosu zaś, przyrządzanego w Nowym Jorku w latach 40., to przytany anegdotami miniesej o kulinarnej – i kulturowej – determinacji dumnych emigrantów.

Na końcu książki znajdują się propozycje menu na różne okazje. Oto, dla przykładu, jadłospis na „duże przyjęcie sto-



jące dla 40 osób”: kulebiak; bigos z ziemniakami; kotlety z ryby w sosie pomidorowym; pasztet à la Barbarka; surówka do wyboru; tort orzechowy; krem cytrynowy; sałatka ze świeżych owoców z kirschem. Czyli bardzo swojsko. Lecz oto przykładowy obiad: awokado z melonem, papają i pomarańczami;

medalion cielęcy; epinards en branches (czyli szpinak); makaron; tarta truskawkowa. Mnie najbardziej spodobał się obiad dla „specjalnych” gości: jajka faszerowane po polsku; flaki po warszawsku, wódka; pulpety lub ziemniaki; zielona sałata; krem kawowy z dżemem agrestowym.

Niektóre przepisy wydają się całkiem oryginalne, na przykład na kurczaka z suszonymi śliwkami. Kurczaka o wadze 1800 g naciera się solą i pieprzem, do środka wkłada 2 łyżki masła, kładzie go w brytfannie, zalewa szklanką bulionu i piecze w temperaturze 180 stopni. Tymczasem 24 suszone śliwki i pół szklanki rodzynek zalewa się wrzącym bulionem w niewielkiej misce. Po 45 minutach pieczenia, podczas których przewracaliśmy kurczaka z boku na bok, nacierali masłem, podlewali gromadzącym się w brytfannie tłuszczem i generalnie dbali o to, żeby ptaszkowi na tustości nie zbywało, wkładamy do brytfanny śliwki i rodzyнки, a także płyn, w którym się moczyły. (Rada, choć nie pani Rubinsteino-wej: trzymajmy przy tych operacjach wszystkie



okna szeroko otwarte). Pieczemy przez kolejne trzy kwadranse, podlewając często. Kiedy kurczak będzie już upieczony, sos winien mieć konsystencję niezbyt gęstego syropu. Gdyby był rzadki, trzeba zlać go do garnka i gotować na dużym ogniu, aż zgęstnieje. Kurczaka podajemy z ryżem, śliwkami, rodzynekami i sosem.

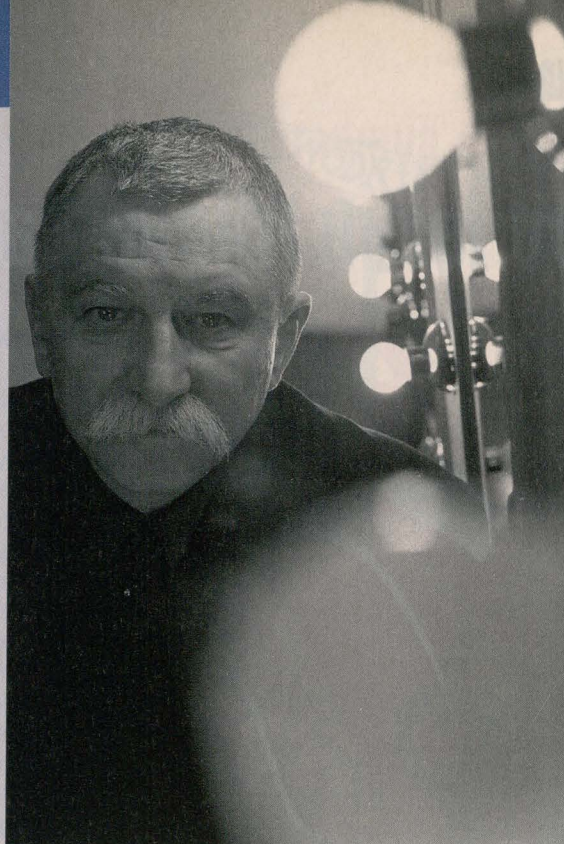
A oto inna, ciekawa propozycja: krupnik z kaczki. Podzielony na części szkielet wypieczonej kaczki wraz z podrobami (poza wątroba) dusimy na małym ogniu w litrze wody, razem z cebulą, marchwią, kawałkiem selera i kilkoma gałązkami natki, przez półtorej godziny. W tym czasie dwie trzecie szklanki drobnej kaszy perłowej zalewamy dwoma szklankami wody i łyżeczką oleju. Moczymy 40 minut, po czym stawiamy naczynie z kaszą na ogniu i dusimy 40 minut, aż spęcznieje, nie tracąc jednak jędrności. Pokrojone w kostkę marchew i ziemniaka ugotować, rosół odcedzić, dodać kaszę i ugotowane warzywa i podawać.

Pani Rubinstein często pisze o „akceptowaniu” różnych potraw, czy to przez siebie samą, czy ważnych gości. Kiedy hiszpańska dozorczyni państwa Rubinsteinów, niejaka Pepa, zaproponowała, że ugotuje dla nich kurczaka po andaluzyjsku, którego często podawała własnej rodzinie, pani Aniela była cokolwiek podejrzliwa, ponieważ Pepa „nie była kucharką”. Lecz kurczak był tak pyszny, że „natychmiast go zaakceptowała”. Opisu-ając mus cytrynowy, pani Rubinstein wspomina, jak podała go po raz pierwszy swojej przyjaciółce Grace Kelly, wówczas już księżnej Monako, która wraz z księciem Ranierem jadła u niej kolację. Książęca para mus „natychmiast zaakceptowała”. Obawa, że mogło stać się inaczej, najwyraźniej gościła w sercu pani Anieli – i między innymi dlatego jej książka jest tak sympatyczna.

TADEUSZ PIÓRO

Twórca i dyrektor artystyczny krakowskiego Teatru STU (1966 r.), reżyser, aktor. Autor słynnych benefisów (w tym „Przekrojowego”) i cyklu widowisk „Światło i dźwięk”. Na pewien czas wyprowadził teatr z trzech ścian pod dach cyrkowego namiotu, gdzie prezentował m.in. „Szaloną lokomotywę”. Najważniejsze spektakle w jego reżyserii to m.in.: „Sennik polski”, „Spadanie”, „Exodus”.

KRZYSZTOF JASIŃSKI



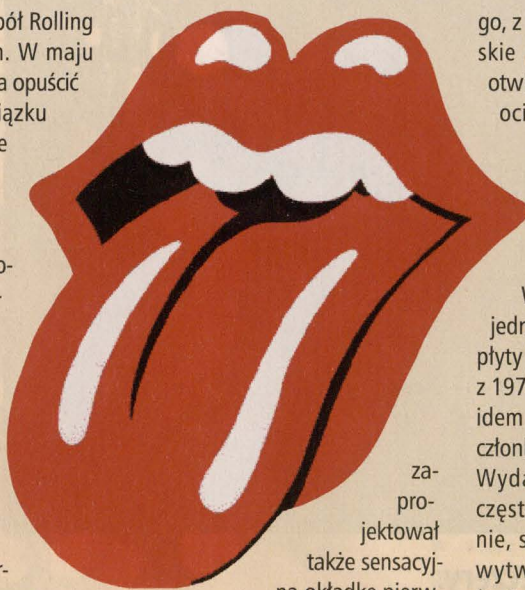
FOT. BOGDAN KRZEL

Będę
Dzień zaczynam od
Zawsze warto mieć przy sobie
Co jest grzechu warte?
Słowo-klucz:
Gdy mój rozum śpi
Używany samochód kupiłbym od
Za nic w świecie
Byłem
Co byś robił w ósmym dniu tygodnia?
Nie mam pojęcia o
W czym towarzystwie chciałbyś
stać na cokole?
Zawsze niech
Mam
Na jakim dystansie jesteś najlepszy?
Cel, który uświęca środki?
Zawsze chętnie zjem
Jestem

szczerzy.
szklanki mineralnej.
nitroglicerynę.
Petrus 1985.
TOMEK.
budzą się sąsiedzi.
wolę na piechotę.
nie zamienię świtu na Mazurach.
ostatnio z Jasiem w Wenecji.
Nie wstawałbym z łóżka.
komputerze.
Beatki.
będzie słońce.
3 klacze.
Leszcz 4,15 kg.
Książka.
Pod Baranem, Gertrudy 21.
przed premierą.

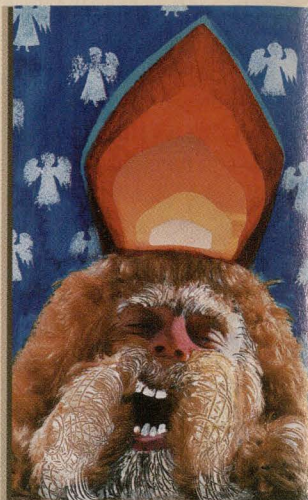
Rockowy język Micka Jaggera

Na początku lat 70. zespół Rolling Stones był w kłopotach. W maju 1970 r. grupa postanowiła opuścić Wielką Brytanię w związku z wysokimi podatkami. Żle układały się stosunki z wytwórnią Decca, która wydawała płyty Stonesów. Muzycy mieli trudności ze swobodą artystyczną i projektami okładek. Ponadto relacje członków grupy i zarządu wytwórni były dalekie od ideału. Ale właśnie w tym roku kończył się ich kontrakt z Decca. To dało wreszcie możliwość założenia własnej wytwórni płytowej. Nazwano ją po prostu The Rolling Stones Records. Mick Jagger, wokalista i lider zespołu, oraz czołowy artysta pop-artu Andy Warhol poznali się przez wspólnych znajomych. Do spotkania doszło pod koniec lat 60. w słynnym studio malarza – „Factory”. Spędzali wspólnie mnóstwo czasu, głównie na imprezach (m.in. w słynnym nowojorskim klubie Studio 54). Jagger wielokrotnie zatrzymywał się w letnim domu Warhola na Long Island. To właśnie Andy Warhol zaproponował nowe logo dla The RS Records. Inspiracją były zdjęcia, na których Jaggera pokazuje język widzowi. Po raz pierwszy pojawił się na nowym, obrazoburczym singlu „Brown Sugar”. Artysta



za-projektował także sensacyjną okładkę pierwszego longplaya wytwórni „Sticky Fingers” (lepkie palce). Okładka przedstawiała mężczyznę od pasa w dół w mocno obcisłych jeansach. Do zdjęcia pozo- wał Joe Dallesandro – gwiazdor awan-gardowych filmów Warhola. Rozporek był prawdziwy! Po jego rozsunięciu ukazywał się czerwony jęzor umiesz-czony na płycie. W Hiszpanii Atlantic został zmuszony do zmiany okładki i zaproponował nie mniej dosadną: puszka syropu cukrowe-

go, z której wynurzają się trzy damskie palce. Obok leży odłożony otwieracz do konserw, a wszystko ociekające od lepkiej i słodkiej melasy. Dla wielu fanów Stonesów jest to ich najlepszy album, choć sami członkowie zespołu nie podzielają tego zdania. Warhol zaprojektował jeszcze jedną okładkę dla Stonesów – do płyty koncertowej „Love you live” z 1977 r. Zdjęcie wykonane polaroidem przedstawiało gryzących się członków grupy. Wydatne usta i język, który tak często Jagger wystawiał na scenie, stały się nie tylko symbolem wytwórni, ale i całego zespołu (pojawił się m.in. na samolocie, którym podróżowali Stonesi). Znak zdobił podkoszulki, naklejki, plakietki i inne gadżety, które przynosiły spore zyski. Logo nazwane lapping tongue (chłepczący lub liżący język) modyfikowano na potrzeby tras koncertowych. Tak stworzono jego najśłynniejszą wariację – spiked tongue (kolczasty język). „Jęzor” z czasem zaczął symbolizować cały rock oraz związany z nim stosunek do świata – buntowniczy, swobodny, ale i pełen humoru.



myśli

Pożegnane pocatunki spadają na ziemię jak uszkodzone latawce.

Ramon Gomez de la Serna

Filozofia nie ma objaśniać natury, ona objaśnia samą siebie.

Novalis

Kiedy nie można zaatakować myśli, atakuje się myśliciela.

Paul Valery

Przezorność to rozsądna odmiana tchórzostwa.

Sławomir Wróblewski

Przyjaciel to ktoś, na kogo możesz liczyć, że liczy na ciebie.

Oskar Wilde

Zawsze warto kochać psa.

Fafik

Kto smaruje, ten się pośliznie.

Witold Kowalski

W urzędach zwykle pachnie kalendarzem.

Krecia P.

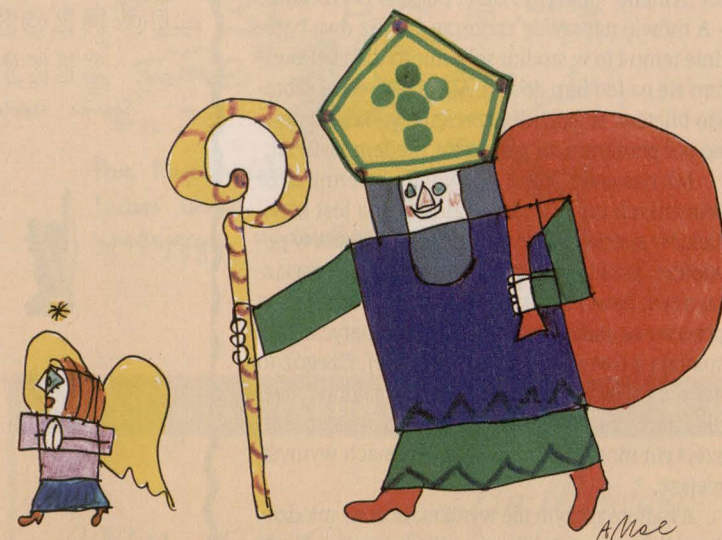
Myśli zebrała Stella Varcaby

Mikołaj?

Znowu się zaczyna... Początek grudnia, a ja kompletnie nie nadążam z robotą... Może gdybym dla odmiany w tym roku wstał trochę wcześniej, nie byłoby problemów – muszę kiedyś spróbować.



Wolne żarty. Nie byłbym Wielkim Dżunglowym Ślimakiem, gdybym nie przesypiał lata, i to lata pojmovanego niezbyt skąpo – tak, lekko licząc, od stycznia do połowy listopada. Taki już jestem. Powiecie – dosyć powolny. No cóż. – Rozlazły. Racja. Ale nikt nie może mi odmówić wyobraźni. Nikt, kto wie, jaką wymyśliłem akcję. I udało mi się ją rozkręcić! Przyznaję – było trochę problemów z wynajęciem tego lapońskiego starucha. Trochę za dużo sobie policzył za dyskrecję. I żarcie dla reniferów. Ale na szczęście w ostatnich latach mocno się posunął i można mu wiele rzeczy wmówić. Albo kwestia ciągłości przedsięwzięcia. Bóg jeden wie, jak wiele bym dał za rok czy nawet kilka urlopu – cóż, nie ma o czym mówić... Uzależniłem ich od siebie i tyle. Strach pomysleć, co by było, gdybym kiedyś zastrajkował... Panika. Koniec świata. Krach na Wall Street. Pytacie, dlaczego zrezygnowałem z popularności na rzecz staruszka? Trudno powiedzieć... Jakoś nigdy mnie nie ciągnęło na okładki kolorowych tygodników, a i uroda nie ta – troszkę za dużo śluzu i te oczy na szypułkach... Dzieciaki mogłyby nie wytrzymać tego nerwowo... Poza tym, trudno godzić pracę ze sławą, jak się jest dosyć powolnym. Wywiady, konferencje, nie wiadomo co jeszcze, a robota czeka. I znowu nie zdążę z tymi prezentami na piątego... A tak bym chciał chociaż raz odpowiednio uczcić imieniny mamusi! (M)



Już sam wygląd Świętego Mikołaja budzi sympatię – jakże bowiem nie kochać uśmiechniętego grubaska z białą brodą, ubranego w czerwone spodnie, kubraczek i spiczastą, śmieszczą czapkę. Do tego jego środkiem lokomocji są, kojarzące się z kuligiem i innymi przyjemnościami ferii zimowych, sanie, ciągnięte przez dziewięć słodko pobrzękujących dzwoneczkami reniferów, na czele z miłutkim Rudolfem o czerwonym nosie. To wszystko jednak za mało, by mieć setki milionów zagorzałych fanów na całym świecie. Niewątpliwie największym atutem Świętego są prezenty, które dźwiga w ogromnym worku i nocą podrzuca do skarpet wiszących na kominie. To one sprawiają, że na Mikołaja w milionach domów oczekuje się z niecierpliwością i nadzieją, lecz równocześnie często są przyczyną utraty wiary w niego. Perspektywa jego wizyty rozbudza bowiem wielkie nadzieje na zrealizowanie pielę-

gnowanych przez cały rok marzeń, które mają to do siebie, że bujają między obłokami, z dala od przyziemnej rzeczywistości. Oczywiście obrazni widzą więc brylantowe kolie, bilety na Tahiti, lalki Barbie czy choćby Turbomena, dla którego Schwarzenegger był gotów zdemolować całe miasto. A co leży pod choinką? Zestaw skarpetek, rondel, wyciskacz do czosnku i fartuszek. Tak, każdy, kto w programach typu „Śmiechu warte” widział rozpacz dzieci, które dostają kolejny szalik z załącznikiem w postaci różgi, musi zniecierliwić Mikołaja. Tym bardziej że pozostałym członkom rodziny sprawił nieużyteczne i drogie prezenty, jak np. kamera wideo czy telewizor z ekranem wielkim niczym boisko piłkarskie.

Ale czy to możliwe, by prawdziwy Mikołaj chciał, żeby dzieci płakały? Może to tylko dywersja propagandowa zazdrosnego Dziadka Mroza?

JICKY

TU ŻYJĘ I TU JEST MI DOBRZE





Od jakichś dwóch tygodni nie milknie u mnie telefon. Nie ma w tym, prawdę mówiąc, nic dziwnego. To jego codzienny obyczaj. Nic by mnie w tym nie zastanawiało,

gdyby nie to, że większość rozmów zaczyna się od pytania: „czy byłeś na filmie »Amelia«?”. W dodatku pytanie to zadają mi znajomi różnych zawodów i w bardzo różnym wieku.

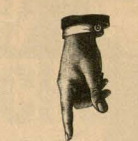
Wszyscy żądają solennego przyrzeczenia, że na „Amelię” pójde. – Pójde, pójde. Przyrzekam! – A mówię naprawdę szczerze, bo już dwa tygodnie temu i to w środku sobotniego dnia usiłowałam się na ten film dostać. Ale przede mną zabrało biletów. W kolejce przeciętna wieku na pewno nie przekraczała szesnastu, siedemnastu lat.

Jak nas codziennie upewniają dziennikarze wszystkich mediów, młodzież żadna jest krwi, efektów specjalnych z wysadzaniem świata w powietrze, walki i po prostu mordobicia. W związku z tym nawet siostrzeńcy Kaczora Donalda bez przerwy są atakowani młotami pneumatycznymi, spadają z dwustu metrów i tak dalej. Czegóż to my nie zrobimy dla dzieci i dla kasy, albo raczej dla kasy i dla dzieci. Oczywiście im dziecko starsze, tym morderstwa i wojny w filmach wymyślniejsze.

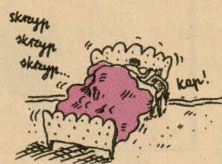
A tu tłum niczym nie wyróżniającej się młodzieży wali drzwiami i oknami na film „Amelia”. Kiedy kogokolwiek zapytać – po co, o co tam w ogóle chodzi? – okazuje się, że idzie o szczęście. Tak. Film naszpikowany jest podobno jakimiś miłymi niespodziankami. Ludzie się tam podobno lubią. Piękna muzyka czy coś takiego. Dzieje się w Paryżu – rzecz też w końcu dzisiaj w filmie rzadka.

Niektórzy narzekają, że to bajka. No to co? Zawsze w bajkach kryła się także prawda. Pewna poetka była już na „Amelii” trzy razy. Bratanek radził mi ten gwarantowany środek na humor racjonalnie wykorzystać. Racjonalnie? Przecież, wydaje się, że nie o racjonalizm chodzi, ale o przyrodzoną każdemu tęsknotę za potwierdzeniem, że szczęście się zdarza.

MAŁGORZATA BARANOWSKA



PRAKTYKA



PO PROSTU SEKS

Steven Appleby



Wielu ludzi ma ogromne kłopoty ze stawieniem czoła rzeczywistości seksu.

Na przykład ten mężczyzna trzyma ją w matym skradziku, tak daleko od reszty życia jak to tylko możliwe.

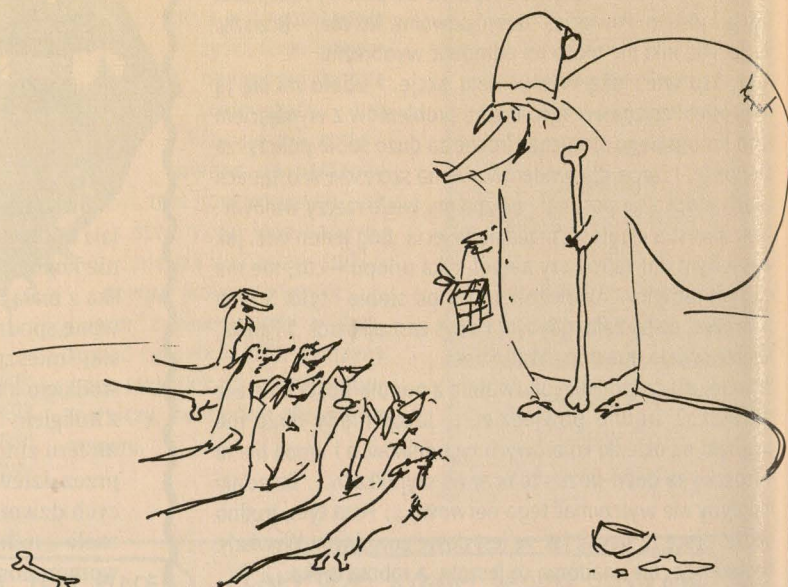


Ohyda! Ciepłe, miękkie i oślizłe!

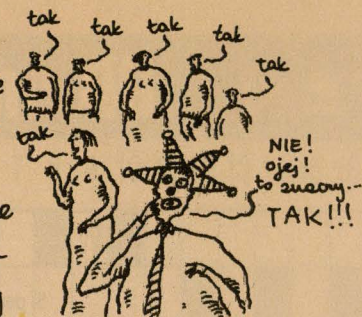
Pan Tyminski pozwolił jej gnić wciśniętej przez lata w wilgotny i niekierowany kąt.

Pani Lucyna Ferr, dama o mocnym kościec moralnym, tak skutecznie udaje, że problem płci nie istnieje, iż przestała ona istnieć.

Wybacz, młodo, czym tam jest ale widać cię głębiej.



Pan P., wykarmiony wyjątkowo miewykite i zabawne pragnienia, stara się jak może, żeby nie odbiegać w upodobaniach od reszty ludzkości.



Maja F. rozpacza, liwie pragnie mieć kochanka, mimo że doświadczenie podpowiada jej, iż woli spędzać czas w ogrodzie z motylką i garszą sadzonek.

Dla nastolatków seks urasta do rozmiarów góry, którą ustają zdobyć bez porządnego przygotowania i zaopatrzonego ekwipunku. Pan Kapucynski, lat 67, nigdy nawet nie stymat o seksie. Przez ostatnie 37 lat zajęty był budowaniem z zapatek naturalnej wielkości repliki Wielkiego Kanionu, którą na koniec spróbuję przeskoczyć na Harleyu zrobionym ze sznurka.



Pan Kapucynski ledwo unika upadających nastolatków.

Jak pachnie Święty Mikołaj

Prawdziwy Mikołaj pachnie mroźnym, arktycznym wiatrem, towarzyszącym mu, gdy na saniach przemierza śniegowe pola Północy. Roztacza wokół siebie również zmysłowy i zwierzęcy zapach sierści reniferów, która zostaje na rękawicach, kiedy je gładzi. Nie jest mu obca woń sadzy i spalenizny, wszak do domów grzecznych dzieci nie wchodzi przez drzwi, lecz przeciska się przez... komin, gdy wszyscy śpią. Przede

Ale czy rzeczywiście prawdziwym Mikołajem jest ten, który mieszka z reniferami za kołem podbiegunowym? Może prawdziwszy jest Mikołaj, który za żadne skarby nie wszedłby do komina, za to siada wygodnie w fotelu, bierze dzieci na kolana i pyta, czy były grzeczne? A jako że dzieci zawsze są grzeczne, nagradza je prezentami, zgrabnie podtrzymując odklejającą się brodę. Jego zapach zwykle



jest dziwnie znajomy, przypomina woń wody kolońskiej ulubionego wujka lub zaprzyjaźnionego sąsiada, a niekiedy nawet... perfumy babci.

AGATA WASILENKO

Lektury dzieciństwa

Na Mikołaja: Mikołaj Grabowski

aktor i reżyser, o lekturkach swojego dzieciństwa.

W dzieciństwie na soboty i niedziele przyjeżdżała do nas ciocia, która zawsze przywoziła książki i albo nam je czytała, albo opowiadała filmy, które wtedy były jeszcze dość obyczajne. Słuchaliśmy tego z wypiekami na twarzy, ale w pamięci pozostała mi nie treść tych książek, lecz obrazki. Dzieci na miotle z „Dzieci z Bullerbyn” oraz mały chłopiec z lokami i białym, koronkowym kołnierzykiem na pierwszej stronie „Małego Lorda”. W książkach pociągał mnie bardziej świat fikcji. „Dzieci z Bullerbyn” z tym zwirowanym humorem, absurdalnym przebiegiem zdarzeń podobnym do teatru absurdu – to było to. I tak mi się spodobało, że już jako reżyser wystawiłem tę książkę w teatrze

telewizji. W dorosłość przeniósł mnie „Hrabia Monte Christo”. Tam zobaczyłem brutalny świat, który dobrego, niewinnego człowieka wsadził do więzienia. Ze zdziwieniem dowiedziałem się, że Paryż, stolica Europy, jest pełen złych ludzi, intryg i więzień. To właśnie „Hrabia Monte Christo” pokazał mi, że świat może być zepsuty.

Rozmawiał ANDRZEJ KACZMARCZYK

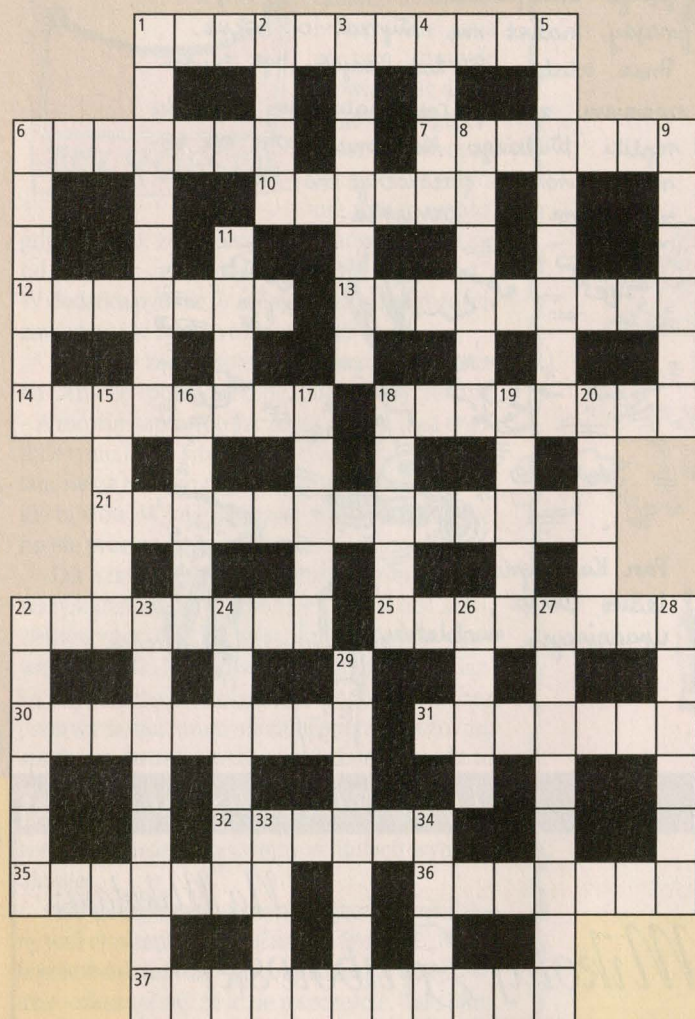


ROZWIĄZANIE REBUSU SPRZED TYGODNIA: PROSZĘ ODSUNĄĆ SIĘ OD



KRZYŻÓWKA nr 49

z Urodą



POZIOMO:

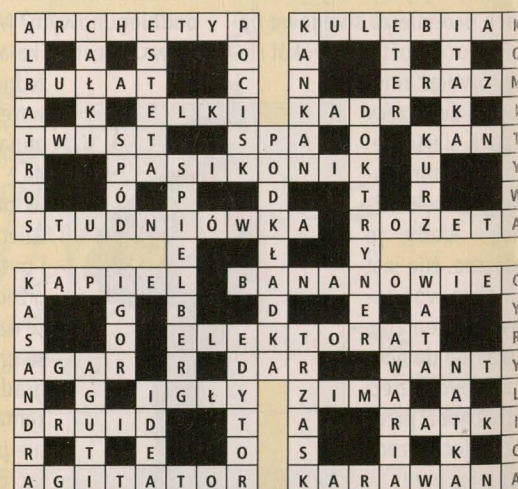
- 1 łowi olbrzymie ssaki
- 6 miejsce powitania gąski
- 7 najprostszy czworokąt
- 10 Borzobohata
- 12 cięta odpowiedź
- 13 herbami się zajmuje
- 14 najważniejsze zgromadzenie kościelne
- 18 drobna cebulka
- 21 taki rodzaj bajki z morałem
- 22 bardzo modne imię damskie
- 25 szlachetniejszy jarmark
- 30 graffiti
- 31 umożliwiają taniec na pointach
- 32 Egidia
- 35 rarytas do konsumpcji
- 36 forsą za pracę
- 37 zapewniona koronnemu świadkowi

PIONOWO:

- 1 wesola, niewielka ptaszyna
- 2 ozdobna żywica
- 3 ważna i ceniona żaba
- 4 popularne liściaste w naszych lasach

- 5 powietrze wonnie odświeży
- 6 diabłu
- 8 wilków gromada
- 9 ciemna w rogu
- 11 w każdym archiwum
- 15 ziółkowy wyciąg
- 16 cuchnący odkażacz
- 17 futrzana naramienna narzutka
- 18 hutniczy produkt z wysokiej temperatury
- 19 ogłosił 95 tez przeciw odpustom
- 20 bezmyślnie wypalana na wiośnie
- 22 z nim nie zabłądzisz
- 23 sprzeciwia się
- 24 Dostojewski go opisał
- 26 kraina sprzymierzona z Sumerem i Akadem
- 27 przeciętność większa
- 28 rolka
- 29 mąż św. Anny, ojciec Matki Boskiej
- 33 przez golibrodów używany do maskowania skaleczenia
- 34 rosyjskie miasto w pobliżu ujścia Donu do własnego morza

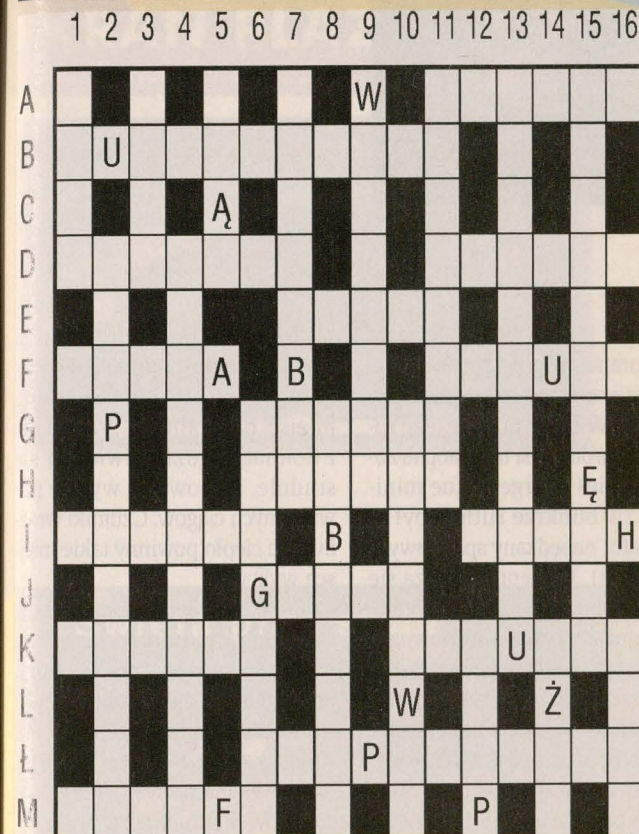
Rozwiązanie krzyżówki nr 47



• Pomiędzy Czytelników, którzy nadesłali poprawne rozwiązanie krzyżówki do niedzieli 16 grudnia (decyduje data stempla pocztowego), rozlosujemy pięć zestawów kosmetyków ufundowanych przez URODĘ SA. Nasz adres: PRZEKRÓJ, 30-960 Kraków, skr. poczt. 533, z zaznaczeniem „Krzyżówka 49”.

• Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 46 pięć zestawów kosmetyków ufundowanych przez CUSSONS SA wylosowali: Krystian Winkler, Opole; Barbara Podgórska, Poznań; Piotr Fraś, Katowice; Justyna Wąsowska, Piława Górna; Stanisław Bonusiak, Olsztyn. Gratulujemy!

JOLKA nr 49



Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. Dla ułatwienia ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

E10 / B15 – F1 – D16 – G7 / L4 – D12 / Ł15 – A5 – A15 / F13 – B8 – A1 – Ł2 – A12 – F16 – C1 / Ł11 – B3 – M3 – H11 – I15 – D7 / E9 – H6 – M10 / I12 – F3 – Ł7 – B13 – F12 / L8 – C15 – B4 – F4 – K5 – Ł13 – I3 – C13 / A3 / J7 – G13 – L6 – E2 – G9 – Ł16 / M1 – H10 – G4 / M8 – D6 – H2 / M14 – J9 – G15 – I5 – B10 – K3 – I14.

„Wyrazy” 11-literowe:

- informacja wniebogłosy • gryzie się z toporem wojennym (5+6)
- królik na tapecie • przebrana miarka konfabulatora (4+7)
- tylko dobośz wkłada w nie serce • morzu nie da rady, lekarstwu – owszem

Wyrazy 8-literowe:

- ci wierci • zaradny marynarz z Jorku • bez becika pofika • słów zgrywa • liczba na Bugu
- rodaczka Askara Akajewa

Wyrazy 7-literowe:

- kurza lub jaka to • stroni od naszego rodzaju

Wyrazy 6-literowe:

- tam, gdzie głowę mi obracajcie

- rozkosz kosza (choć z pewnością nie każdego) • gracz z planem
- losu, gdy los śmieje się w nos
- gratka dla reperatora • szara zgrzyota fiskusa • melodia grana przez jakiś czas • wyciskacz drużyny

Wyrazy 5-literowe:

- wyciskacz teamu • króla lub dramatu • tańczą, gdy genetyka nie czują • dwaj od baj

Wyrazy 4-literowe:

- muzykowanie z riffem • pasterz trzód z Genesis • tata pasterza trzód z Genesis • parkowy bibosz • odsiadwana rogaczka • trzeźwy sytuacji

STEFANIAK pod jolką



– Gdzie ten gamoń, co prosił o 10 000 krzyżówek i 2400 ołówków z gumką?!

• Pomiędzy Czytelników, którzy nadesłali poprawne rozwiązanie „Jolki” do niedzieli 16 grudnia (decyduje data stempla pocztowego), rozlosujemy pięć upominków-niespodzianek ufundowanych przez „Przekrój”. Rozwiązania prosimy nadsyłać do redakcji „Przekroju”, 30-960 Kraków, skr. poczt. 533, z zaznaczeniem „Jolka 49”.

Rozwiązanie JOLKI NR 47

• NIGDY NIE WIADOMO, DO CZEGO LUDZIE SIĘ DOPYTAJĄ, SKORO RAZ POCZUJĄ, ŻE MAJĄ PRAWO ZADAWAĆ PYTANIA (cytat z „Paragrafu 22” Josepha Hellera).

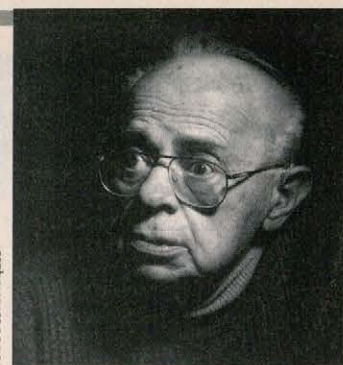
• Rzędami: peniuar, nitki, zwiad, cugle, tropik, chips, Celsjusz, poźłota, strzyża, majolika, jędra, kabłąk, szyld, kłacz, aloes, trądzik.

• Kolumnami: projekt, wiertło, odłam, pchła, picie, maszt, kłatwa, iluzja, dogład, setnik, rzecz, kajak, sztab, kibić, żołądek, odyseja.

• Za poprawne rozwiązanie Jolki nr 46 pięć upominków ufundowanych przez redakcję „Przekroju” wylosowali: Elżbieta Skrzywanek, Turek; Krystyna Latecka, Olkusz; Maria Olszańska, Gdańsk; Zofia Procyk, Przeworsk; Halina Rehowicz, Krynica. Gratulujemy!

Po omacku

FOT. BOGDAN KRZEL



Co Pan na to,
Panie LEM?

Donald Rumsfeld zapowiedział, że specjalnie wytrenowani komandosi z formacji marines nie będą musieli się wczółgiwać do owych mrocznych tuneli z nożami w zębach, lecz najpierw zostaną użyte specjalne czujniki, wykrywające ze znacznej odległości ciepło ludzkiego ciała. Prototypami tego rodzaju sensorów były w połowie ubiegłego stulecia tzw. bolometry, zdolne wykryć palącą się zapalkę z odległości mili. Ponadto Amerykanie zapewniają, że dysponują takimi rodzajami radaru, który pozwala wykryć ruchy ludzi poprzez skały grubości kilkuset metrów. Będąc humanistami, nie zamierzają jednak – przynajmniej oficjalnie – wrzucać w głąb owego kompleksu labiryntowego przez odpowietrzające studnie napalmu lub też gazów bojowych, co podobno bez szczególnego rezultatu czynili Sowieci w toku prowadzonych przez siebie antyafgańskich działań wojennych.

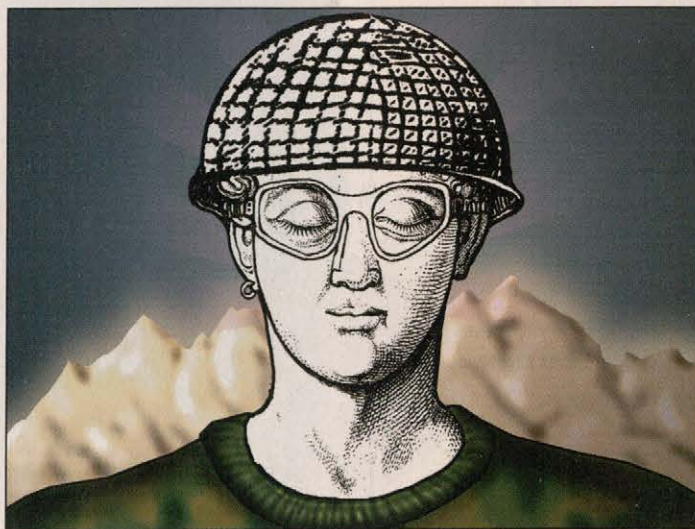
Oddziały polujące na ludzi bin Ladeną stoją przed dwiema trudnościami, jako rozstajem następującej alternatywy: nie można wykluczyć, że informacje o ukryciu się Bazy w skalnych podziemiach były tylko fantazją, czyli fałszywym tropem, za pomocą którego bin Laden pragnął zmylić Amerykanów. Jest on bowiem znany ze swojej nieprzeciętnej pomysłowości i już niejednokrotnie potrafił wyśliznąć się z zaciskanej wokół niego, wydawałoby się nieuchronnie, pętli. Z drugiej strony, jeżeli już uznamy, że głębiny Hindukuszu jednak terrorystów kryją, to rzecz nabiera, że tak powiem, charakteru speleologicznego.

Wielka płatanina podziemnych tuneli i jaskiń powstawała tam

dziesięcioleciami, stanowiąc system korytarzy, jakimi mieszkańcy Afganistanu nawadniali pola. Rosjanie przyznali się do użycia znacznych ilości benzyny, która – wlana do tuneli i zapalona – miała „wykurzyć” ukrywających się tam autochtonów. Jednakże tunele, które służyły do nawadniania pól, musiały mieć spadek skierowany ku wylotom jaskiń, a benzyna, nawet płonąca, pod górę płynąć nie mogła.

Widziałem w austriackim piśmieniu schemat rzekomego bunkra, umieszczonego jakoby pod dnem jednej z jaskiń. Przypominał on bunkier pod kancelarią Trzeciej Rzeszy, który służył za schronienie Hitlerowi i jego kłice podczas sowieckiego ataku na Berlin. Nie

Amerykanie wciąż stawiają w kotłującym się Afganistanie na przewagę, którą daje im zastosowanie zaawansowanych technologii (high-tech). Przypuszczają, że bin Laden, jego akolici oraz część terrorystów z tak zwanej Bazy pochowali się w labiryntowych tunelach Hindukuszu.



RYŚ. DMITRI SZEWINKOW-KISIELOW

wiem, w jakiej mierze fantazja i wspomnienie połączyły się w tej hipotetycznej wersji kryjówki bin Ladeną. W każdym razie tego rodzaju schron musi być zaopatrzony w jakieś energetyczne minimum (w bunkrze Hitlera był to generator napędzany spalinowym silnikiem). Następnie muszą się tam znajdować połączenia, prawdopodobnie typu kominowego, zasilające wnętrza powietrzem. Niezbędne dla ukrytych ciepło, czy to pochodzące z generatora, czy po prostu z pomieszczenia, w którym warzy się stawę, musi mieć również ujście gdzieś na skalnych wyżynach. Jeśli tak jest, to Amerykanie mają przed sobą co najmniej dwa różne sposoby dotarcia do schronu w głębi gór.

Mogą żmudnie penetrować całą sieć podziemnych tuneli, ale mogą również poszukiwać takich miejsc na skalnych grzbiętach i dolinach, gdzie otwierają się studnie, stanowiące wyloty powietrznych ciągów. Czujniki wrażliwe na ciepło powinny takie miejsca wykryć.

Cała ta ekspedycja, zmierzająca w głąb Hindukuszu, nie była nigdy wcześniej, rzecz jasna, przedmiotem jakichś taktycznych rozważań w sztabie generalnym Amerykanów. Nikt nie projektował, a więc i nie wyprodukował środków technicznych przeznaczonych do szperania we wnętrznościach skał. W latach drugiej wojny światowej Niemcy używali (na przykład w celu niszczenia barykad w czasie powstania warszawskiego) goliatów, małych pojazdów gąsienicowych wypełnionych silnym ładunkiem wybuchowym, odpalanych zdalnie przez kabel. Wprowadzenie tego rodzaju bezludnych szperaczy do wnętrza masywu górskiego byłoby najlepszym rozwiązaniem, ponieważ Amerykanie starają się szczególnie minimalizować swoje straty w ludziach. Niestety, żołnierze amerykańskiej piechoty morskiej skazani są na improwizację, jako że nikt nie mógł przewidzieć aż tak niezwykłego terenu natarcia.

O tym, co się obecnie dzieje w mrokach kamiennych tuneli, nie wiemy nic konkretnego, ponieważ Amerykanie zachowują w owej dziedzinie roztropne milczenie, tając wszystko, co się dzieje na podziemnym froncie, przed żarłocznymi środkami masowego przekazu.

STANISŁAW LEM
27 listopada 2001

NOWY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY

**WIELKI KONKURS! WYGRAJ
EKRAŃ PLAZMOWY**
marki Pioneer



■ Święta przy stole



■ Dom: łącząc pasje i potrzeby



DOM & WNETRZE

NR 1273/2001 GRUDZIEŃ CENA 2,90 zł (z 10% VAT)

**PREZENTY
POD CHOINKĘ**
ozdobią mieszkanie
i sprawią przyjemność

**WIELKI KONKURS! WYGRAJ
EKRAŃ PLAZMOWY**
marki Pioneer



BOŻE NARODZENIE

3 ŚWIĄTECZNE STOŁY
czerwono-zielony, z domieszką
czekolady, ze złotem w tle

ZIMOWY OGRÓD
zaczarowany w szkło

NIEZWYKŁY DOM
na miarę rodziny

■ Inspiracje: szopki



PROSIMY NIE
POWTARZAĆ

W Niemczech raban wagiłkowy nie potwierdził obecności tego matego drania. To nie był wagiłk, to był von Glück.

O WACUSIU

– Nie wstydziłeś się iść na spacer z żoną w takim starym płaszczu? – spytała już przy drzwiach Falczka.
– Wstydzę się, – powiedział Falczak. – Dlatego pójdę sam.

DYLEMAT

Nowosolski tygodnik „Krag” informuje, kto się akurat urodził. Z numeru 38 dowiadujemy się o urodzeniu czegoś dziwnego.

Syn (tu nazwisko rodziców) z Bytomia Od-rzanskiego. Urodzona 10.09.2001 r.

No i diabli wiedzą, co kupić? Niebiosa, wyprawkę czy różową? (Nadst. Z. Herman)

FILITER

Ludzie powinni sobie pomagać, np. gdy ktoś upadnie, to inni nie powinni go skopać.

Łokietek poskładał Polskę, tzn. dzielnicą + dzielnicą = Polska.

Na dyskotecę było wiele atrakcji, na przykład wpadł brygadą antyterrorystycznej.

Żyrafa ma dalego taką długą szyję, aby nie musiała wchodzić na drzewo po drabinie.

HUMOR ZESZYTÓW pochodzi z kolekcji: J. Getdon z Olszyna, W. Marat z Zawad, D. Czernakowej z Ładbanku Warmińskiego i J. Golanowskiego z Ostrzeszowa. Dziękujemy.

NADAJEMY SIĘ

Ogłoszenie z numeru 42 „Chłopskiej Drogi”: Kabaret z satyrą, parodią, grą na ustach oczekuje pilnie propozycji współpracy...

Możemy się dołączyć. Potrafimy grać na nerwach z pianą na ustach. (Nadst. A. Kozarzewski)

O WACUSIU

– Jak jeszcze raz zbijesz braciśzka – powiedziała Falczka – kłowa do wnuczka – to nie dostaniesz kolacji.

– Dobrze, babciu – odparł młody cwaniaczek – Odtąd będę go tłukł po kolacji.

CO LUBIĄ
KURPSIE

O kurpiowskich pysznościach pisze „Gazeta Olsztyńska” z 1 października:

Fafemuchy z mar-chwi, piwo kozicowe, placek drożdżowy, kapusta z kaszą i piwo kozicowe serwowali w sobotę członkowie Związku Kurpiów w Szczycinie.

Ale doili te kozice. (Nadst. D. Czernakowa)

Pranie i polityka

Instrukcja prania pewnego ciucha ze 100-procentowej bawełny:

ECOLOGY
INSTRUKCJA PRANIA
100% BAWELNA/COTTON
PRAC NA LEWEJ STRONIE

Z ostatniej rady wynika, że instrukcję spró-parowano już po ostatnich wyborach.

(Nadst. C.N.)

MÓWILI...

Mówili: „Jasiu, złem się brzydzi! Śladami swego ojca idź!”

I siedź po śladach ojca, ach! I w lupanaru stanął drzwiaach.

(Wiesław Brudziński)

14-letni uczeń gimnazjum w Tychach został dziecięcym mistrzem ortografii na rok bieżący. Zrobił tylko trzy błędy, a mógł ich zrobić cała wielka kupę, ponieważ tekst dyktanda pt. „Kocur Hrybółwca domokhrzącą” hrecytował stahrującym sam autohr pan phrofesohr pophrawnej ohrtoghrafi.

PRZYSŁOWIA PO REMONCIE
Lepiej późno niż w szale.

W TVN objawił się ostatnio damski Wiedźmin: blond rozczochrana Monika Olejnik.

Mnożą się po telewizjach, jak muchomoty po deszczu, szoty typu URZĘKAŁA MNIE TWOJA HISTERIA.

Co kupić na Mikołaja facetowi, który ma wszystko? Radzimy kalendarz terminowy, żeby mógł sobie wpisać do niego terminy wpłacania rat za to wszystko, co ma.

A TU RZECZYWISTOŚĆ SKRZECZY...
Łatwiejszy dziś dostęp do Internetu niż do porządnego klozetu.

Najpierw umarł pan Turowicz (przypominamy: wieloletni wódz „Tygodnika Powszechnego”), potem umarła pani Turowiczowa, a potem właściciel kamienicy zażądał, żeby te wszystkie szpagary, papieryska, książki i buchy jak najszybciej poszły z mieszkania won. Ponieważ tak nupicie to są nieprzebrane skarby polskiej kultury, zaczęto się rozglądać za jakimś pomieszczeniem, gdzie by to można ulokować, uporządkować, skatalogować i (jak przystało pogodniejszego dla kultury lata) z tego korzystać. Wszyscy się rozglądali i rozglądali. I ci mniej uduchowieni (z magistratu) i ci bardziej uduchowieni (z kurii). I chociaż magistrat ma jedną piątą nieruchomości w centrum Krakowa, a kuria jedną czwartą, jakoś nie byli w stanie dostrzec w tych nieruchomościach owych trzech głupek pokoiów na ten cały chłam.

„Patrz Kościuszko – pisał Gałęziński – na nas z nęba raz Polak skandował. I popatrzyli nan Kościuszko, i się zymiotowali”.

Brat PRZEK-ROJEK

